

STRASZNY DWÓR
Rewia upokorzeń
w obozie władzy

ŻARCIE U KIMA
Ofensywa kulinarna
Korei Północnej

OSTATNI Z PRL
Triumfy i klęska
towarzysza Kani

365 DNI SŁAWY
Komu przeszkadza
Blanka Lipińska

NASZ JUBILEUSZ
„Tygodnik” dobry
na każde czasy

Kraków 22 marca 2020 nr 12 (3689)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)



Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Jeszcze będzie normalnie

Wspólnota nas uleczy | Nowy kształt świata
Religia w czasie próby

DODATEK SPECJALNY
WIELKIE PYTANIA NA NOWO:
Teorie wszystkiego



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Podkast Powszechny

Autorski podkast
„Tygodnika Powszechnego”

Od jajka do kosmosu.
Od Hańby! do „Gry o tron”.
Od sztucznej inteligencji do Boga.
Od psychologii do polityki.
I dużo dalej.

A także o kryzysie klimatycznym, życiu
osób głuchych, religii, prawach zwierząt,
leczeniu niepłodności, mniejszościach,
literaturze, także dla dzieci,
i futbolu kobiet. A nawet mężczyzn.

Zapraszają: Michał Kuźmiński,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Marcin Żyła.

**weź,
słuchaj!**

powszech.net/podkast



POSTPRODUKCAJA



AudioDelic

KS. ADAM

Boniecki: 75 lat

CO MAM WAM POWIEDZIEĆ W CZAS ZARAŻY? Jednak to: miałem 30 lat, kiedy – dobrze pół wieku temu – znalazłem się w „Tygodniku”, który się cieszył prestiżem ważnego, katolickiego pisma opinii. Miał wtedy 19 lat, w tym dwuletnią przerwę (1953-56) spowodowaną zamknięciem go przez władze PRL, w ramach represji za odmowę opublikowania obowiązującego nekrologu po śmierci Józefa Stalina.

Redakcja była młoda, dziś widzę, że młodsza, niż wtedy zdawałem sobie sprawę. Rolę czcigodnych starców pełnili Zofia Starowieyska-Morstinowa (73 lata) i Antoni Gołubiew (57). Władzę sprawowali Jerzy Turowicz (52), Jacek Woźniakowski (44), Stanisław Stomma (56), Stefan Wilkanowicz (40), ks. Andrzej Bardecki (48), a z czasem także Mieczysław Pszon (49). Inni redaktorzy lokowali się w przedziale między 42. (Żychiewicz) a 33. (Krzysztof Kozłowski) rokiem życia.

Nakład pisma był regulowany przez władze, a przydział papieru reglamentowany. W redakcji panowało (słuszne) przekonanie, że zapotrzebowanie na „Tygodnik” jest znacznie większe niż dozwolony nakład. Pismo było poszukiwane, prenumerata ograniczona, w kioskach rezerwowano je w teczках dla stałych odbiorców. Z „Tygodnikiem” współpracowali inteligenci, biskupi, księża, katolicy świeccy i ludzie niekoniecznie utożsamiający się z Kościołem, myślący. Na któryś z jubileuszy otrzymaliśmy telegram z życzeniami podpisany „Najpilniejszy czytelnik” – to był nasz krakowski cenzor.

Bo „Tygodnik” wychodził legalnie i jak każda legalna publikacja w PRL-u podlegał cenzurze. Co więcej, spłacał serwitut w postaci państwowotwórczego tekstu w święta narodowe: 1 maja i 22 lipca. Gra z cenzurą polegała na wyklócaniu się o publikację kwestionowanych artykułów czy ich



fragmentów. Jeśli ingerencja zmieniała sens tekstu, redakcja dokreślała resztę zdeformowanego fragmentu albo wycofywała cały tekst. Stosowano też swoisty szyfr. Na przykład o Miłoszu, na którego nazwisko był zapis, pisaliśmy „Poeta”. Teksty-serwituty godzinami szlifowano w redakcji, żeby czyniąc zadość wymaganiom władzy, nie naruszyć granic uczciwości. Czytane dziś brzmią dość okropnie, ale wtedy każdy wiedział, o co chodzi, byliśmy od tego, co „między wierszami”. Dużo się tam mieściło.

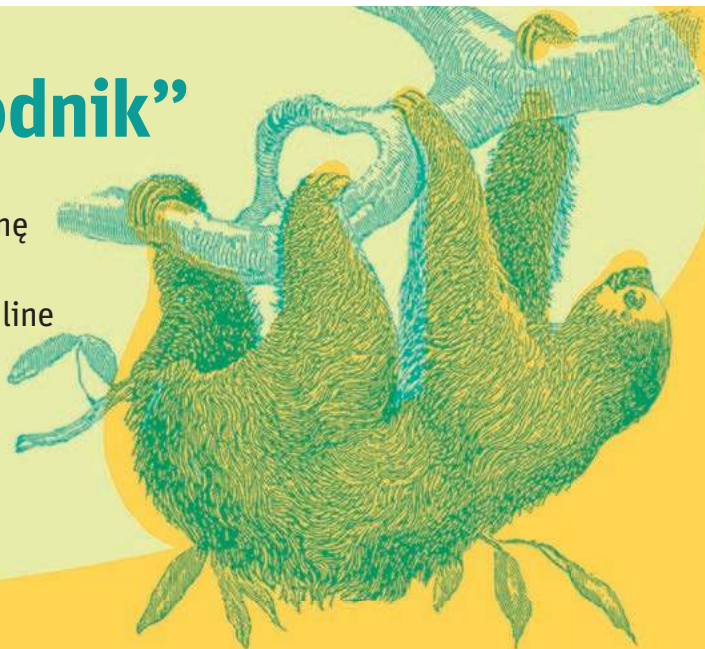
Te świadomie wybrane kompromisy były w oczach niektórych ludzi i środowisk nie do przyjęcia. Zarzucali „Tygodnikowi” akceptację sytuacji politycznej, a nawet współpracę z reżimem. Już sam fakt istnienia „Tygodnika” był przez „nieskazitelnych” uznawany za zgodę na przyjęcie roli figowego listka, mającego przesłonić przed światem bezceństwa ustroju. Ci jednak „Tygodnika” nie czytali. Ci zaś, którzy go czytali, zdawali sobie sprawę z absurdalności owych podejrzeń i zarzutów. Przede wszystkim wiedzieli o niej „najpilniejsi czytelnicy” w Komitecie Centralnym rządzącej wówczas Polską partii. Wystarczy przejrzeć wydane przez IPN w 2007 r. „Plany pracy Departamentu IV MSW na lata 1972–1979” (niestety opublikowano tylko ten jeden fragment planów), aby się przekonać, jak niebezpiecznym miejscem w oczach MSW i aparatu władzy PRL-u był „Tygodnik Powszechny”.

Wiadomo, że pisma opinii czytają przede wszystkim ludzie utożsamiający się z filozofią pisma. Kto myśli inaczej – nie czyta. Kto jest promotorem innego myślenia, ten bez pardonu krytykuje pismo, obrzydza je i zniechęca do niego, kogo tylko zdoła. Po 75 latach „Tygodnik”, wciąż ten sam, zachował przynajmniej dwie charakterystyczne dlań cechy. Przeciętą wieki redaktorów oraz zdolność denerwowania porządných ludzi. Lubię to. ©P

Spokojnie, jest „Tygodnik”

Czytaj specjalny cykl „Tygodnika” na kwarantannę na powszech.net/kwarantanna i zamów prenumeratę z darmowym dostępem online na powszech.net/zostanwdomu

weź, czytaj!



JESZCZE BĘDZIE NORMALNIE

14 Wielka kwarantanna

MAREK RABIJ
Zamknięte lotniska i centra handlowe. Opustoszałe bary i restauracje w miastach obleganych do niedawna przez turystów. Fabryki wyłączone z braku surowców i pracowników. Wirus SARS-CoV-2 zainfekował też globalizację.

**44 Obolałe Chiny**

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
Czego dowiedzieliśmy się o Państwie Środka za sprawą epidemii koronawirusa?

34 Komunia też podlega prawom biologii

ROZMOWA Z KS. ANDRZEJEM DRAGUŁĄ:
Nie znajduję teologicznego argumentu, że Najświętszy Sakrament czy woda święcona są wolne od możliwości przenoszenia infekcji.

**38 Wspólnota leczy**

PIOTR SIKORA
Epidemia przypomniała nam o kruchości naszego życia i zarazem wskazała wartość solidarności między ludźmi.

24 Straszny dwór

ANDRZEJ STANKIEWICZ
W zakażoną koronawirusem kampanię prezydencką PiS wchodzi osłabiony niczym pacjent z grupy podwyższonego ryzyka.

**100 W co się bawić**

MICHAŁ OKOŃSKI
Najgorszy czas w 75-letniej historii „Tygodnika”? To było za Gierka, kiedy dookoła bawiono się w najlepsze.



6 Wobec epidemii
MACIEJ MÜLLER

7-12 Wiadomości / Komentarze

22-23 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

24 Straszny dwór
ANDRZEJ STANKIEWICZ

28 Bunt pikerów
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ MRÓZ,
DZIAŁACZKĄ ZWIĄZKOWĄ:
*Pracownicy w globalnym łańcuchu
dostaw mają dziś wyjątkową siłę
przetargową*

30 Dziurawa Łódź
BARTOSZ JÓZEFIAK: *Kamienice
składają się tu jak domki z kart*

■ **WIARA**

**34 Komunia też podlega
prawom biologii** ROZMOWA
Z KS. ANDRZEJEM DRAGUŁĄ

38 Wspólnota leczy
PIOTR SIKORA

**40 Czarna i biała legenda
papieża** BARTOSZ HLEBOWICZ:
Otwarto archiwum Piusa XII

43 Nie tak ma być między wami
ZBIGNIEW NOSOWSKI: *Rekolekcje
wielkopostne: polskie pokusy (IV)*

■ **ŚWIAT**

44 Obolałe Chiny
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

48 Śmiech przez łzy
ROZMOWA Z MULIM SEGEVEM,
IZRAELSKIM TWÓRCĄ SATYRY
POLITYCZNEJ: *Nie ma tematu,
z którego nie można by żartować*



**61 WIELKIE PYTANIA NA NOWO:
Teorie wszyściego**

■ **FELIETONY** ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER **55** ANDRZEJ STASIUK
98 JAN KLATA **99** PAWEŁ BRAVO
106 STANISŁAW MANCEWICZ
106 BARTOSZ MINKIEWICZ

Redaktorzy prowadzący:
EWELINA BURDA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI

**Szanowne Prenumeratorki,
Szanowni Prenumeratory!**

W najbliższych tygodniach mogą powstać problemy
z dostawą „Tygodnika Powszechnego” do Państwa
skrzynek. Dokładamy wszelkich starań, by druk
i spedycja odbywały się bez opóźnień, jednak
nie mamy wpływu na cały łańcuch dystrybucji.
Prosimy serdecznie o wyrozumiałość
oraz cierpliwość.

50 Gotowanie z Kimem
ROMAN HUSARSKI Z LAOSU:
*Po co Korei Połudnocnej się
restauracji?*

**52 Elizabeth Warren
nie ustępuje** PIOTR
TARCZYŃSKI: *Poprze Berniego
Sandersa czy Joeego Bidena?*

■ **HISTORIA**

56 Ostatni
ANTONI DUDEK: *Stanisław Kania
doszedł na szczyt: od wiejskiego
aktywisty do szefa partii rządzącej*

59 Milczenie przełamywane
ANDRZEJ SZNAJDER:
Pamięć o Tragedii Górnosławskiej

■ **KULTURA**

86 Bajkopisarka z Instagrama
MAGDALENA NOWICKA-
FRANCZAK: *Blanka Lipińska
wyciska ze swoich 365 dni sławy
tyle, ile się da*

90 National Słowacki Company
DARIUSZ KOSIŃSKI:
*Wystawianie tekstów należących
do dziedzictwa kultury narodowej
to jeden z sensów istnienia stałego,
publicznego teatru dramatycznego*

93 Nienaiwni twórcy PIOTR
KOSIEWSKI: *Wystawa w Muzeum
Śląskim stawia pytania o status
tzw. sztuki naiwnej*

96 Krew i pieniądze ANITA
PIOTROWSKA o filmie „Eastern”
Piotra Adamskiego

98 Lektura na czas niepokoju
LEKTOR o książce „Skrywane”
Michała Komara

■ **75-LECIE „TYGODNIKA”**

100 W co się bawić
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **„Tygodnik” na kwarantannę**

ZOSTAŃCIE W DOMU. Zadbajcie nie tylko o zdrowie w jego fizycznym
wymiarze, ale także o kondycję psychiczną i duchową – w trosce o nie
przygotowaliśmy wybór najlepszych tekstów odpowiednich na ten
czas. tygodnikpowszechny.pl/tygodnik-na-kwarantanne

➔ **Pandemia koronawirusa [SERWIS SPECJALNY]**

Rzetelne **INFORMACJE I KOMENTARZE, ANALIZY
I KORESPONDENCJE** z całego świata – zapraszamy do
lektury aktualizowanego na bieżąco serwisu specjalnego.
powszech.net/serwis-koronawirus



Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



OBRAZ
TYGODNIA

WOBEC EPIDEMII

Nadzieja jest, ale sama sobie nie poradzi. Musimy jej pomóc.

MACIEJ MÜLLER

ŚLADEM INNYCH KRAJÓW EUROPY POLSKA wspiną się na niemal pionową ścianę wzrostu zachorowań na COVID-19. Podawanie liczb w chwili zamykania tego numeru „TP” nie ma sensu, ale jedno jest pewne: szczyt zachorowań przed nami; prawdopodobnie przez 3–4 tygodnie GIS będzie raportował coraz większe liczby infekcji i będzie rósł wskaźnik zgonów. Epidemiolodzy mówią, że walka z wirusem potrwa do wakacji; inni obawiają się nawrotu jesienią. Szczepionka to rzecz odległa: jej wynalezienie, zarejestrowanie i masowa produkcja to według optymistycznych prognoz kwestia roku.

Eksperti i środowisko lekarskie są zgodni: na początku epidemii rząd nie zapewnił odpowiedniego dostępu do testów na obecność patogenu. Prowadzono go jedynie u osób zgłaszających charakterystyczne objawy, które wróciły z zagranicy lub zetknęły się z kimś, kto tam był. Doświadczenia Korei i Niemiec

wskazują, że skuteczniejszą strategią ograniczenia zasięgu infekcji jest możliwie najszersze wykonywanie testów, w połączeniu z błyskawiczną izolacją zainfekowanych. Wąskim gardłem jest jednak liczba posiadanych w kraju testów oraz wydajność laboratoriów. W poniedziałek min. Łukasz Szumowski ogłosił, że sięgnęła ona 3 tys. badań na dobę.

Lekarze, pielęgniarki, ratownicy i diagnosty medyczni pracują dziś non stop. Ministerstwo wyznaczyło 19 szpitali, do których mają trafiać zdiagnozowani. Wszyscy z lękiem patrzą na kraje, gdzie już kilkanaście dni temu wprowadzono tzw. triaż: pomoc otrzymują w pierwszej kolejności ci najlepiej rokujący.

Celem strategicznym jest niedopuszczenie do przeciążenia szpitali. Jaki to limit? Zbyt wiele zmiennych wchodzi w grę, by próbować go oszacować. Można podać liczbę łóżek intensywnej terapii (ok. 7 tys.), respiratorów (ok. 10 tys.), personelu anestezjologicznego

*Przed apteką
w Warszawie,
13 marca 2020 r.*

i zakaźnego itp. Pod uwagę wziąć trzeba też dostępność masek, rękawic, środków dezynfekujących (bez nich najlepszy zespół nie może pracować). Ale kluczowa będzie i tak dynamika przebiegu epidemii. Nie możemy dopuścić do wystąpienia dużej liczby ciężkich przypadków naraz. Choroba COVID-19 wywołuje – głównie u osób starszych i osłabionych – obustronne śródmiąższowe zapalenie płuc. Duża liczba takich chorych paraliżuje system i zmusza lekarzy do wybiierania, kto dostanie respirator.

Nie mamy wpływu na takie czynniki rozwoju epidemii, jak podatność na infekcję (tu pomoże dopiero szczepionka). Ale mamy wszelkie narzędzia, by strzaskać inny filar, na którym wspiera się COVID-19: czynnik „okazji” do zakażenia. Im więcej obywateli ograniczy swą mobilność, tym większemu spłaszczeniu ulegnie krzywa epidemiczna. Infekcji może być dużo, ale rozłoży się w czasie. Ci, którzy koronawirusa przechorują (pamiętajmy, że 80 proc. zachorowań łączy się z objawami bardzo lekkimi), nie zakażą dalej, stworzy się „odporność stadna” – i epidemia zacznie wygasnąć.

Zmniejszyć możemy też prawdopodobieństwo infekcji: jeśli musimy wyjść z domu, unikajmy podawania sobie rąk, starajmy się naciskać łokciem klamki czy przyciski, nie dotykajmy twarzy (bramą dla wirusa są nos, oczy i usta) i myjmy dłonie, nie oszczędzając mydła. COVID-19 można przechodzić zupełnie bezobjawowo – ale można wtedy zarazić.

Zadanie stojące przed nami wszystkimi (choć nie przed personelem medycznym) zawiera się w hasło: „Zostańcie w domu”. Szkoły zamknięto, ograniczono handel, wiele firm przestawiło się na tryb zdalny. Dla ludzi zatrudnionych na „śmieciówkach” kwarantanna to dramat, odcięcie od dochodu; mnożą się apele do władz o programy pomocowe. To zatem i czas na działania władz, i szansa dla solidarności społecznej. Także w wymiarze opieki nad starszymi sąsiadami.

Internet, o którym tyle razy słyszeliśmy, że zwiększa dystans między ludźmi, teraz staje się narzędziem prawdziwego kontaktu. Do sieci przenosi się życie religijne i kulturalne. „Bóg nie przychodzi do nas jako epidemia – pisze w liście pasterskim abp Grzegorz Ryś. – Jego twarzą jest miłość, także ta, która z nową mocą rodzi się w nas w chwilach takich wyzwań: miłość, solidarność, sąsiedzka pomoc, wzajemna modlitwa”.

Nadzieja wisi w powietrzu, ale sama sobie nie poradzi. Pomóżmy jej. ©P

Wybory w maju nie do utrzymania

JAROSŁAW FLIS



PRZESUNIĘCIE TERMINU WYBORÓW PREZYDENCKICH wydaje się nieuniknione. Minione 10 dni to przykład tego, jak szybko społeczeństwo – wliczając w to jego liderów – podejmuje działania, które jeszcze wcześniej były niewyobrażalne.

Gdy idzie o kwestię utrzymania kalendarza wyborczego, opowiadają się za tym obecnie jedynie zwolennicy obozu władzy. Liczą zapewne na to, że majowy termin byłby korzystny dla urzędującego prezydenta, skoro w czas kryzysu obywatele zwykle skupiają się wokół władzy i spada chęć na dokonanie zmiany u steru.

Ale więcej jest przecież kontrargumentów – i to ponadpartyjnych. Wybory to kolosalne przedsięwzięcie organizacyjne, angażujące do jego obsługi ponad ćwierć miliona ludzi. W olbrzymiej części to osoby starsze, czyli z grupy ryzyka. Musiałyby się zdecydować, że przez cały dzień będą pozostawać w kontakcie z innymi. W przeciętnej komisji wyborczej w jesiennych wyborach sejmowych średnio co minutę

głosowała jedna osoba. Nie byłoby zaskoczeniem, gdyby teraz komisji po prostu nie udało się skompletować.

Wybory to podwyższone ryzyko także dla głosujących. Z tego powodu do urn poszłoby ich w maju zapewne mniej niż zwykle. W wyborach samorządowych we Francji, które mimo pandemii odbyły się w minioną niedzielę, nie wzięła udziału prawie jedna trzecia z tych, którzy głosowali poprzednim razem. Gdyby nasze wybory odbyły się w takich warunkach, ich wynik byłby nieprzewidywalny. Można się jednak spodziewać, że to nie zwolennicy obozu rządzącego wykazywaliby się wtedy większą determinacją.

Jest wreszcie argument wyszperany w kodeksie wyborczym przez dr. Łukasza Chojniaka z UW: jeśli wszyscy opozycyjni kandydaci zrezygnują, wybory przesuwają się z automatu. Taka decyzja oznaczałaby również potężne upokorzenie obozu władzy: jako dowód, że prze on do wyborów, nie zważając na naruszenie równych ich warunków. ©

Bezdomni: zapomniana grupa ryzyka

„**CHYBA ŚWIAT O NAS ZAPOMNIAŁ**” – alarmowała pod koniec ubiegłego tygodnia Adriana Porowska z Kamilińskiej Misji Pomocy Społecznej, prowadząca dom dla bezdomnych mężczyzn na warszawskim Ursusie (80 osób, głównie z grupy największego ryzyka: starszych i schorowanych). Brakowało chleba, procedur, wsparcia urzędników. Głos Porowskiej rozszedł się po mediach społecznościowych. – Odezwała się masa ludzi chcących pomóc, u nas zniknął np. problem chleba. Dzwonili urzędnicy. Organizacje skrzyknęły się na telekonferencji – mówi „Tygodnikowi” Porowska.

Główny wniosek z tego teledyskotankowania brzmi: nie zapominając o ludziach w kryzysie, nie można narażać ich na ryzyko.

– Coniedzielne spotkania na Plantach zostały zawieszone – mówi Piotr Żyłka z krakowskiej „Zupy na Plantach”. – Teraz skupiamy się na dowożeniu trwałej żywności do tzw. miejsc niemieszkalnych.

– Nie wiemy, co z naszymi regularnymi dyżurami na otwartej przestrzeni. Na razie kierujemy siły w stronę pomocy dla placówek – dodaje Maria Maciaszek, lekarka z krakowskiej Przystani Medycznej.

– Nie chodzi o chronienie siebie, tylko tych ludzi – tłumaczy Porowska. – Nie wolno nam się porywać na tanie bohaterstwo.

Choć zdążyli się policzyć i nawiązać współpracę, nadal boją się, co dalej. W oświadczeniu – m.in. Misji, Fundacji Zupa, Monaru czy Wspólnoty Chleb Życia s. Chmielewskiej – zaapelowali do władz o działania. Brakuje środków dezynfekcyjnych, higienicznych, procedur. „Wszystkie te fakty – piszą – składają się na dość dramatyczny obraz sytuacji”.

– Zapomniano o osobach przebywających na zewnątrz. Nie wiadomo, skąd brać dla nich żywność i jak ją dystrybuować. Boję się też o swoją placówkę. Mam niewielką kadre, co będzie, gdy i mnie dopadnie wirus? Kto mnie tu zastąpi, wojsko? – pyta Porowska.

– Brakuje procedur, jak rozmieszczać ludzi w placówkach i co robić na wypadek objawów u mieszkańca – dodaje Maciaszek. – Na razie nie czujemy wsparcia władz.

To wsparcie – mówią – musi nadejść szybko. Zanim wirus dotknie także bezdomnych. ©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Kościelna ewolucja wobec epidemii

ARTUR SPORNIAK



JAK SOBIE RADZĄ KSIĘŻA W OKRESIE pandemii? We Włoszech proboszcz parafii w Giussano w Lombardii poprosił parafian o *selfie*, zdjęcia ponaklejał na krzesła i w tak udekorowanym pustym kościele odprawiał msze. W Polsce ks. Jacek Socha, proboszcz parafii św. Mikołaja w Gdyni-Chyloni, chodził po ulicach z monstracją i błogosławił spotykanych ludzi. „Chciałem dać znać, że wymuszona przez sytuację izolacja nie musi być dla nas więzieniem” – wyjaśnił na Facebooku.

Rzeczywistość zgotowała wszystkim w ostatnim tygodniu intensywny kurs w uświadamianiu epidemiologicznego zagrożenia, co zaowocowało też ewolucją stanowiska biskupów: od wtorkowego wezwania przewodniczącego episkopatu, by zwiększyć liczbę mszy, aby w kościołach było mniej ludzi, przez czwartkowe zalecenie Rady Stałej udzielenia dyspensy od uczestnictwa w niedzielnej mszy nie tylko dla starszych i przebiegłych, ale też dla wszystkich, którzy „czują obawę przed zarażeniem”, po sobotnie jednoznaczne wezwanie do pozostania w domach. To radykalne ograniczenie liczby ludzi w kościołach wymuszone zostało wprowadzeniem przez rząd stanu zagrożenia epidemicznego i zakazu zgromadzeń powyżej 50 osób. Zdecydowana większość katolików posłuchała wezwań i uczestniczyła w mszach za pośrednictwem mediów.

Można powiedzieć, że Kościół w Polsce zdał pierwszy egzamin z odpowiedzialności. Poza jednym zaskakującym wyjątkiem: w kościołach diecezji szczecińsko-kamieńskiej odczytano list abp. Andrzeja Dzięgi wzywający katolików do „odwagi” w korzystaniu z wody święconej, której boi się diabeł, i przyjmowaniu komunii do ust, gdyż „Chrystus nie roznosi zarazków”. Zaniepokojeni diecezjanie – teolozka Małgorzata Wałęjko wraz z mężem – donieśli o tym fakcie do prokuratury. ©

Więcej o reakcjach Kościoła w serwisie: powszech.net/serwis-koronawirus

JAROSŁAW PYTLAK, PEDAGOG:

Zamknięcie szkół to również szansa

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: SzeF MEN mówi, że nauczyciele zrealizują podstawy programowe, skoro zrobili to podczas zeszłorocznych strajków. „Moja poprzedniczka, konstruując te podstawy, wprowadziła pewnego rodzaju zapas” – uspokaja.

JAROSŁAW PYTLAK: W tej wypowiedzi tylko jedna rzecz jest prawdziwa: iż strajki nie przeszkodziły w „realizacji”. Biorę to słowo w cudzysłów, bo chodziło jedynie o rytualne zaświadczenie personelu szkół, że wykonano plan. Była to dokładnie taka sama fikcja, jak będzie teraz, przy okazji przerwy związanej z epidemią. Po prostu podstawy programowe wprowadzone przez poprzedniczkę pana ministra są w większości niemożliwe do zrealizowania.

Dlaczego więc Dariusz Piontkowski mówi o „zapasie”?

Celem nie jest przekonanie środowiska nauczycielskiego, że to możliwe, tylko tych wyborców, którzy nie mają pojęcia, na czym polega uczciwa realizacja podstawy. A przez to skłonni są uwierzyć, że rząd wszystko tak doskonale wymyślił, iż sprawdza się nawet w czasie koronawirusa, a tylko źli nauczyciele nie potrafią tego wprowadzić.

„Dar od losu”. Tak zatytułował Pan jeden z wpisów na swoim blogu.

Gdy to pisałem, nie rozkręciła się jeszcze na dobre machina „zdalnego nauczania” w pol-

skich szkołach. Teraz nauczyciele jak Polska długa i szeroka jeli przenosić nudną, sztam-pową edukację z lekcyjnej sali do internetu. Do tej pory ładowaliśmy dzieciom do głów łopatami podstawy programowe, teraz będziemy robić to samo, tylko wysyłając im zadania online.



ROBERT GARDZIŃSKI / FORUM

Jest Pan dyrektorem szkoły.

Co Pan proponuje w zamian?

Odrutkę. Prosty przekaz: zróbcie to, co chcecie, nauczcie się czegoś, co was zainteresowało, i podzielcie się tym ze swoimi nauczycielami! Uszyjcie coś, nagrajcie, napiszcie, namalujcie.

Rodzice ósmoklasistów nie wściekną się na Pana?

Dla tych dzieci mamy platformę edukacyjną, ale zastrzegłem rozmawiając z nauczycielami, że mogą tam przysyłać zadania wyłącznie z polskiego, matematyki i angielskiego. Generalnie jednak przenoszenie rutyny i sztam-py z murów szkoły na laptopy nic nam nie da. Zadamy, odhaczymy, udokumentujemy, a potem się będziemy dziwić, że młodzi ludzie nie potrafią dobrze niczego poza realizowaniem czyichś zaleceń. Wykorzystajmy szansę, by choć na moment to zmienić. ©

JAROSŁAW PYTLAK jest pedagogiem, nauczycielem, kieruje zespołem szkół STO na warszawskim Bemowie. Twórca bloga wokolszkozy.edu.pl.

Rozszerzona wersja wywiadu na powszech.net/odtrutkaodszkozy

W poszukiwaniu leku

NIE MA AKTUALNIE ustalonej metody leczenia infekcji wirusem SARS-CoV-2. Jednak korzystając z doświadczenia poprzednich epidemii koronawirusów i wirusa ebola, naukowcy próbują leczyć substancjami, które wówczas okazały się skuteczne, lub choćby miały terapeutyczny potencjał. Tym sposobem kolejne wskazanie zyskała chlorochina – lek odkryty w 1934 r., stosowany w terapii malarii. Już w 2003 r. informowano o jej antywirusowym działaniu, a w ubiegłym tygodniu w Polsce dodano do wskazań leczenie infekcji SARS-CoV-2.

Innym obiecującym lekiem jest remdesi-wir, stworzony przeciwko wirusowi ebo-

la. Został zastosowany m.in. u pierwszego pacjenta z koronawirusem w USA. Sprawdzane są także leki stosowane w terapii HIV, immunoterapie, leczenie interferonem alfa, a nawet losartanem – lekiem na nadciśnienie.

Przełomem mogą okazać się badania nad samym wirusem. Prof. Marcin Drąg z Politechniki Wrocławskiej wraz z zespołem opisał jeden z kluczowych enzymów nowego wirusa. Stworzenie leku hamującego działanie enzymu pozwoliłoby wyeliminować patogen.

Łącznie na świecie trwa obecnie 300 różnych badań klinicznych. Trzeba jednak pamiętać, że na wirus SARS, który wywołał epidemię w 2003 r., do dziś nie ma szczepionki ani skutecznej terapii. © BARTOSZ KABAŁA

KRAJ W SKRÓCIE

SYMPATIA

Z najnowszego sondażu CBOS wynika, że największą sympatią Polacy darzą Czechów i Słowaków, a także Włochów, największą niechęcią natomiast – Arabów i Romów.

Sondażownia zauważa, że w ostatnim trzydziestoleciu nasz stosunek do narodów kiedyś mniej lubianych, np. Niemców, Ukraińców i Żydów – poprawił się, a do tych darzonych dużą sympatią, np. do Francuzów i Amerykanów – uległ pogorszeniu. Ilu Polaków lubi Polaków, nie podano.

EMPATIA

Medialna gwiazda ostatnich tygodni, szefowa kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy Jolanta Turczynowicz-Kierłyto podała się do dymisji, wyjaśniając, że powodem rezygnacji jest stan zdrowia. Współpracownicy prezydenta wyjaśniają, że dymisja pani mecenas, która jeszcze kilka dni temu „oświadczała dobitnie, że w pełni popiera program Zjednoczonej Prawicy”, nie ma związku z koronawirusem.

ANTYPATIA

Bez związku z koronawirusem rządzący nie odpuszczają opozycyjnemu marszałkowi Senatu. Do biura Fundacji Pomocy Transplantologii przy szpitalu, w którym pracował, weszli przedstawiciele CBA. Próbowali us tacić, czy pieniądze, jakie prof. Tomasz Grodzki miał rzekomo pobierać od pacjentów i ich rodzin, wpłacił na jej konto.

LICZBA TYGODNIA

80

złotych – tyle wyniósł utarg kierownika wagonu barowego WARS pod koniec ośmioipółgodzinnej podróży na trasie Szczecin–Kraków, jeszcze przed wprowadzeniem stanu zagrożenia epidemicznego. Zestawionym z siedmiu wagonów składem jechała garstka pasażerów.



BARTEK DOBRUCH

EPIDEMIA ZAMYKA GRANICE. Od północy z soboty na niedzielę granice Polski – podobnie jak innych państw regionu – są zamknięte, najpierw na 10 dni (z możliwością przedłużenia). Obywatele wracający do kraju lub opuszczający Polskę cudzoziemcy mogą to robić tylko przez wyznaczone przejścia, na reszcie ustawiono blokady. Granicę ze Słowacją można przekroczyć tylko w Barwinku i Chyżnem (na zdjęciu). W niedzielę ruch był tam niewielki, wpuszczano tylko wracających obywateli Polski, ich małżonków lub dzieci, cudzoziemców z Kartą Polaka oraz kierowców ciężarówek transportujących towary. Powrót do Polski wiąże się z obowiązkiem odbycia 14-dniowej kwarantanny. © P BD

Kultura w zamrażarce

JUŻ DZIŚ LICZBY ROBIA WRAŻENIE. Sto tysięcy złotych (Teatr im. Modrzejewskiej w Legnicy), kilkaset tysięcy (Zespół Pieśni i Tańca Śląsk) do kilku milionów złotych (stołeczna Roma) – instytucje kulturalne szacują, i to ostrożnie, swoje straty. Od 12 marca do odwołania zamknięte są w Polsce wszystkie kina, muzea, teatry, filharmonie i opery. Już wcześniej alarmowały one o topniejących budżetach: od dnia, gdy pojawiła się informacja o pierwszych infekcjach w Polsce, spadała frekwencja; nie pomogło obniżanie cen biletów.

Poznański oddział ZASP zamieścił w sieci list otwarty do ministra kultury, z apelem o zapomogi i rekompensaty w wysokości 80 proc. dochodów odwołanych spektakli i zajęć edukacyjnych. Podobny wniosek złożyli aktorzy. Proszą o rozwiązania, które w sytuacjach kryzysowych chroniłyby pracowników kultury – tylko kilka procent z nich pracuje na etacie.

Co dalej? Przesuwane są festiwale i premiery, zwykle na jesień. Ale bywa, że niektórzy je przyspieszają: na trzy miesiące przed planowanym terminem premiery Disney umieścił popularną animację „Kraina lodu 2” na swojej platformie streamingowej.

© P MONIKA OCHEŃDOWSKA

Kredyt – kwarantanna – karencja

BANKI UMOŻLIWIĄ KLIENTOM trzymiesięczne wakacje kredytowe – wynika z komunikatu Związku Banków Polskich. „Ułatwienia mają dotyczyć kredytów mieszkaniowych, konsumpcyjnych dla klientów indywidualnych, kredytów dla przedsiębiorców i będą polegać m.in. na szybkim rozpatrywaniu wniosków tych klientów, którzy uzasadnią konieczność odroczenia (zawieszenia) spłaty kredytu ich sytuacją finansową spowodowaną pandemią” – brzmi stanowisko ZBP. Wakacje kredytowe będą mogły zostać wydłużone o kolejny kwartał. Z komunikatu wynika również, że podstawą do obliczenia zdolności kredytowej dla nowo zaciąganych pożyczek będzie kondycja finansowa klientów według stanu na koniec grudnia 2019 r.

Nie wiadomo natomiast, na czym ma polegać „uzasadnienie konieczności odroczenia” i jakimi kryteriami banki będą kierować się przy rozpatrywaniu wniosków. W komunikacie brak też jednoznacznej deklaracji, że przyznanie wakacji nie zostanie powiązane ze zmuszeniem klienta do zawarcia aneksu, który zmieni warunki umowy na mniej korzystne.

© P MAREK RABIJ



FRANCESCA MANGIARDI / REUTERS / FORUM

Pielęgniarka Elena Pagliarini po 10-godzinnyim nocnym dyżurze w pogotowiu ratunkowym w Cremonie, w północnych Włoszech.

Miasto w letargu

ULICE PUSTE, mało który sklep otwarty, czynne są tylko spożywcze i apteki. Władze musiały pozamykać wszystkich w domu, bo kiedy wyciekła wiadomość, że poruszanie się między miastami będzie utrudnione, tysiące ludzi z południa przebywających na północy czmychnęło przepelnionymi pociągami i autobusami do domu, wioząc ze sobą chorobę. Ale i tak centrum epidemii pozostaje Lombardia i Mediolan.

W mieście epidemia narasta, ale nie eksploduje, tak jak to się stało w pobliskim Lodi, w Bergamo, Pawii i Cremonie. Z powodu licznych zgonów wywołanych koronawirusem w sobotę 14 marca w lokalnej gazecie „L'Eco di Bergamo” było 11 stron nekrologów. Szpitale pękają w szwach. Lekarze i pielęgniarki, pracując na nieraz 15-godzinnych dyżurach, przechodzą samych siebie. Ludzie wieczorami otwierają okna i chóralnie śpiewają np. arie „Va pensiero” Verdiego albo oklaskują poświęcenie medyków.

W kilku więzieniach wybuchły bunt, bo zablokowano widzenia, a osadzeni, co zrozumiałe, boją się, że w tak zatłoczonych miejscach łatwo się zarazić. Zginęło 13 osób.

Żeby krążyć po ulicach, trzeba móc udowodnić policjantom, że – jako jedna jedyna osoba z rodziny – wyszło się po zakupy albo idzie się odsikać psa. W internecie peł-

no więc memów z psami, których właściciele pożyczają je sąsiadom i które są ledwo żywe z powodu ciągłych spacerów.

Strategie walki z epidemią są zasadniczo dwie: pierwsza nie próbuje hamować rozprzestrzeniania się choroby, całe siły zostają skierowane na zabezpieczenie najbardziej podatnych (model brytyjski, do niedawna także niemiecki i częściowo francuski). W drugiej walczy się z rozprzestrzenianiem wirusa, izolując za pomocą nadzwyczajnych środków ludność (model chiński, koreański, włoski). Model pierwszy zwiększa potencjał ekonomiczny, a więc także polityczny kraju względem konkurentów, którzy przyjęli model drugi i muszą sobie radzić ze skutkami gospodarczymi, jakie on za sobą pociąga. Z powodów kulturowych i historycznych Włochy nie byłyby w stanie przyjąć pierwszego modelu, nawet jeśli ten drugi wdrażają niezdarnie i bez jasnej świadomości, dlaczego oraz po co to robią. Jest sporo momentów zawahania, opóźnień, oczywistych błędów. Ale udaje się ocalić godność i poczucie wspólnotowości, kosztem drakońskiego ograniczenia swobód.

A w tej tragicznej, surrealistycznej sytuacji zdarzają się też takie przypadki jak Luki B. z Mediolanu, młodego człowieka, który wyzdrowiał i wyszedł ze szpitala tylko po to, by zginąć kilka godzin później w wypadku samochodowym.

© FRANCESCO M. CATALUCCIO
z Mediolanu

Hiszpania, czyli drugie Włochy

W NOCY Z 14 NA 15 MARCA, gdy w Hiszpanii liczba zgonów z powodu koronawirusa zbliżała się do dwustu, premier Pedro Sánchez wprowadził stan nadzwyczajny w całym kraju. Do 30 marca zamknięte będą m.in. szkoły, parki, restauracje i sklepy (poza spożywczymi). Wychodzić z domu wolno tylko samotnie i w określonych wypadkach: po jedzenie, leki, do pracy, aby wynieść śmieci, wyprowadzić psa lub pomóc starszym. Państwo przejęło kontrolę nad prywatną służbą zdrowia i zaopatrzeniem sklepów. Przestrzegania stanu wyjątkowego pilnuje wojsko; za nieposłuszeństwo grozi nawet 600 tys. euro kary lub rok więzienia.

Na czas walki z wirusem rząd centralny podporządkował sobie wszystkie wspólnoty autonomiczne; jak powiedział Sánchez, „nie ma już politycznych barw, ideologii, terytoriów”. Decyzja została przyjęta ze zrozumieniem, ale są wyjątki: premierzy Katalonii i Kraju Basków oburzają się na „konfiskatę kompetencji”. Katalonia ogłosiła, że działania Madrytu są niewystarczające i że chce zamknąć swoje granice.

Hiszpania stała się drugim po Włoszech ogniskiem pandemii w Europie, a przyczyniły się do tego ogromne manifestacje z okazji Dnia Kobiet. Koronawirus nie ominął biorących w nich udział parlamentarzystek i szefów resortów. Chory może być też premier – nosicielką jest jego żona Begoña Gómez. Gdy kończę pisać ten tekst, w poniedziałek 16 marca rano, zarażonych jest już 7989, a zmarło – 295 osób.

© P. KALINA BŁĄŻEJOWSKA

Osobna droga Borisa Johnsona

BRYTYJSKI RZĄD CHCE STAWIĆ CZOŁO EPIDEMII inaczej niż reszta Europy. Przynajmniej na razie. Do minionego poniedziałku otwarte były granice, szkoły, restauracje. Dopiero miał zacząć obowiązywać zakaz masowych zgromadzeń. Chronien i mają być natomiast seniorzy powyżej 70. roku życia, przez nawet kilkumiesięczną domową samoizolację.

Powstało wrażenie, że Zjednoczone Królestwo odróżnia się na tle Europy podejściem cokolwiek stoickim. Media donosiły, że premier Johnson i jego doradcy liczą, iż społeczeństwo osiągnie tzw. odporność stadną, czyli że po fali zachorowań większość się uodporni. Ale to ryzykowne: infekcja może dotknąć miliony obywateli, nawet jeśli wielu miałoby przejść ją bezobjawowo lub lekko. List otwarty w tej sprawie wystosowało kilkuset naukowców: wzywają władze do podjęcia bardziej radykalnych środków, i to już teraz, bo ich zdaniem, na podstawie doświadczeń włoskich i hiszpańskich, wkrótce można się obawiać kilkudziesięciu tysięcy infekcji. „Staranie się o »odporność stadną« nie wydaje się obecnie wykonalnym rozwiązaniem, bo wiąże się z jeszcze większym obciążeniem dla służby zdrowia, co niepotrzebnie naraża życie wielu osób” – piszą naukowcy.

Jak dotąd 44 proc. Brytyjczyków uważa, że rząd dobrze radzi sobie z kryzysem (30 proc. sądzi odwrotnie). Trzy czwarte obywateli zmieniło nawyki dotyczące m.in. mycia rąk. Ale czy to wystarczy? Rząd ma w zanadrzu radykalne kroki. Wkrótce zobaczymy, czy się na nie zdecyduje.

© P. PATRYCJA BUKALSKA

Syria: trwa już 10. rok wojny

15 MARCA 2011 R. Syryjczycy wyszli na ulice zaprotestować przeciw opresji władz. Tego dnia służby zatrzymały i torturowały nastolatków, którzy malowali na murach hasła przeciw prezydentowi Baszarowi al-Asadowi. Potem protesty zaczęły się w całym kraju, zamieniły się w wojnę.

Po 9 latach trudno w Syrii znaleźć rodzinę, której w jakiś sposób nie dotknąłby ten zbrojny konflikt. Zginęło co najmniej 400 tys. ludzi, za granicą przebywa 5,6 mln uchodźców, jest też ponad 6,6 mln tzw. uchodźców wewnętrznych. Wielu z nich musiało kilkakrotnie uciekać przed wojną w różnych częściach Syrii. Ponad 13 mln ludzi potrzebuje pomocy. A to wszystko dzieje się w kraju, który do 2011 r. liczył 22 mln mieszkańców.

Asad nie został obalony, jak chcieli tego pierwsi demonstranci. Co więcej, kontroluje 70 proc. powierzchni kraju i jego pozycja jest niezagrożona. Jest zwycięzcą wojny wciąż dalekiej od zakończenia. Trudno o nadzieję, by za rok, gdy wojna wejdzie w drugą dekadę, Syryjczycy przybliżyli się do upragnionego pokoju i lepszego życia, o którym tak marzyli w 2011 r. © PP



Oni nie mogli zostać w domu

TERAZ SĄ W GRUPIE RYZYKA. Uchodźcy i migranci, zwłaszcza ci mieszkający w przepelnionych lub tworzonych *ad hoc* obozach, są bardziej od innych narażeni na COVID-19. Na greckiej wyspie Lesbos, gdzie w obozie Moria (na zdjęciu powyżej) żyje ok. 20 tys. ludzi, w minionym tygodniu wykryto pierwszy przypadek koronawirusa. Chorego udało się odizolować, lecz lekarze boją się, że epidemia i tak rozprzestrzeni się tu wyjątkowo szybko. Uchodźcy często mieszkają na gołej ziemi (wielu, zwłaszcza dzieci, ma od tego kłopoty z oddychaniem); są odwodnieni i cierpią na niedobór witamin (często występują np. zapalenia dziąseł), godzinami na zimnie czekają do pryszniców, po czym wracają do zawilgniętych namiotów – to obniża ich i tak niższą odporność. Co więcej, od lipca 2019 r. nie mogą korzystać z greckiej publicznej służby zdrowia.

Na razie na Lesbos epidemia to tabu: na wyspie, gdzie w ostatnich tygodniach trwały zamieszki i odnotowywano przypadki pobic obcokrajowców, lęk przed koronawirusem i związanymi z nim plotkami i dezinformacją to coś więcej niż sam lęk o zdrowie. © © ŻYM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PUSTY PLAC ŚW. PIOTRA pobłogosławił papież w niedzielne południe: takiego obrazu Watykan jeszcze nie widział. Franciszek mężczy trwająca już trzy tygodnie izolacja od wiernych. Po południu tego dnia ją przerwał: odwiedził bazylikę Matki Bożej Większej, gdzie modlił się przed obrazem Ocalicieli Ludu Rzymskiego, oraz kościół św. Marcelego z cudownym krzyżem, który noszono w procesjach w czasach zarazy. Tego samego dnia Watykan zdementował wcześniejsze informacje, że uroczystości Wielkiego Tygodnia odbędą się bez udziału wiernych: „Trwają prace nad takim uczestnictwem, które sprostą wymogom bezpieczeństwa” – podano. Na wyraźne życzenie papieża kościoły w diecezji rzymskiej pozostają otwarte dla wiernych, którzy chcą się indywidualnie modlić. Natomiast nabożeństwa są odprawiane bez wiernych, jak w całym Włoszech.

POUFNY LIST, jaki wysłał do kapłanów osobisty sekretarz papieża, ks. Yoannis Gaid, utrzymany jest w podobnym duchu (prawdopodobnie powstał on za zgodą lub nawet na życzenie Franciszka). Gaid apeluje do księży, by nie odmawiali wiernym posługi, którą uznaje za równie ważną, jak pracę lekarzy. Zachęca, by odwiedzali wiernych w domach („skoro kurier może dostarczać pizzę, dlaczego nie mielibyśmy nieść komunii”). Kończy się słowami: „Obyśmy nigdy nie usłyszeli słów: nie pójdę do kościoła, bo Kościół nie przyszedł do mnie, gdy byłem w potrzebie”.



PIOTR BERNARDYN, autor tekstu na s. 44, będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia Tok FM, w czwartek 19 marca, o godz. 16.00. 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Car Putin

ANNA ŁABUSZEWSKA



JUŻ OD POŁOWY STYCZNIA TRWA W Rosji operacja mająca umożliwić Władimirowi Putinowi dalsze rządy. W minionym tygodniu, 10 marca, Duma Państwowa przegłosowała kluczową poprawkę do konstytucji, „zerującą” dotychczasowe kadencje prezydenckie Putina, czyli umożliwiającą mu udział w kolejnych wyborach prezydenckich i sprawowanie władzy przez kolejne dwie kadencje – teoretycznie do roku 2036.

Pierwszą częścią spektaklu była wymiana na stanowisku premiera: nowym szefem rządu został nieznany wcześniej Michaił Miszustin, a dotychczasowy premier Dmitrij Miedwiediew został wiceprzewodniczącym Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. W części drugiej – rozciągniętej na kilka tygodni – toczono *quasi*-debaty nad poprawkami do ustawy zasadniczej. Imitowano też aktywność społeczną i poparcie dla zamiaru wzmocnienia władzy prezydenckiej.

Wisienką na torcie była część trzecia: 10 marca Duma w zwyczajnym sennym trybie rozpatrywała poprawki, gdy na trybunę „bez żadnego trybu” weszła Walentina Tiersieszkowa, pierwsza kobieta w kosmosie, a dziś deputowana z ramienia partii rządzącej. Zaapelowała do izby, by przegłosować wyzerowanie dotychczasowych kadencji Putina w związku z nowelizacją konstytucji. Deputowani przyjęli propozycję oklaskami. Choć nie było tego w planie, prezydent momentalnie przyjechał do Dumy, by zaakceptować propozycję Tiersieszkowej. Zmiany przyjęto. Kolejne elementy rekorderowo szybkiej ścieżki legislacyjnej były zgodne ze scenariuszem: poprawki przyjęła Rada Federacji (izba wyższa) i zaakceptował Sąd Konstytucyjny. Na 22 kwietnia planowane jest ogólnonarodowe głosowanie.

Tak oto Putin zagaił czasoprzestrzeń i w roku 2024, gdy kończy się jego obecna kadencja, znów będzie świeżym kandydatem na prezydenta i może w zgodzie z konstytucją rządzić przez kolejnych 12 lat. Co najmniej, bo nie wiadomo, jakie zaginięcie czasoprzestrzeni przyda się wcześniej czy później. ©

Więcej na blogu autorki na stronie „TP”.

KULTURA W SKRÓCIE

TEATRY

Zamknięte z powodu pandemii koronawirusa polskie instytucje kulturalne masowo przenoszą swoją działalność do internetu. Spektakle online udostępniają m.in. Teatr Nowy z Poznania, TR Warszawa i krakowska Groteska – po raz pierwszy w sieci można obejrzeć razem z dziećmi spektakl „Brzydkie Kaczętko”.



TEATR GROTESKA

MUZEA

Z kolei na virtualne oprowadzania po swoich wystawach zapraszają Muzeum POLIN, Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku czy Muzeum Narodowe w Krakowie. Bogaty program działań ogłosiła warszawska Zachęta: tu oprowadzania po wystawach odbywają się w stałych godzinach. Intensywnie działają także mniejsze instytucje: Centrum Sztuki Galeria EL w Elblągu zorganizowała 12 marca transmisję internetową z wernisażu wystawy Tomasza Matuszaka.

OPERY I FILHARMONIE

Wiedeńska Opera Państwowa zaplanowała repertuar dla internautów aż do 2 kwietnia. Każde nagranie pojawia się o godzinie 19 (poza zwykle długimi operami Wagnera, które rozpoczynają się o 17) i jest dostępne w sieci przez 24 godziny. Nie brakuje polskich akcentów: Piotra Beczałę dwukrotnie obejrzymy w „Tosce”, a Tomasza Koniecznego w „Pierścieniu Nibelunga”. Z kolei do 31 marca kod „BERLINPHIL” zapewni bezpłatny wstęp do „cyfrowej sali koncertowej” na wszystkie koncerty Berliner Philharmoniker.

Radio Mann

STUK, STUK, STUK, STUK, KANAŁ LEWY. Stuk, stuk, stuk, stuk, kanał prawy. Kilka kontrolnych szumów z głośników rozstawionych w kątach pokoju. I jeszcze Mazur Moniuszki. I ten głos. „Dla dorosłych i dla dzieci zaczynamy Program Trzeci” – mówił Wojciech Mann. Była połowa lat 80. XX wieku, kilka minut przed szóstą rano: Trójka zaczynała właśnie nadawać i można było zacząć dzień.

O czystkach w Programie III napisano w ciągu ostatnich kilkudziesięciu miesięcy – gdy, stosując taktykę salami, kierownictwo stacji pozbyło się m.in. Jerzego Sosnowskiego, Michała Nogasia, Marcina Zaborskiego i Dariusza Rosiaka – tyle mocnych słów, że czuję się zwolniony od wygłaszania kolejnej jeremiady; spadająca słuchalność stanowi zresztą najlepszy komentarz. Inna sprawa, że odejście trójkowej legendy, która pracowała tu 55 lat, jest stratą nieporównywalną z tamtymi – choć pewnie on, wiele audycji



GRAŻYNA WYSLIŃSKA / FORUM

tworzący z partnerami, obruszyłby się na to w poczuciu, że radio jest zawsze efektem pracy zespołowej.

Obecni władcy anteny nie zdają sobie pewnie sprawy, z jaką stratą się mierzą. Szczęśliwie to nie mój problem. Ja chcę po prostu podziękować człowiekowi, z którego głosem – i tekstami, bo przecież oprócz Trójki był magazyn „Non Stop” – zrosła się cała moja młodość i spora część dojrzałości. Podziękować za ciepło antenowej obecności, za absurdałne poczucie humoru, którym rozjaśniał jeszcze końcówkę

PRL-u w audycji „Nie tylko dla orłów”, a przede wszystkim za muzykę. Wiem, że ostatnimi czasy potrafił dzięki niej skomentować niejedną „występ” publicysty czy polityka, ale nawet nie to mam na myśli; chodzi mi głównie o liczne „nieprzeboje” bluesowe czy rockowe, o amerykańskie granie spod znaku Lynyrd Skynyrd albo The Allman Brothers Band.

„Jak się wszystko dobrze ułoży, to się jeszcze usłyszymy” – powiedział „Gazecie Wyborczej”. Czego sobie i Wam życzę. © © MICHAŁ OKOŃSKI



MARCIN OBARA / PAP

OCHOTNICY ZGŁASZAJĄCY GOTOWOŚĆ

zrobienia komuś w potrzebie zakupów, ugotowania obiadu czy wyprowadzenia psa. Terapeuci oferujący chwilę rozmowy przez internetowe komunikatory osobom, które doświadczają lęku. Instruktorzy jogi gotowi poprowadzić zajęcia online – w chwili zamknięcia tego numeru „TP” facebookową grupę samopomocy „Widzialna ręka” tworzyło blisko 70 tys. osób, w ponad stu miejscowościach i gminach powstawały grupy lokalne, a inicjatyw nieodpłatnego wsparcia było tyle, że wyliczyć nie sposób. Zasady są proste: ci, którzy chcą pomóc, piszą „#pomogę”, ci, którzy potrzebują pomocy – „#potrzebuję”, do tego życzliwość i cierpliwość. Więcej: www.fb.com/groups/widzialnareka © © M O

Teoria umysłu: dwa obwody

„POSZEDŁ UMYĆ DŁONIE – pewnie chce uniknąć zakażenia”. Gdy przeprowadzamy rozumowania dotyczące treści myśli innych osób, używamy tzw. teorii umysłu. W psychologii trwa spór, kiedy ta umiejętność pojawia się u dzieci. Najczęściej mówi się o czwartym roku życia, choć niektóre eksperymenty sugerują, że powstaje ona znacznie wcześniej. Charlotte Wiesmann i współpracownicy opisali w „PNAS” eksperyment, który może wyjaśniać te rozbieżności.

U trzy- i czterolatków przeprowadzono tzw. test fałszywych przekonań. Dzieci ogląda-

ły filmik z kotem ścigającym mysz, która umykała do jednej z dwóch dziur. Potem kot się oddalał, a mysz dyskretnie przechodziła do drugiej dziury. Gdy kot wracał, dzieci spoglądały na tę dziurę, nad którą, według nich, kot się zaczął – badacze zaś śledzili ich wzrok i rejestrowali aktywność mózgu.

Zarówno trzylatki, jak i czterolatki zerkwały na tę dziurę, w której myszy nie było – intuicyjnie rozumiejąc, że kot będzie kierował się swoją fałszywą (nieaktualną) wiedzą. Jednak gdy wprost je pytano, gdzie kot zacznie szukać myszy, tylko czterolatki odpowiadały poprawnie. Nie dlatego, że tylko one zrozumiały pytanie – okazało się, że podczas oglądania scenki aktywowały one inne niż młodsze dzieci części mózgu. © © Ł K

**W marcu 2020 roku świętujemy
75-lecie „Tygodnika Powszechnego”**

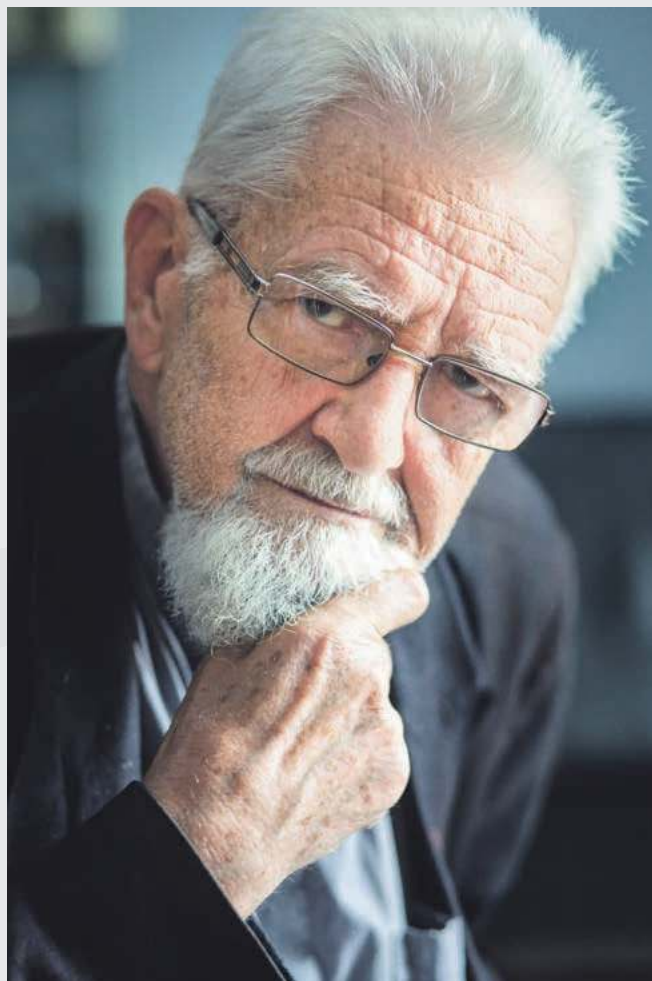
Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie
moglibyśmy robić takiego pisma,
jakie byśmy chcieli Wam dać
i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego
75-lecia, prosimy o przekazanie nam
1% w rozliczeniu rocznym, a także
o darowizny – aby „Tygodnik” mógł
trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej
pory, niezależnie od okoliczności.



ks. Adam Boniecki



FOT. GRAŻYNA MAKARA

Przełącz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce **Cel szczegółowy 1%: TP75**

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar





TEMAT
TYGODNIKA

WIELKA KWARANTANNA

Fabryki wyłączone z braku surowców i pracowników.
Zamknięte lotniska i centra handlowe. Opustoszałe restauracje i bary
w centrach miast obleganych do niedawna przez turystów.
Wirus SARS-CoV-2 zainfekował też globalizację.

MAREK RABIJ



NICOLAS ASTOURI / AFP / EAST NEWS

Pekin, 4 marca 2020 r.

NIE WIADOMO, Z CZYM MAMY DO CZYNienia. Może to już recesja, a może czeka nas tylko wyhamowanie. Być może przestój wymuszony epidemicznymi zasadami bezpieczeństwa potrwa dwa tygodnie. A może dwa miesiące. Albo dłużej. W gruncie rzeczy nie wiadomo, czy wirus SARS-CoV-2 nie zostanie z nami na stałe, wymuszając trwałą zmianę nawyków, stylu życia i hierarchii wartości. Koncern LVMH, właściciel marek Dior, Guerlain i Givenchy, właśnie przestawia swoje trzy linie do produkcji perfum na wytwarzanie dobra luksusowego, którym stały się nagle płyny do dezynfekcji.

Pewne jest, że za sprawą Wielkiej Kwarantanny na horyzoncie majaczy widmo Wielkiego Kryzysu zglobalizowanej gospodarki opartej na swobodnym przepływie ludzi, kapitału i towarów. Szacunki strat obarczone są zbyt dużym marginesem błędu, żeby traktować je poważnie. Wątpliwości nie budzi jedynie tendencja. Jeszcze pod koniec stycznia większość takich analiz opierała się na przekonaniu, że zasięg epidemii uda się ograniczyć do Chin i kilku ościennych państw azjatyckich, a wirus SARS-CoV-2 uderzy głównie w produkcję przeniesioną do Azji i osłabi wydatki tamtejszych konsumentów. Zliczony w ten sposób rachunek oscylował między 150 a 400 mld dolarów. Drobiazg przy skali globalnej gospodarki, która w tym roku miała wytworzyć produkty i usługi za około 94 biliony dolarów.

Widmo recesji

Trzy tygodnie później, gdy choroba zaatakowała właściwie całe północne Włochy, nikt nie miał już wątpliwości, że kryzys rozleje się także na kraje rozwinięte i zanim jeszcze WHO ogłosiło oficjalnie stan pandemii, ekonomiści byli jej już pewni w światowej gospodarce. 6 marca Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) opublikowała raport, w którym szacowała, że globalny produkt krajowy brutto w 2020 r. wzrośnie prawdopodobnie o 2,4 proc. a nie – jak przewidywała jeszcze w listopadzie – o 2,9 proc. Autorzy analizy zastrzegali jednak z góry, że w czarniejszym scenariuszu, uwzględniającym wystąpienie pandemii, która zasięgiem obejmie cały świat, globalny wzrost w tym roku może spowolnić aż do 1,5 proc. Słowem – w trzecią dekadę

XXI wieku świat wkroczy w stan bliższy stagnacji.

Rozwój sytuacji w kolejnym tygodniu po publikacji raportu OECD wskazuje, że jego autorzy podeszli do szacowania skali strat ostrożnie. Zamknięte granice lub drastyczne ograniczenia dla ruchu cywilnego pomiędzy większością krajów Europy i Azji. Blokada połączeń lotniczych między Starym Kontynentem i USA. Stany wyjątkowe i ich odpowiedniki od USA po Tajwan.

W Wielkiej Kwarantannie znalazła się także Polska. Minister rozwoju Jadwiga Emilewicz kilka dni temu przyznała, że epidemia koronawirusa może w tym roku obniżyć wzrost PKB z prognozowanych wcześniej 2,9 proc. do 1,6 proc. Oznaczałoby to realnie około 50 mld zł mniej w obiegu gospodarczym, kwotę zbliżoną do sumy podatków PIT zapłaconych w zeszłym roku przez wszystkie pracujące w Polsce osoby fizyczne (64,3 mld zł). Politycy PiS na razie nie mówią tego oficjalnie, ale dla wszystkich obserwatorów polityki gospodarczej oczywiste jest to, że narracja o państwie dobrobytu i zapowiedzi zrównoważonego budżetu na rok 2020, które miały być jednym z asów w rękawie walczącego o reelekcję prezydenta Andrzeja Dudy, trzeba odłożyć na inną kampanię.

Bezrobocie, które przez ostatnich kilka lat interesowało najwyżej garstkę socjologów, znów stanie się ważnym problemem społecznym. Przyspieszy także inflacja, która w drugiej połowie roku miała dać odpocząć portfelom, bo zapowiedziana obniżka stóp procentowych, którymi NBP będzie stymulować gospodarkę, nałoży się na zmniejszoną podaż wielu produktów.

O cięciu rozdętych wydatków społecznych, na czele z „nienaruszalnym” programem 500 plus, nie ma oczywiście na razie mowy, ale w skrajnie niekorzystnym scenariuszu trzeba brać pod uwagę i to. Nawet ze wsparciem z Unii, która na złagodzenie skutków epidemii COVID-19 planuje przekazanie Polsce 7,4 mld euro, pakiet stabilizacyjny, niezbędny do ograniczenia skali gospodarczych spustoszeń, wyskrobie z dna państwowego skarbcza ostatnie grosze.

„Nie można mówić o kryzysie ani recesji” – uspokaja minister Emilewicz. Ale od razu dodaje, że polska gospodarka przejdzie w najbliższych miesiącach ➔

→ najpoważniejszą próbę obciążeniową od 2008 r., kiedy to wybuchł kryzys po upadku Lehman Brothers. Blokada granic nie dotyczy wprowadzenia wymiany towarowej, ale zamknięcie centrów handlowych, punktów usługowych, zawieszenie działania restauracji i barów, wreszcie nakaz zamknięcia instytucji kulturalnych – wszystko to musi prędzej czy później uderzyć w jeden z trzech filarów gospodarki, którym obok eksportu i inwestycji jest konsumpcja. Wielkość strat zależy będzie od tego, jak szybko (i czy w ogóle) uda się powstrzymać rozwój epidemii.

Jeżeli – co wydaje się w tej chwili wątpliwe – wystarczy do tego dwa tygodnie, koszty kwarantanny nie będą dotkliwe. Jeśli jednak czeka nas powtórka scenariusza chińskiego, w którym gospodarka po blisko trzech miesiącach przestoju zaczęła dopiero wracać na stare tory, zapowiedziane przez rząd spowolnienie może zmienić się w regularną, niewidzianą w Polsce od lat recesję.

Rząd obiecuje wprowadzenie działań stabilizujących, a prezes Narodowego Banku Polskiego, wbrew własnym deklaracjom sprzed zaledwie kilkunastu dni, rekomenduje Radzie Polityki Pieniężnej cięcie już i tak bardzo niskich stóp procentowych – część ekonomistów ma jednak wątpliwości, czy klasyczna inżynieria monetarna, stosowana w trakcie poprzednich kryzysów, może się okazać skuteczna także w zwalczaniu tego bieżącego. Dotychczasowe recesje miały najczęściej źródło w załamaniu popytu wywołanym np. krachem na giełdzie, konfliktem wojennym, upadkiem wielkiej korporacji lub po prostu przegraniem koniunktury. Rządy nauczyły się, że najskuteczniejszą metodą na powstrzymanie paniki jest zasypanie rynku tanim pieniądzem, który ułatwia firmom podjęcie decyzji o inwestycjach (i powstrzymaniu zwolnień), a gospodarstwom domowym skracając drogę do upragnionych dóbr za pomocą kredytu.

Z tym kryzysem nie pójdzie tak łatwo.

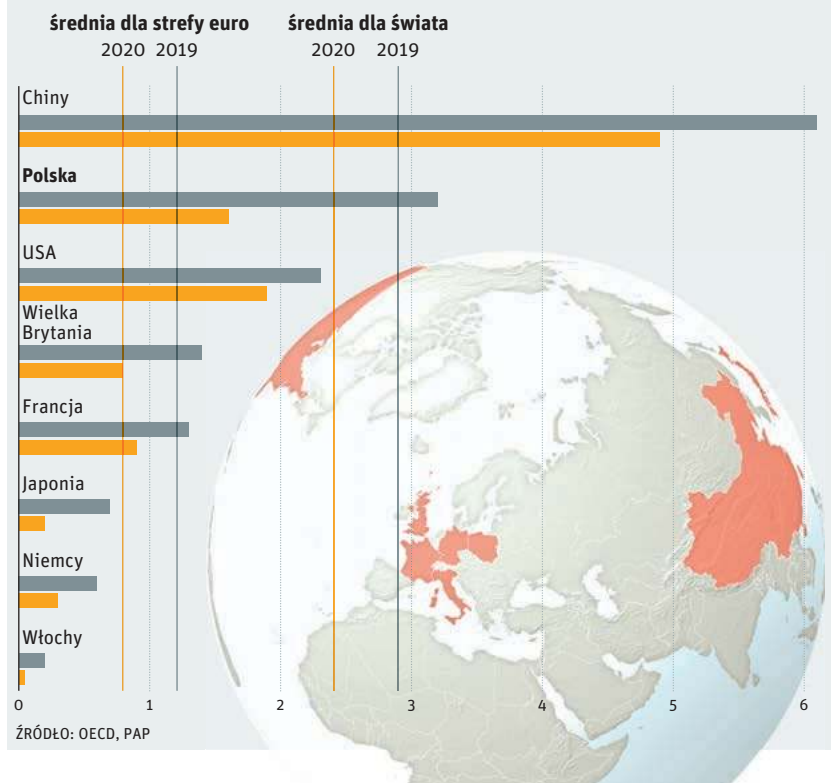
Choroba podaży

Dlaczego? Otóż restauracje, bary, kawiarnie czy linie lotnicze Europy nie zamarły w bezruchu z braku klientów. Konsumentów wraz z pracownikami odesłano na izolację. Fabryki ograniczają produkcję nie dlatego, że nie ma chętnych na ich towary. Im także brakuje pracowników,

OECD OBNIŻA PROGNOZĘ PKB

(DANE W PROC.)

■ wzrost w 2019 r.
■ prognoza na 2020 r.



a sytuację pogarszają dodatkowo trudności z dostawami surowców. Obecny kryzys lub – jak kto woli – spowolnienie gospodarek państw rozwiniętych zaczyna się więc po stronie podaży, którą koronawirus sparaliżował w pierwszej kolejności. Dopiero w drugiej fazie, w reakcji, pojawi się nieunikniony spadek popytu.

Wyobraźmy sobie np. właścicieli prywatnego, dobrze prosperującego przedszkola, na których z dnia na dzień spada nakaz zamknięcia placówki na dwa tygodnie. Dziesięciodniowy przestój – odliczając wolne weekendy – nie stanowi jeszcze problemu. Po dwóch tygodniach okazuje się jednak, że władze postanowiły zamknąć wszystkie placówki edukacyjne odwołania. Czy odizolowani w domach rodzice w geście solidarności z właścicielami zdecydują się miesiącami płacić czesne za niedziałające przedszkole, nawet jeśli rząd zaoferuje im w tym celu tani kredyt? Wątpliwe – a to z kolei oznacza, że wychowawczynie w przedszkolu, które też są klientkami innych firm, muszą się liczyć ze zwolnieniami. W najlepszym razie – z obniżką pensji.

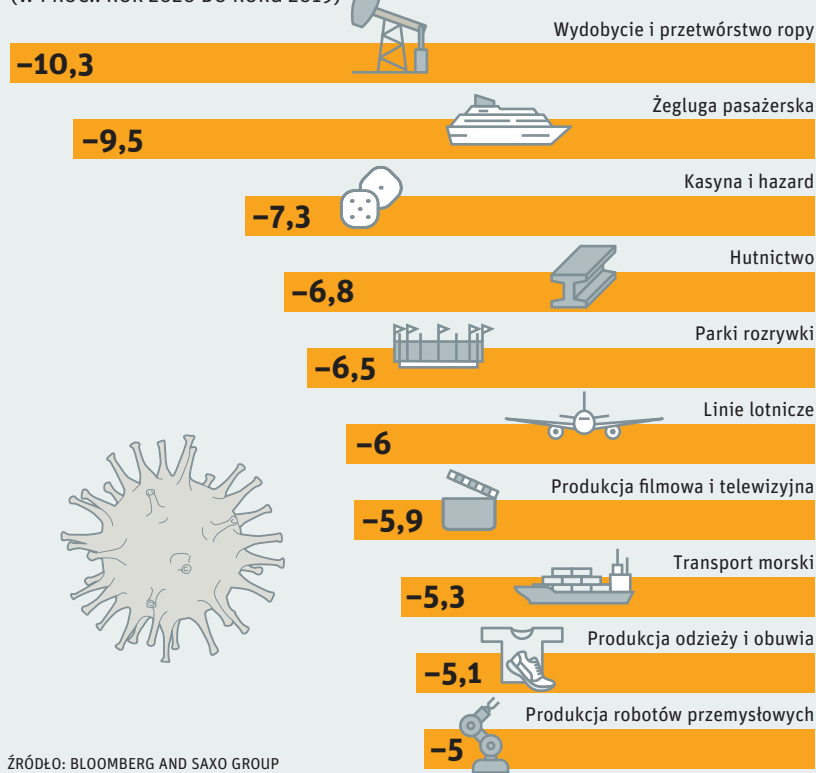
Model, w którym budżet centralny płaci firmom jedynie za to, żeby w czasie przestoju nie zwalniały ludzi, wydaje się zbyt trudny w realizacji. Nie ma gwarancji, że po otrzymaniu wsparcia właściciel i tak nie zdecyduje się na zwolnienie zbędnych chwilowo pracowników.

Ten scenariusz już się realizuje. Pracownicy jednej z największych krakowskich agencji eventowych już kilka godzin po ogłoszeniu przez rząd stanu zagrożenia epidemicznego dostali od zarządu do wyboru: przejście na pół etatu lub zwolnienie. Nerwy puszczały nawet wielkim. Linie lotnicze SAS 15 marca podjęły decyzję o zwolnieniu 90 proc. personelu, czyli blisko 10 tys. osób. Redukcje, jak zapewnił szef firmy Rickard Gustafson, mają charakter tymczasowy, ale dziennikarzom obecnym na konferencji, podczas której ogłoszono cięcia, nie udało się już wydobyć z prezesa wyjaśnień, jak „tymczasowość” definiuje przedstawiciel branży, która do końca roku odczuje aż 19-procentowy spadek przychodów.

Pytań o etos pracy i relację między jej ceną a przydatnością będzie więcej. Nie-

ZMIANA RENTOWNOŚCI W WYBRANYCH BRANŻACH

(W PROC.: ROK 2020 DO ROKU 2019)



spodziewanie ocknęliśmy się bowiem w świecie, w którym bez zakłóceń funkcjonują jedynie sektory oparte na pracy sklepowych, kierowców ciężarówek, listonoszy i pracowników firm kurierskich, urzędników, policjantów, pielęgniarek i ratowników medycznych – czyli grup zawodowych, które w rozpadzonej gospodarce spycha się zwykle na dalszy plan, nierzadko przypisując im brak chęci adaptacji do tempa zmian cywilizacyjnych, a czasem po prostu roszczeniowość. Na co dzień ich praca uchodzi za niewartą wysokiego wynagrodzenia, w przeciwieństwie do umiejętności specjalistów od optymalizacji podatkowej czy internetowych influencerów przydatnych w kształtowaniu nowych mód konsumenckich.

Z chwilą, kiedy dominującym trendem sezonu staje się „pozostać zdrowym”, wszelkie kuglarstwo gwałtownie traci na wartości.

Wioska globalna inaczej

Jest więc coś symbolicznego w tym, że kryzys zaglądający dziś w oczy mieszkańcom sytej Europy i USA, przychodzi

z miejsc, do których Europejczycy i Amerykanie przez lata odsyłali właśnie etaty szwaczek, szewców, hutników, blacharzy i innych profesji uznanych za zbędne wysoko rozwiniętym gospodarkom.

„Panie prezydencie, te miejsca pracy już nie wrócą” – powiedział Steve Jobs do Baracka Obamy, gdy ten tuż po zaprzysiężeniu spytał go o szanse ponownego otwarcia fabryk Apple’a w USA. Dla szefów wielkich koncernów outsourcing produkcji w Azji i Afryce stał się w ostatnich dekadach filarem biznesplanów opartych na założeniu, że koszty działalności ponosi się tam, gdzie są one najniższe. W rezultacie najwięksi producenci elektroniki użytkowej, odzieży, produktów wyposażenia wnętrz i dziesiątków innych dóbr zmienili się we właścicieli marek i praw materialnych do projektów, którzy z produkcją nie mają oficjalnie nic wspólnego, bo w towar zaopatrują ich zagraniczni kontrahenci.

W tym modelu działalności towarem staje się także sama praca, a im taniej uda się ją kupić, tym lepiej dla wyników finansowych. Najzdrowsza polska spółka wydobywcza, KGHM Polska Miedź S.A.,

która wydobycia rudy miedzi nie jest w stanie przenieść poza swoje dolnośląskie kopalnie, w 2018 r. miała 20,5 mld zł przychodu, który wypracowało jej 34,4 tys. pracowników. Na jednego zatrudnionego przypadało tu zatem ok. 596 tys. zł. Gdańskiej spółce LPP, największemu polskiemu dostawcy odzieży zlecającemu produkcję w fabrykach w Chinach, Bangladeszu i Birmie, każdy z 2309 pracowników etatowych przyniósł natomiast 3,48 mln zł. Dzięki temu LPP zamknęła rok 2018 przychodem na poziomie 8,04 mld zł.

Z punktu widzenia zamawiającego outsourcing produkcji ma same zalety. Nie wymaga mrożenia kapitału w budowie fabryk, pozwala elastycznie reagować na zmiany koniunktury, a szkody środowiskowe i napięcia społeczne wywołane działalnością spadają – przynajmniej formalnie – na kontrahenta produkującego towar.

Problem w tym, że szwalnie w stolicy Bangladeszu, w których LPP zamawia szycie, też mają swoich poddostawców. Bawełniane tkaniny kupują w Indiach, Pakistanie, a nawet w USA. Zamki błyskawiczne przyjeżdżają do Dhaki z Japonii. Klej i barwniki z Chin. Wszystko oczywiście także od producentów mających swoich podwykonawców. Poszczególne elementy składają się w jeden długi łańcuch dostaw. Z badań przeprowadzonych przed czterema laty przez London School of Economics wynika, że wyprodukowanie jednego samochodu wymaga obecnie spięcia w proces logistyczny blisko 132 tys. różnych dostaw. W przypadku smartfona łańcuch liczy około 5,6 tys. elementów. Nawet na bawełnianej podkoszulce składa się łącznie 190 elementów.

Teraz te biznesowe puzzle pomieszał koronawirus, który zaatakował wschodnie wybrzeże Chin – macecznik tamtejszego przemysłu. Wymuszony przez niego przestój w chińskich fabrykach początkowo wydawał się zachodnim politykom wręcz szansą na poprawienie bilansu handlowego z Państwem Środka. Amerykański sekretarz ds. handlu Wilbur Ross jeszcze pod koniec stycznia upierał się, że wybuch epidemii „pomoże przyspieszyć przywrócenie miejsc pracy w Ameryce Północnej”. Optymizm udzielił się nawet Jadwidze Emilewicz, która na pytanie o sytuację w Chinach odpowiedziała, że zamknięcie tamtejszych



EDGARD GARRIDO / REUTERS / FORUM

Przed domem maklerskim w Tokio, 16 marca 2020 r.

→ fabryk zwiększy konkurencyjność polskich firm, bo te są małe i mają krótsze łańcuchy dostaw. Minister przemysłowa jednak to, że w świecie outsourcingu ważny jest także efekt skali. Zawał w Chinach, odpowiedzialnych już za ponad 35 proc. światowej produkcji przemysłowej, odczuli w formie braku towarów oraz surowców i mali, i duzi. Ale to dużym odbiorcom Chin w pierwszej kolejności odblokowują teraz dostawy. Słabsi muszą poczekać. I mogą się, niestety, nie doczekać, bo azjatyckie rządy nie wahają się przed sięganiem po protekcjonizm.

Dlatego pandemia boleśnie obnaża dziś słabość gospodarek uzależnionych od outsourcingu. Produkcja, dotychczas traktowana jak uciążliwa konieczność, teraz zapewnia przewagę. Kilkanaście dni

temu Indie i Chiny, najwięksi dostawcy substancji służących do produkcji leków, ogłosiły wstrzymanie eksportu takich surowców w obawie, że zabraknie ich do walki z pandemią na miejscu. Amerykańskie, szwajcarskie czy francuskie koncerny farmaceutyczne, które same prowadzą już tylko laboratoria i działy sprzedaży, mogą jedynie prosić swoje rządy o interwencję.

Test jedności

Zaraz – interwencja rządów w wolnorynkowe mechanizmu podaży i popytu? Przez ostatnie lata relacje biznes-państwo budowano przecież na warunkach dyktowanych przez przedsiębiorców, którzy podnosili, że najlepsze, co państwo może dla nich zrobić, to zostawić

ich w spokoju. W tym rozdziale tronu od rynku zwykle zawarte było też domyślne przekonanie, że niewidzialna ręka rynku z kryzysami radzi sobie o wiele lepiej od skostniałego aparatu państwowego. Wychoząc z takich założeń jeden z prezesów koncernu Nestlé sugerował przed laty prywatyzację... globalnych zasobów wody pitnej, aby jej dostawami dla potrzebujących w Afryce i Azji mogły się zająć korporacje, bo te przecież zrobią to tanio i skutecznie. Oczywiście za pieniądze ONZ.

Pandemia w kilka dni wyciszyła resztki takiej narracji. Dosłownie z każdym dniem przybywa petycji o ulgi albo wręcz wsparcie z budżetu dla kolejnych branż gospodarki. W Polsce o pieniądze podatników ubiegają się już m.in. przedstawiciele sektora gastronomicznego, organizatorzy konferencji, szkoleń i koncertów, branża turystyczna i targowa, przewoźnicy i logistycy. Rodzimi spedytorzy mówią o skurczeniu portfela zleceń aż o 97 proc. W restauracjach spadki obrotów sięgają podobno 60–70 proc. Biura podróży także świecą pustkami, podobnie jak hotele. Agencje koncertowe czekają na falę bankructw, bo przymusowej przerwy w działalności może nie przeżyć – jak twierdzą przedstawiciele tej mocno rozdrobnionej branży – nawet 40 proc. firm.

Nie można oczywiście wykluczyć, że za częścią kasandrycznych wizji stoją po prostu lobbyści, którzy celowo przesadzają w ocenie spustoszeń czynionych przez pandemię, by wytargować pożądane zmiany prawne czy podatkowe. Stowarzyszenie Pracodawcy RP, które w minionych latach nie dało się poznać jako gorliwy koryfeusz solidaryzmu społecznego, znów nie zawiodło swoich krytyków, zgłaszając postulat uelastycznienia rynku pracy, które pozwoliłoby zastąpić Polaków biorących opiekę nad dziećmi tymczasowymi pracownikami z Ukrainy. Może to zbieg okoliczności, ale w dniu, w którym rząd ogłosił stan zagrożenia epidemicznego, parlament nagle odrzucił także gotowy od dawna projekt ustawy o podatku cukrowym, który wcześniej bardzo chwalili dietetycy, ale ostro krytykowały organizacje reprezentujące branżę spożywczą. Czyżby obok kija, którym było tymczasowe zamknięcie praktycznie całego sektora handlu i usług, musiała się pojawić także jakaś marchewka?

Słabsi i silniejsi wobec pandemii

ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA (WHO) w 2018 r. podjęła się próby oszacowania skali ludzkich i ekonomicznych strat wywołanych przez ostrą pandemię. Autorzy badania, Victoria Y. Fan, Dean T. Jamison oraz Lawrence H. Summers, za pomocą modelu bazującego na danych o epidemii świńskiej grypy wy-

liczyli, że w krajach rozwijających się wystąpienie takiej plagi kosztowałoby życie około 390 tys. ludzi rocznie, a ich gospodarki rozwijałyby się w tempie wolniejszym o 1,6 pkt. proc. w porównaniu z okresem sprzed pandemii. Natomiast w krajach najbogatszych, skąd głównie płyną zlecenia dla fabryk z Glo-

balnego Południa, ta sama choroba pozbawiłaby życia zaledwie 28 tys. osób, ich PKB skurczyłoby się zaś o symboliczne 0,3 pkt. proc. Przyczyną tej dysproporcji byłyby oczywiście różnice jakości systemu opieki zdrowotnej, którego władze państw na dorobku, zmuszone do współpracy z bogatszymi na warunkach dyktowanych przez tych ostatnich, nie mają po prostu za co modernizować. ©P

Na szczęście inne organizacje zdają się dostrzegać powagę sytuacji i nie licytują tak wysoko. Niskooprocentowane pożyczki na pokrycie bieżącego deficytu w kasie. Wprowadzenie tymczasowej dowolności w płaceniu składek na ZUS (z wyłączeniem zdrowotnej). Natychmiastowy zwrot nadpłaconego podatku VAT, brak odsetek za inne niezapłacone na czas daniny czy kary za niezłożenie na czas jednolitego pliku kontrolnego i innych dokumentów – wizja pakietu rozwiązań antykrzysowych, jaki się marzy polskim przedsiębiorcom, w dużej mierze pokrywa się z tym, co kilka dni temu wstępnie zapowiedziała minister rozwoju Jadwiga Emilewicz.

Pomoc biznesowi istotnie może się okazać niezbędna, jeśli polska gospodarka ma wyjść bez poważnych obrażeń. Ostatnie lata pozwoliły wprowadzić zgromadzić rodzimym firmom łącznie około 300 mld zł na firmowych kontach, ale to tylko piękny statystyczny sen o stabilności, który spełnia się jedynie księgowym największych korporacji.

Spowolnienie, a może nawet recesja widziana z perspektywy Orlenu, KGHM czy PKO BP oznaczać będzie najwyżej odroczenie planowanych inwestycji, mniejsze premie dla zarządu i chwilowy brak dywidendy dla akcjonariuszy. Dla małych firm żyjących od przelewu do przelewu, które – jak wynika z danych Narodowego Banku Polskiego – mają na kontach średnio po 100-120 tys. zł, ten sam kryzys będzie już stanowić próbę, w której stawką jest przetrwanie.

W tej sytuacji można się jedynie uśmiechnąć, przypominając sobie wcześniejsze wystąpienia przedstawicieli biznesowych konfederacji i klubów, w których roilo się od zapewnień o konieczności budowy wysokiego muru oddzielającego państwo od wolnego rynku. Przedsiębiorcy w niemal każdym publicznym wystąpieniu, niczym Katon do Kartaginy, powracali do rzekomego przeregulowania polskiej gospodarki i nadmiernych obciążeń fiskalnych, które ich zdaniem podcinają im skrzydła. Dane Eurostatu, które pokazują, że pod tym względem Polska lokuje się raczej pośrodku niż na czele państw UE, przedsiębiorcy zazwyczaj taktownie przemilczali.

To wręcz symptomatyczne. Biznes, który na co dzień uwielbia skarżyć się na opresyjne państwo i łapczywość fiskusa, przy każdym większym kryzysie bez wahania wyciąga rękę w stronę wspólnej publicznej szkatuły, o której istnieniu nie chciał wcześniej w ogóle słyszeć. 12 lat temu, w apogeum kryzysu finansowego spowodowanego upadkiem banku Lehman Brothers, zachowywał się w ten sposób głównie sektor finansowy, z którego wyparowało nagle około 5 bilionów dolarów – czyli równowartość niemal dwuletniego ówczesnego produktu krajowego brutto Niemiec.

Niespodziewany powrót do retoryki solidaryzmu w wykonaniu finansowych elit nie jest zatem niczym nowym. Tym bardziej warto przypomnieć przestrogę Johna Templetona, jednego z najsłynniejszych inwestorów giełdowych i zarazem

twórca znanej fundacji charytatywnej, który zwykł mawiać, że najgroźniejsze cztery słowa na rynku kapitałowym to: „tym razem jest inaczej”.

„Szalone lata dwudzieste”

Recesje istotnie bywają świetną okazją do korekty kursu gospodarki czy polityki społecznej. Z Wielkiego Kryzysu przełomu lat 20. i 30. XX wieku wyłoniła się jednak epoka New Dealu ze swoją ideą interwencjonizmu państwowego. Kryzys naftowy lat 70. poskutkował z kolei zwrotem w stronę ostrego neoliberalizmu i deregulacji, który w tamtym czasie wydawał się uzasadniony. Choroba, która teraz zaczyna toczyć globalną gospodarkę, również mogłaby pomóc we wdrożeniu niezbędnych korekt.

Dlatego w mediach ekonomicznych eksperci już prześcigają się w mnożeniu scenariuszy możliwych napraw w trybach globalnej gospodarki. Jeśli sparaliżowany koronawirusem wspólny rynek ma uodpornić się na podobne katastrofy w przyszłości, skróceniu muszą ulec rozciągnięte łańcuchy dostaw. Tylko jak przeprowadzić te zmiany bez uwolnienia groźnego dzina protekcjonizmu, ceł zaporowych i innych ograniczeń w handlu? Nie wiadomo. Jak pogodzić ideę stałego wzrostu, potrzebną światu, w którym za 30 lat mieszkać będzie już nie 7,8, ale 9,5 mld ludzi z proekologiczną „kwarantanną konsumpcji”, która się marzy coraz liczniejszemu ekonomistom i ekspertom od prognozowania trendów konsumenckich? ➔



PREMIERA!

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą. Więcej na powszech.net/raport

→ To kolejna zagadka. Pandemia bez wątpienia może stać się katalizatorem takich zmian. Równie – jeśli nie bardziej – prawdopodobny wydaje się jednak scenariusz, w którym zmęczony kwarantanną świat po ustąpieniu zagrożenia ponownie pogrąży się dla odreagowania w szalonej konsumpcji i zapomina o diagnozach czasu zarazy. Mamy przecież „szalone lata dwudzieste”.

Naprawy z pewnością wymaga również zdeformowana relacja między realną gospodarką a sektorem finansowym, który stał się na niej czymś w rodzaju paśmożytniczej narośli. Rynki finansowe nie brudzą sobie rąk produkcją czy usługami. Wolą mnożyć pieniądze w wirtualnym świecie giełd papierów wartościowych i towarowych, gdzie na masową skalę obraca się dobrami wytwarzanymi w realnej gospodarce. Złoto, ropa, gaz, stal, ryż, cukier, ostatnio nawet dane – nad tym królestwem spekulacji nigdy nie zachodzi słońce. Jeśli nawet, jak obecnie, indeksy giełdowe szukają kolejnego dna, część inwestorów zaciera ręce, bo wkrótce kupione tanio akcje czy towary można będzie sprzedać znacznie drożej, a część zysku zainwestować w kolejną spekulację. W poniedziałek 9 marca zawału dostały światowe ceny ropy. Najpierw jej najwięksi producenci nie porozumieli się, jak przeciwdziałać spadkowi ceny tego surowca, spowodowanego kolejnymi fatalnymi wieściami z frontu walki z SARS-CoV-2. Spadki pogłęбили następnie spekulanci, którzy zaczęli

gwałtownie się pozbywać taniejącego surowca. W zaledwie kilka godzin cena ropy spadła o blisko 40 proc., po czym nagle wzrosła liczba kontraktów na... wynajem tankowców. Wypełnione po korek tanią ropy statki staną wkrótce na tanich kotwiczowiskach u zachodnich wybrzeży Afryki jako mobilne rezerwuary tysięcy ton surowca, które inwestorzy rzucą ponownie na rynek, kiedy cena na powrót wzrośnie do atrakcyjnego poziomu.

Taka zabawa może się wydawać niewarta uwagi z punktu widzenia przeciętnego obywatela z pensją na poziomie średniej krajowej, w gruncie rzeczy może mieć jednak duży wpływ także na jego sytuację materialną i bytową – nawet jeśli nie posiada samochodu. Kraje OPEC od dawna parkują bowiem swoje zyski z ropy w papiery skarbowe krajów rozwiniętych. Arabia Saudyjska kontroluje dziś np. około 8 proc. długu publicznego USA. Załamanie cen ropy, do którego rękę przyłożyli spekulanci, uderza więc bezpośrednio w finanse krajów Zatoki Perskiej, a pośrednio także w amerykański budżet, który ma do wyboru: zadłużać się drożej za granicą lub sięgnąć głębiej do kieszeni podatników. Ewentualnie – co w kontekście USA brzmi obecnie najgroźniej – ograniczyć wydatki publiczne.

Wirusolodzy z niepokojem śledzą dziś dane o tempie rozprzestrzeniania się wirusa SARS-CoV-2 w Stanach Zjednoczonych, gdzie aż 27,5 z 327 mln mieszkańców nie ma obecnie ubezpieczenia zdrowotnego. Amerykański system opieki

zdrowotnej jest *de facto* rynkiem opieki zdrowotnej. Nawet rewolucja, jaką w tamtejszych realiach była reforma Baracka Obamy sprzed dziesięciu lat, opierała się na czysto wolnorynkowej koncepcji giełd, na których ubezpieczyciele mieli walczyć na ceny o dotowane przez budżet federalny polisy medyczne dla obywateli. Obecny prezydent, jak przystało na białego Republikanina z klasy uprzywilejowanej, jest zwolennikiem dobrowolności polis zdrowotnych, a reformę poprzednika nazywa „niekonstytucyjną”. Włoski scenariusz rozwoju epidemii, który w Italii był głównie skutkiem braku wyobraźni, w USA może zatem powtórzyć się w o wiele większej skali z przyczyn czysto ekonomicznych.

Wizja zwykłych obywateli, którzy płacą życiem za wybryki finansowych elit, może zalać populizmem, ale taka po prostu jest prawda. Do bilansu kosztów kryzysu finansowego z końcówki zeszłej dekady Światowa Organizacja Zdrowia w 2012 r. dorzuciła swoje obliczenia, z których wynikało, że w 2009 r. fala grupowych zwolnień, obniżek pensji oraz ogólnie atmosfera wzmożonego poczucia zagrożenia kosztowała na całym świecie życie około 600 tys. osób. Właśnie o tyle wzrosła śmiertelność w porównaniu z wieloletnią średnią z lat, w których nie notowano poważnych konfliktów wojennych ani innych społecznych perturbacji o globalnej skali.

Kryzysy bywają zabójcze i bez pandemii. ©MAREK RABII

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabin,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frołow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmirska (kierownik),
Anna Dziurdziowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłiska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmirska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA NA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



„TP” 8/2020

Wirus obojętności

List ten piszę pod wpływem artykułu Edwarda Augustyna i Marcina Żyły „Pomoc nie na miejscu”. Od dziewięciu lat, niemal dzień w dzień, w Syrii giną ludzie. Miliony uchodźców pozbawionych domów, ojczyzny i szansy na lepszą przyszłość ruszają w stronę Europy. Liczą na to, że w końcu nadejdzie noc, podczas której spokojnie zasną bez huków spadających bomb. Nie da się pomóc wszystkim,

ale czy ta świadomość usprawiedliwia bierność? Widziałam zdjęcie, o którym nie mogę przestać myśleć. Członek Syryjskiej Obrony Cywilnej trzymał w rękach zwłoki kilkumiesięcznego dziecka. Patrząc na dzieci w kolorowych wózekkach prowadzonych przez uśmiechnięte mamy, bawiące się na placach zabaw, z umazanymi czekoladą buziąmi, od razu staję mi przed oczami syryjskie, afgańskie, jordańskie dzieci, które nie poznały smaku beztroskiej zabawy. Może czas o nich pomyśleć?

MARIA MISZTAŁ

„TP” 11/2020

Epidemia suszy

Niedobory wody z tekstu Krzysztofa Storego powinny być tematem numer jeden. W Polsce nie jest znane pojęcie „wody technicznej”. Do

niemal wszystkiego używamy arcydrogiej wody pitnej. Nie ma sztucznych zbiorników ziemnych. Powinno się je budować natychmiast! W Wielkiej Brytanii zbiorniki wodne znajdują się nawet w lasach. Mam posiadłość niedaleko rzeczki Liwiec. Od lat obserwuję, jak ubywa jej wody. Kiedy powysychają wszystkie małe rzeczki, kiedy nie będzie opadów śniegu, padną rzeki duże. To, co się stanie w następstwie suszy, będzie straszniejsze od koronawirusa.

KRZYSZTOF J. NOWAKOWSKI

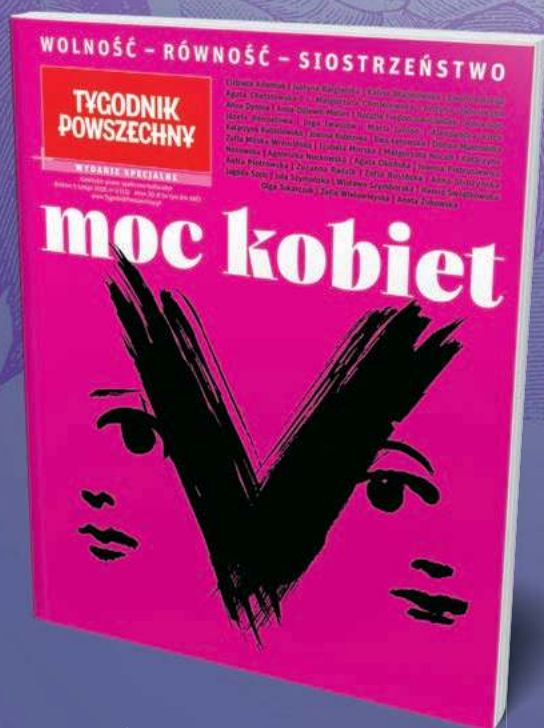
Autorzy opublikowanych listów dostaną od nas notes TUROWICZ na 75-lecie.



PROŚBA O POMOC

Fundacja Charytatywna Pomoc Polakom na Kresach im. ks. dr. Mośsinga zwraca się z prośbą o pomoc dla naszych podopiecznych: dwuletniego Marianka Kobierskiego z Połonnego oraz 45-letniego Włodzimierza Nahrebeckiego z Berdyczowa. U Marianka zdiagnozowano neuroblastomę z przerzutami. Leczenia podjęła się klinika w Barcelonie, kuracja daje bardzo pozytywne efekty, niestety jest niezwykle kosztowna, a rodzice wyczerpali możliwości zdobycia środków. U Włodzimierza zdiagnozowano guz płuca. Po nieudanej operacji na Ukrainie lekarze dawali choremu miesiąc życia. Rodzina znalazła klinikę w Niemczech, gdzie podjęto się leczenia, ale i ono jest niezwykle kosztowne. Bardzo prosimy o wpłaty na konto fundacji: BNP Paribas 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700, z dopiskiem „Onkologia”.

FUNDACJA DR. MOSINGA



Wydanie specjalne „Moc kobiet” BEZ TABU, BEZ LUKRU



”

Macierzyństwo jest boskie, w sensie najzupełniej dosłownym: hebrajskie rahamim, miłosierdzie Boga, pochodzi od rehem – macica.

JUSTYNA BARGIELSKA

„Moc kobiet” – w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

WYDAWCA



WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY



PAWEŁ

Śpiewak: Wstyd



GDY PRAOJCIEC I PRAMATKA ZJEDLI OWOC z drzewa dobrego i złego, „wtedy otworzyły się oczy im obojgu i poznali, że są nadzy” (Rdz 3, 7). Ludzka samoświadomość jest aż do bólu samoświadomością swojej seksualności i cielesności. Sięga podstawowej warstwy naszego istnienia. Wstyd nie ma nic wspólnego z etyką purytańską i wstrętem czy niechęcią do seksu. Seks nigdzie w Biblii nie został potępiony ani zakazany. Jest istotną częścią życia. Są w niej opisane gwałty, ale też najcudowniejsze poruszenia duszy.

Wstyd, który objawia się na pierwszych stronach Księgi Rodzaju, jest czymś pierwotnym. Nie można się przed nim ustrzec, ale można nauczyć się z nim żyć. Związany jest z lękiem przed przemocą złych oczu, złego dotyku i złej mowy. Czym jest wstyd, który powoduje, że pierwsi ludzie zakrywają się liśćmi figowymi? Co sprawia, że ukrywają się przed wzrokiem Boga, gdy Ten stawia im (a przez to wszystkim ludziom) podstawowe pytanie: „Gdzie jesteś”? Nie jest to pytanie o czyjeś umiejscowienie. To pytanie duchowe o to, gdzie znajdujemy się w stosunku do Boga, Jego nakazów i Jego troski o nas.

Wstyd jest czymś bardzo ludzkim. Zwierzęta go nie znają. Ludzie na co dzień odkrywają go w stosunkach międzyludzkich. Wstydzimy się kogoś. Oczekujemy jego aprobaty, akceptacji albo boimy się odrzucenia czy krytyki. Arystoteles wstyd widział przez czerwone policzki. Zwykły wymiar wstydu pojawia się wyjątkowo mocno w Księdze Kapłańskiej. W tym fragmencie zawstydzenie jest narzędziem społecznej kontroli: „To człowiek jest trędowaty. Jest on nieczysty. Kapłan uzna go za nieczystego (...) Trędowaty, na którym jest plaga. Winien mieć szaty rozdarte, włosy na głowie zwichrzone, brodę zasłoniętą i winien wołać: »Nieczysty! Nieczysty!« (...) Samotnie mieszkać będzie” (Kpł 13, 44-45). Choroba związana jest z karą Boga za to, co nazywa się *laszon hara* – za złą mowę, której dopuściła się Miriam, siostra Mojżesza. Dlaczego zła mowa prowadzi do chorób? Bo język jest tym, co utrzymuje wspólnotę razem, a niszczenie języka jest zawsze złem największym. Niszczy wspólne moralne znaki. Trzy są fazy takiego wstydu. Pierwszą napiętnowanie, drugą ostracyzm. Trzecią możliwą jest przyznanie się do błędu. W Pierwszej Księdze Mojżeszowej wstydu nie da się pokonać. Trzeba z nim żyć i pojąć jego wszystkie bolesne, a czasem oczyszczające konsekwencje. Wstyd w pierwotnej postaci domaga się wzajemnego wsparcia i polegania na sobie, zaufania. Gdy go brakuje, budzą się demony. Jednym jest samo zadufanie, a co za tym idzie: próżność. A potrzeba uznania w oczach drugiego rodzi zniewolenie, zahamowania, a też zazdrość i wrogość. Warto o tym rozmawiać, czytając, że ludziom otworzyły się oczy, jak to zapowiadał znany z chytrkości wąż. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Chorego się nie porzuca



PO PRZYWRÓCENIU PRZEZ JEZUSA WZROKU niewidomemu faryzeusze pytali go, „w jaki sposób został uzdrowiony. On zaś odpowiedział: »Nałożył błoto na moje oczy, obmyłem się i widzę«. Niektórzy z faryzeuszów orzekli: »Ten człowiek nie pochodzi od Boga, ponieważ nie przestrzega szabatu«. Inni jednak pytali: »Jak człowiek, który jest grzesznikiem, może dokonywać takich znaków?«. I doszło wśród nich do podziału”. Jezus, robiąc błoto i nakładając je na oczy niewidomego, wykonywał pracę i tym samym naruszył świętość szabatu. Przywracając wzrok, powiedzielibyśmy dzisiaj, świadczył usługi medyczne, co w szabat było zabronione. Dawało podstawy do zakwalifikowania Jezusa do grzeszników, co z kolei sprawiło, że umknęła gdzieś rzecz najważniejsza – fakt. Fakt przestał się liczyć, na pierwszy plan wysunęły się jego ideologiczne interpretacje. Dzisiaj bywa podobnie. Papież Franciszek, i nie tylko, często o tym przypomina.

W adhortacji „*Evangelii gaudium*” podaje cztery zasady, które powinny rządzić życiem społecznym (przede wszystkim społecznością kościelną): czas przewyższa przestrzeń, jedność przeważa nad konfliktem, rzeczywistość jest ważniejsza od idei, a całość przewyższa część. Przytoczony fragment ewangelii koresponduje zwłaszcza z trzecią zasadą. „Historia świata pokazuje, że łamanie zasady »rzeczywistość jest ważniejsza od idei« zawsze otwierało na oścież drzwi zmian społeczno-kulturowych dla różnej maści totalitaryzmów. Dlatego skądinąd piękne idee stawały się twardym młotem druzgocącym niejedno istnienie ludzkie, zawsze żywotnie zakorzenione w tkance rzeczywistości społecznej” – mówi ks. prof. Bogusław Drożdż. Dlatego Franciszek wzywa Kościół: „Nie zamykajmy się w swoich przekonaniach, ponieważ wpadniemy w pułapkę ideologii. Nie należy przechodzić od wiary do ideologii”. W konsekwencji mamy dwa modele Kościoła: „Kościół tych ideologii, w które sam się uwikłał, i Kościół, który patrzy na Pana zbliżającego się do takiej rzeczywistości, jaką jest” i której On się nie brzydzi. „Pan nie brzydzi się rzeczami, nasze grzechy nie budzą w Nim obrzydzenia do nas. On przybliża się tak, jak przybliżał się, aby dotknąć trędowatych i chorych. Ponieważ On przyszedł, aby leczyć, On przyszedł, aby zbawiać; nie, aby potępiać”.

Skoro Jezus nie brzydzi się grzesznikami, to znaczy, że nie brzydzi się nami, czyli Kościołem takim, jaki jest. Nie odrzuca Kościoła, przeciwnie: troszczy się o niego i chce, byśmy postępowali podobnie. Kościół trapią rozmaite choroby, jest czym się gorszyć, ale to nie powód, by się Kościołem brzydzić i z niego odchodzić. Kościół trzeba ratować, leczyć, poczynając od siebie. Przy tej robocie nie zostawiamy Jezusa samego. Pomóżmy Mu dokonać cudu uzdrowienia Kościoła. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Dawajcie, a będzie wam dane

*Dzięki Twojej dobroci
poznałam Cię
w sobie samej, Panie,
gdyż nie zabiłeś mnie
za moje grzechy, nie
odebrałeś mi skuteczności
działania duszy i ciała.*

HILDEGARDA Z BINGEN



*Jedno tylko jest coś
warte: przeżyć życie
zgodnie z prawdą
i sprawiedliwością,
życzliwie odnosząc
się nawet do kłamców
i niesprawiedliwych.*

MAREK AURELIUSZ



„NIE SĄDZICIE, A NIE BĘDZIECIE SĄDZENI; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone. Dawajcie, a będzie wam dane: miarę dobrą, ubitą, utrzesioną i wypełnioną ponad brzegi wsypią w zanadru wasze. Odmierzają wam bowiem taką miarą, jaką wy mierzycie” (Łk 6, 37-38) – niedawna liturgia przypominała te słowa Pana Jezusa. Ich pierwszy odbiór może w nas zrodzić szereg wątpliwości: czy nie są one odbiciem kupiecko-magicznej logiki, oddanej dawną łacińską maksymą *do ut des* („daję, żebyś dał”)? Czy nie promują one postaw wprost interesownych? I jaki obraz Boga one sugerują? Czy Pan rzeczywiście gotów jest nam dać cokolwiek jedynie wtedy, gdy my damy najpierw? Czy nam nie wybaczają, jeśli nie wybaczymy? Czy nie jest tak, że Jego wybaczenie jest pierwsze? Uprzednie nawet wobec najpierwszej naszej myśli o nawróceniu? Czy nie umarł za nas, gdy wszyscy byliśmy jeszcze grzesznikami? Jak więc rozumieć przytoczone zdania?

Myślę, że – dokładnie przeciwnie do zaprezentowanych obaw – są one zachętą do hojności. Bezinteresownej. I pełnej ufności. Są zaproszeniem do takiej postawy zaprezentowanej przykładowo przez wdowę z Sarepty Sydońskiej (zob. 1 Krl 17). Oto wyszła zbierać chrust, by przygotować sobie i swojemu synowi ostatni w życiu posiłek – po miesiącach suszy i głodu nie zostało jej już nic: odrobina maki w dzbanie i resztki oliwy w baryłce. W sam raz

tylko, by zrobić po małym podplomyku dla niej i dziecka. Naraz staje przed nią Eliasza, i mówi jej: „Daj mi jeść!”. Co więcej, słysząc, w jakiej znajdują się sytuacji, nie tylko nie rezygnuje ze swej prośby, ale domaga się, by jemu zrobiła podplomyk najpierw. To już nie jest prośba o kawałek chleba; to prośba o podzielenie się życiem. Kobieta odchodzi do domu, i za chwilę wraca z podplomykiem dla proroka. Czy to szaleństwo? Tak. Szaleństwo zaufania Bogu. Szaleństwo zaufania miłości. Znamy dalszy ciąg tej historii: zarówno dzban maki, jak i baryłka oliwy nie wyczerpały się aż do ustania suszy. Jej ufność nie zawiodła. Bóg odwzajemnił dar życia. Taką samą miarą, a nawet większą: dobrą, ubitą, utrzesioną, wypełnioną po brzegi.

To samo doświadczenie opisuje Ewangelia (zob. Mk 12). W tłumie nawiedzających świątynię Jezus dostrzega ubogą wdowę. Podchodzi ona do skarbony i wrzuca na ofiarę „dwa pieniążki, czyli jeden grosz”. Wrzuciła wszystko – całe swoje utrzymanie (dosł. całe swoje życie). Nie znamy dalszych losów tej kobiety. Za co kupiła sobie posiłek następnego dnia? Co rozumiemy z jej ofiary? Z jej wiary? Zaufania? Miłości do Boga? Miłości, która idzie na całość – absolutnie wolna od merkantylnego wyrachowania „daję, żebyś dał”. To miłość, która nie stawia warunków, nie negocjuje układów, nie szuka zabezpieczeń. Niczego nie żąda w zamian. Tą miłością nie kupujemy miłości Boga. My ją od Niego otrzymujemy. Od Niego też – objawionego w Jezusie Chrystusie – uczymy się ją przeżywać. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 III)

4. niedziela Wielkiego Postu: 1 Sm 16,
1b. 6-7. 10-13; Ps 23; Ef 5, 8-14; J 9, 1-41;
Poniedziałek: Iz 65, 17-21; Ps 30; J 4, 43-54;
Wtorek: Ez 47, 1-9. 12; Ps 46; J 5, 1-16;
Środa, uroczystość Zwiastowania Pańskiego:
Iz 7, 10-14; Ps 40; Hbr 10, 4-10; Łk 1, 26-38;

Czwartek: Wj 32, 7-14; Ps 106; J 5, 31-47;
Piątek: Mdr 2, 1a. 12-22; Ps 34;
J 7, 1-2. 10. 25-30;
Sobota: Jr 11, 18-20; Ps 7; J 7, 40-53;
5. niedziela Wielkiego Postu:
Ez 37, 12-14; Ps 130; Rz 8, 8-11; J 11, 1-45.

Wybrał PIOTR SIKORA

STRASZNY DWÓR

W zakażoną koronawirusem kampanię prezydencką PiS wchodzi osłabiony niczym pacjent z grupy podwyższonego ryzyka.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

ZYJEMY W KRAJU, W KTÓRYM MINISTER propagandy ważniejszy jest od prezydenta – taki jest wniosek ze starcia między Jackiem Kurskim a Andrzejem Dudą. Prezydent długo dumał, czy podpisać ustawę, która daje TVP niemal 2 mld zł publicznych pieniędzy. Opozycja zastawiła na PiS skuteczną pułapkę – zgłosiła postulat, by te pieniądze przeznaczyć na leczenie chorych na raka. To dodatkowo stawiało Andrzeja Dudę w trudnej sytuacji.

Ostatecznie prezydent przedstawił szefowi PiS Jarosławowi Kaczyńskiemu dwie możliwości: albo weto i PiS musi szukać innego finansowania dla TVP, albo podpis, ale za cenę usunięcia Jacka Kurskiego.

Kaczyński długo nie chciał się zgodzić na odejście Kurskiego, który robi telewizję wedle prezesowskiej wizji świata. Ale musiał zmienić zdanie, gdy okazało się, że w razie weta znalezienie pieniędzy dla TVP będzie trudne. A bez państwowej kropłówki już w kwietniu TVP mogłaby utracić płynność finansową. Dlatego Kaczyński – w porozumieniu z Kurskim – zgodził się ustąpić prezydentowi. Tak się przynajmniej początkowo Dudzie i jego ludziom wydawało.

Ostatecznie to Duda przegrał. Kurski co prawda został odwołany, ale odplacił prezydentowi trzema ciosami. Po pierwsze, p.o. prezesa TVP został Maciej Łopiński, wieloletni mentor i przyjaciel Kurskiego, przeciwnik jego dymisji. Jakby tego było mało, powołał on Kurskiego na swego doradcę, co oznacza, że Kurski będzie sterował telewizją z tylnego fotela, a wszyscy jego ludzie zostaną na stanowiskach. Po trzecie wreszcie – Kurski z Łopińskim zawiesili Marzenę Paczuska, która w zarządzie TVP nieformalnie reprezentowała interesy prezydenta i kopała dołki pod Kurskim.

Cała ta rozgrywka pokazała nie tylko to, że prezes TVP jest dla Kaczyńskiego ważniejszy od prezydenta. Okazało się, że Kurski jest po prostu politykiem sprawniejszym, bardziej przebiegłym od Dudy. Z tej rozgrywki prezydent wyszedł nie wzmocniony, tylko drastycznie osłabiony. I w dodatku ośmieszony.

Mówi jeden z najbliższych ludzi Kurskiego: – TVP pod kierownictwem Kurskiego jest w stanie dać Dudzie w wyborach może 3 proc., a może nawet 5 proc. dodatkowych wyborców. To może się okazać kluczowe dla wyniku. Gdyby Kurski naprawdę został





TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

odwołany i nie zachował kontroli nad firmą, to wtedy zacząłby się chaos i wojna pisowskich frakcji o kontrolę nad anteną. Choć Duda zaślepiony nienawiścią do Kurskiego tego nie rozumie, to mógłby na tym po prostu stracić w wyborach.

Z tego punktu widzenia Kaczyński z Kurskim potraktowali Dudę trochę jak niesforne dziecko, które domaga się zabawki, nie rozumiejąc, że jest ona dla niego szkodliwa. Dali mu tę zabawkę – dymisję Kurskiego – ale dla jego własnego dobra po kilku dniach samozadowolenia zabrali.

Dla jasności: to nie jest tak, że Duda chciał wyrzucić Kurskiego, bo oglądanie jego propagandowej TVP wywołuje u niego konwulsje. Duda też chciał propagandy, tyle że skrojonej pod jego własne ego.

Prawie jak Komorowski

Relacje zaogniło także to, że Kurski – wieloletni ekspert PiS od kampanii wyborczych – sączył do prezesa ucha krytykę kampanii Dudy. Akurat w tej kwestii ma rację, bo kampania prezydenta wyraźnie kuleje. Żadnych efektownych pomysłów programowych. Żadnych nowych obietnic. Żadnych nowych pieniędzy do rozdania. Od początku widać, że prezydent miał kłopot z wyłumaczeniem, czemu chciałby rządzić drugą kadencję. Podobnie jak jego poprzednik Bronisław Komorowski pięć lat temu. I tak jak Komorowski wybrał straszenie radykałami z PiS, tak Duda postawił na straszenie Platformą, która dybie na socjalne benefity rozdane przez PiS.

Krążących w politycznym światku analogii jest zresztą więcej. Tak jak punktem zwrotnym kampanii Komorowskiego stała się niesławna wizyta w japońskim parlamencie, gdzie krzyczał do szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego „chodź, szogunie”, tak w kampanii Dudy wydarzeniem kluczowym mógł się okazać środkowy palec posłanki PiS Joanny Lichockiej pokazany podczas sejmowej debaty nad pieniędzmi dla TVP.

Andrzej Duda podczas pierwszego posiedzenia Sejmu IX kadencji, Warszawa, listopad 2019 r.

W dodatku podsunięta przez wicepremiera Jarosława Gowina na szefową sztabu adwokatka Jolanta Turczynowicz-Kieryłło stała się nieporozumieniem nawet większym niż szef sztabu Komorowskiego sprzed pięciu lat. Poseł Robert Tyszkiewicz po prostu nie potrafił robić kampanii. A Turczynowicz-Kieryłło poza tym defektem ma jeszcze jedną zgubną w kampanii cechę: bogatą, niezbadaną biografię. Najpierw okazało się, że kiedyś pogryzła człowieka, który – wszystko na to wskazuje – przyłapał ją na rozrzucaniu agresywnych ulotek podczas ciszy wyborczej (Kurski uwielbia nazywać ją „Gryzeldą”).

Potem okazało się, że ona i jej mąż w niedawnej przeszłości atakowali PiS, sympatyzując z Platformą i KOD. Pani mecenas nie przyznaje się do wierszyka sprzed kilku lat, w którym mowa o przypiekaniu Kaczora – choć dawni znajomi twierdzą, że wygłosiła to dzieło podczas imprezy z udziałem m.in. byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Turczynowicz-Kieryłło miała być zręcznym narzędziem do ataku na Małgorzatę Kidawę-Błońską. Wszystko wedle narzuconej przez Kaczyńskiego mężczyznom z PiS zasady, by kobiet nie uderzać nawet kwiatem. Ale uderzyć kobietę kobietą – to już co innego.

Tyle że do smagania Kidawy-Błońskiej przez nową szefową sztabu nie doszło, jej wybór okazał się całkowitą katastrofą. W finale współpracownicy Gowina – choćby poseł Kamil Bortnick – zaczęli nawet wprost domagać się, by wróciła do palestry.

Ucieczka Agaty

Wojna z Kurskim pokazała, że jest jeszcze jedna kłopotliwa kobieta w otoczeniu prezydenta. To znacznie poważniejszy problem – pierwsza dama.

Duda się pieklił, że telewizja Kurskiego nie broni jego żony przed krytyką kandydatów opozycji. Zaboląła go szczególnie niedawna konwencja prezydencka lidera PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza. Żona lidera PSL powiedziała wówczas: „Nie będę milcząca pierwszą damą, która nie ma swojego zdania, chowa się za ogrodzeniem prezydenckiego pałacu →

⇒ i wyłącznie statystuje swojemu mężowi. Nie dam się zamknąć pod kryształowym zyrandolem”.

To była otwarta krytyka milczącej Agaty Kornhauser-Dudy. Dopiero pod wyraźnym naciskiem Pałacu Prezydenckiego TVP zaczęła masowo produkować materiały o pracowitej, zaangażowanej i lubianej pierwszej damie.

Ta opowieść jest elementem znacznie poważniejszego kłopotu PiS z prezydentową. Według naszych rozmówców, związanych z kampanią Dudy, jeszcze zanim koronawirus zmienił kampanijne plany wszystkich kandydatów, prezydent pod wpływem żony zredukował liczbę planowanych spotkań z wyborcami o kilkadziesiąt.

– Potrafiła go zabrać na weekend do prezydenckiego ośrodka w Juracie ku rozpaczy sztabowców – opowiada mój rozmówca z wierzuszki PiS.

To nie jest nawet tak, że prezydentowej nie zależy na ponownym wyborze męża. Ona każdym gestem pokazuje swój, mówiąc oględnie, dystans do Kaczyńskiego i PiS. Zadeklarowała co prawda, że zwiększy swą aktywność przed drugą turą, ale zrobiła to z dużą niechęcią.

Marzenia Mateusza

Jest jeden ważny w tej telewizyjnej rozgrywce gracz, który ewidentnie obmyślał i planował swe działania w znacznym dłuższej perspektywie. To premier Mateusz Morawiecki. Od dawna ma na pieńku z Kurskim, który w swej podejrzliwości uważa go za maskującego się reprezentanta świata liberałów i wielkiego biznesu.

W pewnym momencie starcia o TVP pojawiła się nawet plotka, że Kaczyński rozważa wycofanie poparcia dla Dudy i wystawienie w wyborach prezydenckich właśnie Morawieckiego. Choć podczas wojny o TVP wiele absurdalnych na pierwszy rzut oka plotek okazywało się w finale bliskich prawdy, akurat ta jest najmniej wiarygodna. Albo inaczej: są informacje, że taki wariant pojawił się w kręgach władzy, ale jako straszak na Dudę, nie zaś realny wariant polityczny. Z wielu powodów wymiana kandydata na prezydenta nie była możliwa.

Po pierwsze, przeciwko Morawieckiemu jest spora część Komitetu Politycznego PiS – choć oczywiście Kaczyński może swych wiarusów zmusić właściwie do wszystkiego. Większy problem jest

taki, że Duda i tak by wystartował, co doprowadziłoby do konfuzji elektorat PiS. Taka bratobójcza wojna mogłaby doprowadzić do podziałów i zwiększyć szanse opozycji na wygraną. W dodatku gdyby Duda wygrał prezydenturę – a wciąż to najpoważniejszy kandydat – w drugiej kadencji mógłby się wyrwać spod prezesowskiej kurateli. Kaczyński znany jest z tego, że jednym ruchem potrafi przekreślić swe niewątpliwe sukcesy polityczne, ale to byłby samobójczy majstersztyk nawet jak na niego.

Stronnicy Kurskiego co do jednego są pewni: Morawiecki myśli o prezydenturze, tyle że w 2025 r. Według ich opowieści, w które sami święcie wierzą, Morawiecki w próbie pozbycia się Kurskiego rękami Dudy odgrywał kluczową rolę, intensywnie inspirując prezydenta do bitki. Miał piec dwie pieczenie na jednym ogniu – pozbyć się prezesa TVP, który blokuje mu dostęp do anteny, i osłabić prezydenta, by utrudnić mu reelekcję. – Dla niego porażka Dudy jest szansą na prezydenturę w 2025 r. Jeśli teraz Duda wygra, to kolejny prawicowy prezydent za pięć lat jest niebywale mało realny – przekonuje jeden z najbliższych ludzi Kurskiego.

Skąd Ziobro ma pieniądze?

Ale to samo można usłyszeć o planach i ambicjach Zbigniewa Ziobry, ministra sprawiedliwości. Ziobry wojna o telewizję dotyczy pośrednio. Morawiecki to jego główny konkurent w obozie władzy. Panowie szczerze się nie cierpią i brutalnie zwalczają – dość powiedzieć, że Ziobro nader często unika posiedzeń rządu kierowanych przez premiera.

Za to Kurski to dawny bliski kompan Ziobry, razem po odejściu z PiS w 2011 r. tworzyli partię Solidarna Polska. I choć po fasku SP jako samodzielnego ugrupowania, w drodze powrotnej na łono PiS powiedzieli na swój temat wiele brzydkich rzeczy, to dziś mają pakt o nieagresji. W efekcie Ziobro ma w TVP wizerunek szeryfa, co pozwala mu budować swą popularność.

Jednocześnie co najmniej od kampanii wyborczej do Sejmu widać, że Ziobro prowadzi bardzo świadomą politykę, obliczaną na wzmocnienie swej pozycji wewnątrz obozu władzy przed wojną o sukcesy na prawicy. Podczas tworzenia list Zjednoczonej Prawicy na wybory sejmowe Ziobro przyjął prostą taktykę: zgo-

dził się na ostatnie miejsca dla swych ludzi pod warunkiem, że będą startować w okręgach znanych z życzliwości dla prawicy. Efekt – wprowadził do Sejmu niemal 20 posłów i do tego dwóch senatorów. Gdyby chciał, mógłby założyć własny klub parlamentarny. To było szokiem dla liderów PiS, bo przy takim rezultacie Kaczyński nie jest w stanie rządzić bez Ziobry.

Kiedy liderzy PiS ochłonęli, zaczęli analizować, jak taki wynik był możliwy. Na pewno znaczenie miało to, że Ziobro wystawiając kilkudziesięciu kandydatów w ramach wspólnej z PiS listy, każdego z nich odwiedzał w okręgu i intensywnie promował. W ten sposób pomógł im przeskoczyć znajdujących się wyżej na liście kandydatów PiS, których Kaczyński czy Morawiecki nie byli w stanie bezpośrednio wesprzeć, bo PiS miało po prostu bardzo dużo kandydatów – niemal 900.

Ale analitycy z PiS zauważyli jeszcze jedno: niebywale wystawne kampanie kandydatów partii Ziobry, która wszak nie dostaje z budżetu państwa złamanego grosza. Skąd pieniądze na okazałe banery na Lubelszczyźnie czy Podkarpaciu? Startujący z Lubelszczyzny gdańszczanin Jan Kanthak, były rzecznik Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości, a dziś poseł jego partii, przekonuje, że to ze składek. Ale w PiS mało kto w to wierzy.

Dlatego Ziobro za tę wystawną kampanię i wzmocnienie się w obozie władzy zapłacił – Kaczyński dał zielone światło na wyrzucenie części jego ludzi ze spółek Skarbu Państwa. Najpierw głowę położył prezes państwowego banku Pekao S.A. Michał Krupiński, wieloletni protegowany Ziobry, który dał pracę w finansach żonie ministra oraz jego bratu. W minionym tygodniu zgilotynowany został szef PZU Paweł Surówka, któremu też z Ziobrą było po drodze.

Oslabiony w biznesie Ziobro stara się wzmocnić w innych obszarach władzy. Jemu, jak wszystkim głównym graczom w PiS, zawsze zależało na propagandzie. Nie ma się zatem co dziwić, że – jak ujawnił serwis *Oko.press* – ludzie Ziobry weszli w konszachty z Wirtualną Polską, docierającym do milionów Polaków portalem internetowym. W efekcie – zdaniem *Oko.press* – z resortu Ziobry płynęły do WP środki na reklamy, z WP zaś do współpracowników Ziobry płynęły teksty do prewencyjnego pudrowania i pielęgnacji.

Ale poza propagandą, znów jak w przypadku wszystkich głównych graczy obozu władzy, liczy się dla Ziobry realna siła, aparat przymusu, pięć państwa.

W tym sensie Ziobro korzysta na kłopotach wszechwładnego dotąd koordynatora specsłużb Mariusza Kamińskiego, wiceprezesa PiS.

Kamiński w tarapatkach

Kamiński jest w najtrudniejszej sytuacji od lat, być może w ogóle najtrudniejszej politycznie sytuacji w swej karierze. Z jednej strony tuż przed wyborami dostał zaskakujący awans na szefa MSWiA, a z drugiej po wyborach odeszło jego dwóch bliskich współpracowników. Chodzi o szefa ABW Piotra Pogonowskiego oraz szefa CBA Ernesta Bejdę. Zwłaszcza dymisja Bejdy jest zdumiewająca, bo to najwierniejszy z wiernych żołnierzy Kamińskiego. Razem tworzyli CBA prawie 15 lat temu, na dobre i złe trwali przy PiS, kiedy partia tkwiła w opozycji. Gdy trzeba było robić mokrą robotę, to robili – jak wówczas, gdy do PiS zgłosił się z nagraniami kompromitującymi polityków Platformy Marek Falenta i trzeba było się dyskretnie zająć tą sprawą.

Czemu ten serial o przyjaźni i ślepej lojalności się skończył? Bo CBA Bejdy pod nadzorem Kamińskiego okazało się kompromitująco niewydolne. Nie było w stanie – czy może raczej nie chciało – porządnie sprawdzić majątku ministra finansów Mariana Banaśa. Skończyło się aferą, gdy Banaś został przez PiS wybrany na szefa NIK, a telewizja TVN ujawniła, że w jego kamienicy kwitnie seksbiznes.

Do tego Kamiński został zaatakowany przez swego dawnego pupila, agenta Tomka, czyli najbardziej niegdyś znanego funkcjonariusza CBA Tomasza Kaczmarka. Zarzucił on Kamińskiemu fabrykowanie dowodów w śledztwie dotyczącym ukrywania majątku i prania pieniędzy przez Aleksandra Kwaśniewskiego i jego małżonkę. A potem okazało się jeszcze, że CBA było okradane przez księgową, która wyniosła miliony z tajnej kasy biura – co samo w sobie kompromituje tę sztandarową służbę czasów PiS.

W ABW działa się niewiele lepiej. Pogonowski nie odniósł praktycznie żadnych sukcesów, chyba że za sukces uznać polityczną wycinkę oficerów, której dokonał na zlecenie Kamińskiego. Był lub chciał być ślepcem – ABW latami prze-

To nie jest tak, że Duda
chciał wyrzucić Kurskiego,
bo oglądanie jego
propagandowej TVP
wywołuje u niego konwulsje.
**Duda też chciał propagandy,
tyle że skrojonej
pod jego własne ego.**

dłużała Banasiowi dostęp do informacji niejawnych nie dostrzegając sutenerów w krakowskiej kamienicy.

Do tej pory Kaczyński przymykał oczy na ekscesy Kamińskiego, przeczące jego propagandowemu wizerunkowi ascetycznego państwowca. Wszak syn Kamińskiego dostał z nadania politycznego lukratywną posadę w Banku Światowym. Zarobki – około pół miliona złotych rocznie. Z kolei Anna Kamińska (Kasprzyszak) – była żona Mariusza, matka Kacpra – znalazła dyrektorski stółek w Narodowym Banku Polskim, kierowanym przez Adama Glapińskiego z PiS. Zarobki – niemal 40 tys. zł miesięcznie.

Ale w sprawie sytuacji w specsłużbach Kaczyński interweniował, stąd zmiany. Oczywiście Pogonowski i Bejda pozostaną w kręgu władzy. Pogonowski już dostał posadę w zarządzie NBP (od ponad dekady to tradycyjna przechowalnia PiS dla ludzi partyjnej bezpieki). Na złotym spadochronie wylądować wkrótce pewnie także Bejda – za dużo wie, by chodził samopas.

O ile Kamińskiemu udało się na fotel szefa ABW znów wsadzić swego człowieka, o tyle do CBA już nie.

Prawnokarny taśmociąg

I tu pojawia się Ziobro. Jako prokurator generalny, który dzięki ustawom sądowym PiS zyskał ogromne uprawnienia także w wymiarze sprawiedliwości, Ziobro marzył o jednym: własnej policji. Tylko tego mu brakowało, by dysponować swoim kompletnym prawnokarnym taśmociągiem: policja, prokuratura, sąd.

Gdy odszedł Bejda, Ziobro dostał, co chciał. Szefostwo CBA objął płk Andrzej Stróżny, dotychczasowy szef delegatury ABW w Katowicach. To człowiek szefa

Prokuratury Krajowej Bogdana Święczkowskiego, od wielu lat współpracownika Ziobry. Faktem jest jednak także to, że Święczkowski od lat inwestuje w osobiste relacje z Kaczyńskim, co nie daje Ziobrze gwarancji jego pełnej lojalności – jak to na dworze pełnym walczących ze sobą koterii.

W dodatku Ziobro ma na głowie zbuntowanego szefa NIK Mariana Banaśa. Dlaczego akurat on, bardziej niż inni przedstawiciele obozu władzy? Ano dlatego, że Banaś doszedł do wniosku, że to Ziobro stoi za materiałami medialnymi ujawniającymi gangsterski seksbiznes w jego kamienicy.

Przy głośnych publikacjach takie doszukiwanie się inspiratora jest w politycznym światku standardem. Czy to prawda, czy nie – nie ma większego znaczenia. Istotne jest to, że Banaś jasno pokazał, że w to wierzy. Jego pierwszym ruchem w ramach wojny z PiS był właśnie dywanowy atak na Ziobrę – skierował przeciwko jego podwładnym 16 doniesień do prokuratury. Rzecz jasna, Ziobro wyrzuci je do kosza – część już tam zresztą spoczywa – ale sygnał został wysłany. Banaś zamierza zresztą uderzać także w innych. Z planu prac NIK na ten rok wynika, że na celowniku są strategiczne dla PiS instytucje: m.in. TVP, NBP, wojsko i Służba Ochrony Państwa. Banaś będzie nawet kontrolował działania rządu w sprawie koronawirusa.

Kciuk prezesa

W tym patchworku PiS-owskich koterii, liderów i ich ambicji brakuje jednego nazwiska, tak przez ostatnie lata ważnego. To Beata Szydło. Co prawda jest europosłanką i wystąpiła na konwencji prezydenckiej Dudy, ale rozmowy z politykami PiS nie pozostawiają złudzeń. Była premier jest politycznym trupem, przetrącona dymisją, usuwana z rankingów zaufania do polityków. Miała zostać szefową sztabu Dudy, ale partia uznała, że to za duże ryzyko. Wszak jej zrzucający sułtan syn może skompromitować matkę.

To nauczka dla wszystkich graczy: Dudy, Kurskiego, Ziobry, Kamińskiego. Wiele się w PiS zmienia, ale jeden dogmat wciąż obowiązuje: z wyzyna każdy może zostać stracony jednym ruchem palca Jarosława Kaczyńskiego. Dla jasności – chodzi o kciuk. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Bunt pikerów

AGNIESZKA MRÓZ, DZIAŁACZKA ZWIĄZKOWA:

Pracownicy w globalnym łańcuchu dostaw – przy liniach montażowych w Chinach, w portach i w magazynach logistycznych – mają dziś wyjątkową siłę przetargową.

RAFAŁ WOŚ: Pani szef Jeff Bezos, prezes giganta technologiczno-handlowego Amazon, jest najbogatszym człowiekiem świata. Według szacunków ma fortunę wartą 124 mld dolarów. A kim jest Pani?

AGNIESZKA MRÓZ: Jestem pracownikiem magazynowym, pracuję na dziale pakowania w hali Amazona w Sadach pod Poznaniem. Jedną z 30 tys. osób, które w Polsce pracują na miliardy mojego szefa.

Nie sądziłem, że jest ich już 30 tys.

Oficjalnie Amazon mówi o 16 tys. zatrudnionych, ale należy to pomnożyć przez dwa. Bo mniej więcej tyle jest u nas pracowników agencyjnych. Do tego dochodzą osoby pracujące dla firm zewnętrznych – na przykład służby sprząające.

Amazon pojawił się w Polsce w roku 2014 i wciąż otwiera nowe placówki.

W zasadzie co roku otwiera nowy magazyn. Niebawem pojawi się ósmy. Szczecin, Sosnowiec, Gliwice, Poznań, Legnica, Łódź, Wrocław – rozlokowanie nie jest przypadkowe.

Co to znaczy?

Amazon usadowił się głównie w zachodniej i południowej Polsce, blisko arterii wodzących na zachód. Chodzi o dostęp do ogromnego rynku niemieckiego. Jesteśmy dla niego wielką magazynownią, a Niemcy skupiają się na usługach typu *prime*, czyli najszybszej obsłudze zamówień. Oczywiście chodzi także o to, by otwierając centra logistyczne osłabić pozycję przetargową niemieckich pracowników. Polski pracownik Amazona nadal zarabia mniej więcej jedną czwartą tego, co niemiecki.

Koleżanki i koledzy z niemieckiego Amazona nie byli zachwyceni.

Mało powiedziane. Ale dość wcześniej wysłaliśmy im sygnały, że jedziemy na

tym samym wózku. Jako Inicjatywa Pracownicza utrzymujemy kontakty z niemieckimi organizacjami związkowymi. Próbuje działać wspólnie. Udaną akcją było spowolnienie pracy.

Czyli?

Sieć powiązań działa tak: kiedy Niemcy strajkują, u nas zwiększa się liczba nadgodzin, bo firma chce uniknąć opóźnień, logistyka jest na nie wyjątkowo wrażliwa. Gdy w roku 2015 Niemcy z Amazona zastrajkowali, oznajmiono nam, że następna „nocka” będzie trwała nie 10,5, lecz 11,5 godziny. Ludziom się to nie spodobało. I nie chcieliśmy być tak instrumentalnie użyci do roli łamistrajków. Wtedy nasi pikerzy...

Pikerzy to kto?

Pikerzy to w naszym slangu pracownicy, którzy zbierają z miliona regałów odpowiednie produkty, skanują je i wkładają do tota – przepraszam, znów slang, to taki pojemnik na produkty. Normalnie wkładają po kilkanaście produktów do tego pojemnika i wysyłają do działu pakowania. Ale podczas tamtej zmiany zaczęli wysyłać po jednym. Doprowadziło to do paraliżu całego działu wysyłki.

Nie boicie się, że Was też relokują? Na Ukrainę, Białoruś albo jeszcze gdzieś indziej?

Nie. Pracownicy na całym świecie słyszą od dekad to samo: globalizacji i tak nie zatrzymacie, dostosowujcie się. Kadra menadżerska stara się nas tą opowieścią straszyć. Raz na kwartał mamy spotkania całego zespołu, tzw. *All Hands Meeting*. Kiedyś podczas takiego spotkania dyrektor generalny na pytanie o podwyżki powiedział, że podwyżek nie będzie, bo większość zysku i tak wytwarza chmura [tzw. chmura obliczeniowa to dostarczana na żądanie moc obliczeniowa, bazy danych, aplikacje dostępne przez in-

ternet; Amazon jest ważnym dostawcą tej usługi – red.]. A my nie.

A nie jest tak?

Gdyby tak było, Amazon nie zatrudniałby ciągle nowych ludzi. Logistyka to specyficzna branża. Amazon lubi się przedstawiać jako firma z przyszłości, wiele jest gadania o byciu *smart*. Ale w gruncie rzeczy centrom logistycznym bliżej jest do starego modelu organizacji produkcji. W przeciwieństwie do fabryk nie jest nas łatwo relokować, bo liczy się czas dostarczenia towaru. Dlatego w Sadach pracuje 10 tys. ludzi. W PRL-u w potężnych Zakładach Przemysłu Metalowego H. Cegielskiego w Poznaniu pracowało 20 tys. ludzi – wszyscy pamiętamy, jaka to była moc i jak zapisała się w historii. A nam się wmawia, że nic nie znaczymy. Z powodu koronawirusa kontenery utknęły w chińskich portach, widzimy paniczną reakcję giełd. To pokazuje, że pracownicy w globalnym łańcuchu dostaw – przy liniach montażowych w Chinach, w portach i właśnie w magazynach logistycznych takich jak mój – mają wyjątkową siłę przetargową. Musimy się tylko nauczyć z niej korzystać.

Ludzi pewnie trudno przekonać do tego, że stawianie się pracodawcy ma w ogóle jakiś sens.

Z pracownikami Amazona jest zwykle tak: na początku im się podoba. Imponuje im to, że w halach jest czysto, stołówki są pomalowane na kolorowo i nikt nikogo nie wyzywa. Polski pracownik przyzwyczaił się przez lata do funkcjonowania w naprawdę ciężkich warunkach. Jeden z kolegów wcześniej zajmował się przetrzucaniem torfu – mówił mi, że pierwsze miesiące pracy go zauroczyły, bo nic mu wreszcie na głowę nie kapalo. Amazon płaci też lepiej niż pensja minimalna. Różnica nie jest zasadnicza, ale w pierwsze chwili odczuwalna.

Więc w czym problem?

Ludzie przychodzą do nas zwykle po pół roku albo po roku pracy, kiedy zaczynają się orientować, że mają do czynienia z wyrafinowanym systemem wyzysku. Dam przykład. Raz w tygodniu przychodzi do pracownika menedżer. Jeśli nie osiągnęło się 100 proc. normy, to pokazuje kartkę i mówi: „Tu komputer wydrukował taki wynik, a ty nie osiągasz wyniku. Jak moglibyśmy pomóc?”.



AGNIESZKA MRÓZ
jest aktywistką
Ogólnopolskiego
Związku Zawodowego
Inicjatywa
Pracownicza,
na co dzień
działa w Komisji
Międzyzakładowej
w firmie Amazon.

W pierwszej chwili pracownik czuje się wręcz wyróżniony: chcą mi pomóc, proszę, jak im na mnie zależy! Ale cztery takie wizyty menedżera z tzw. feedbackiem oznaczają rekomendację do zwolnienia.

Albo względy bezpieczeństwa. Ludziom najpierw imponuje, że każda zmiana zaczyna się od tzw. stand-upu, gdzie menedżer przekazuje tzw. wskazówki bezpieczeństwa: że po hali nie wolno biegać, że należy zrobić krok, a nie skręt, bo od tysięcy skrętów uszkadzają się ściegna, albo że zawsze trzeba się trzymać poręczy.

Dobre rady.

Świetne. Tylko że potem musisz sprostać systemowi norm, który robi wrażenie, jakby tego wszystkiego nie uwzględniła. W ostatniej godzinie pracy ledwo stoisz, już nie możesz patrzeć na skaner lub kolejny karton. Po pół roku czy roku ludzie – jeśli w ogóle do tego momentu dotrważą, bo rotacja jest olbrzymia – zaczynają się orientować, w czym uczestniczą, i przychodzą do nas. Moja organizacja związkowa liczy dziś 700 osób.

Od paru lat Polska należy do globalnych rekordzistów w przyjmowaniu pracowników tymczasowych z zagranicy. Głównie z Ukrainy, ale coraz częściej także z Bangladeszu czy Nepalu. Czy czujecie tę presję? Im więcej migrantów, tym łatwiej Was przecież wymienić...

Oczywiście. Zatrudnianie pracowników, którzy są w gorszej sytuacji, to jeden ze sposobów na osłabianie pozycji przetargowej pracownika, stosowany również przez Amazona. W hali pod Szczecinem

jest bardzo dużo pracowników z Ukrainy. U nas pod Poznaniem spotykam głównie Ukraińców zatrudnionych w wewnętrznych firmach sprzątających albo w kuchni kantyny. Kiedyś do związków zgłosili się pracownicy firmy zewnętrznej, którzy pokazali nam swoje grafiki. Wynikało z nich, że pracują po 27 dni w miesiącu na 10-godzinnych zmianach.

Pomogliście im?

Tak. Zwłaszcza że ich żądania nie były wcale wygórowane. Chcieli na przykład korzystać z automatów z herbatą w kantynie czy z firmowego darmowego transportu, a Amazon chciał to ograniczyć. Podnosiliśmy też kwestię ich umów. Mieli umowy zlecenia, płacę minimalną, a naszym zdaniem powinni mieć umowy o pracę. Amazon zareagował jak zwykle. Zgodził się na kosmetyczne zmiany, pozwolił korzystać z automatów z herbatą, ale w kwestii umów usłyszeliśmy, że Ukraińców zatrudnia zewnętrzna firma i oni nie mają z tym nic wspólnego.

No to będzie jeszcze trudniej.

A może właśnie łatwiej z powodu znajomości angielskiego. Ale to nie muszą być od razu pracownicy z zagranicy. Podobny efekt można osiągnąć sięgając po ludzi, którzy codziennie dojeżdżają do pracy sto albo więcej kilometrów w jedną stronę. Amazon woli takich pracowników niż ludzi z Wrocławia czy Poznania, którzy mają wyższe oczekiwania i większe pole manewru, gdy chodzi o znalezienie nowej pracy.

Jak firma podchodzi do działalności związków?

Jakiś czas temu w internecie pojawiły się filmiki z wewnętrznych firmowych instruktaży w amerykańskim Amazonie. Widać na nich, jak uczula się kadre menedżerską na to, by reagowali, gdy widzą na przykład, że grupa kilku osób gromadzi się na parkingu. Albo gdy ktoś użyje słowa „płaca godziwa”. Szkolono, że znaki ostrzegawcze – cytuję – „rosnącego negatywizmu w miejscu pracy” to zgłaszanie uwag w imieniu innych pracowników, zainteresowanie zasadami pracy, petycje czy to, że pracownicy, którzy normalnie ze sobą nie rozmawiają, nagle zaczynają spędzać razem czas. Boją się strasznie. U nas też. Nie mogą nas tak zupełnie wyprzeć z zakładu. Ale istnieje niepisana polityka rugowania ujawnionych działaczy związkowych z ciekawszych stanowisk. Na przykład z posady operatora wózka widłowego, którego praca jest mniej monotonna i który nie musi wyrabiać norm.

A robotyzacja?

Amazon chętnie sięga po automatyzację. W magazynie w Szczecinie jest słynna Kiva [technologia zwana Amazon Robotics, polegająca na automatycznej obsłudze magazynu – red.]. Jednocześnie zatrudnienie wcale się tam nie zmniejszyło, przeciwnie – zatrudniono dodatkowe 5 tys. osób. Nasze doświadczenie jest jednak takie, że automatyzacja tylko w niewielkim stopniu służy ułatwianiu nam pracy. Koncern odczuwa inwestuje w technologię, które służą temu, by nas lepiej kontrolować. Albo na przykład od siebie izolować. W amerykańskiej czy szczecińskiej hali Amazona widziałam taką technologię, która polegała na zamknięciu pikerów w klatkach.

W klatkach?

W halach nowego typu pracownicy poruszają się tylko na obrzeżach. W środku mamy zaś pracujące roboty. Robot podjeżdża do pracownika z regałem, na którym jest towar. Piker stoi w miejscu sam na sam z robotem. Jest zamknięty w klatce. Tłumaczono nam to oczywiście względami bezpieczeństwa. Ale jednocześnie odgradza pracowników od siebie. W 2015 r. bunt pikerów, o którym wspominałam, był możliwy dlatego, że pikerzy się ze sobą komunikowali. W magazynie nowego typu taki bunt nie byłby możliwy. Trzeba będzie wymyślić coś innego. ©P Rozmawiał RAFAŁ WOŚ



Pękająca kamienica przy ul. Wólczańskiej 43 w Łodzi, listopad 2019 r.

Dziurawa Łódź

BARTOSZ JÓZEPIAK

Kamienice składają się jak domki z kart. Politycy prześcigają się w pomysłach, jak je ratować. A mieszkańcy się modlą, żeby zdążyli coś wymyślić przed kolejną katastrofą.

ZASPANY MACIEJ ZACHOWAŁ SPOKÓJ, kiedy w środku nocy zobaczył czerwono-niebieskie światła i strażaków pukających w okno. „Przeparkuj pan auto, bo się kamienica wali” – oświadczył człowiek w mundurze. Macieja bardziej zaskoczyło coś innego: to dziwne, że aż tyle wytrzymała.

Upadek

Przecież znaki widzieli już wcześniej. Jola wspomina, jak drzwi na klatkę popychała delikatnie, żeby nie uderzyć w ścianę. Kiedy za mocno przywaliła, kawały gruzu sypały się na głowę. Maciej pamięta tynk odpadający ze ściany prosto pod nogi przechodniów. A Paweł przypomina wilgoć wychodzącą z pustych lokali po bokach.

Czego się spodziewać po budynku, który ma sto lat albo i lepiej? Na Wólczańskiej 43 w końcu się doczekali. W październikową noc w oficynie ich kamienicy zawalił się strop. Na szczęście skrzydło było opuszczone, strażacy odkryli jednak, że ściany pękają wszędzie.

Budynek przy Wólczańskiej zamknął zeszłoroczną czarną serię w Łodzi. W marcu zawalił się dach budynku naprzeciwko dworca Łódź Fabryczna. Na początku września w remontowanej kamienicy przy ul. Rewolucji 1905 Roku z hukiem upadły wszystkie stropy. Nie minęły dwa miesiące, a runęła ściana sąsiedniej posesji. Po każdej katastrofie strażacy powtarzali: „Cud, że nikt nie zginął”.

Ten cud rozciąga się w czasie. Lista kamienic, które się zawaliły w ostatnich

latach doszła do dziesięciu. Po ostatniej czarnej serii nikt nie chce już czekać, kiedy w końcu pod gruzami zginą ludzie. Łódź się wystraszyła.

Zryw

Po zdarzeniu na Wólczańskiej prezydent miasta Hanna Zdanowska żąda od premiera utworzenia funduszu dla rewitalizacji Łodzi. „Kilkadziesiąt lat powojennych zaniedbań odbiło się na stanie technicznym wielu łódzkich kamienic. Staramy się to naprawić, jednak wysiłek, jaki musimy ponieść, przerasta możliwości finansowe samorządu, tym bardziej że Łódź posiada najwięcej kamienic komunalnych spośród wszystkich miast w Polsce” – pisze do premiera Morawieckiego. Radni ruszają z pracą nad projektem ustawy rezerwującej rządowe środki specjalnie dla Łodzi. Powołują się na przykład Krakowa. Co roku stolica Małopolski dostaje ok. 30 mln od rządu na rewitalizację zabytków. Łódź marzy się podobne finansowanie. Tylko bogatsze, bo skalę potrzeb oszacowano na 13 mld złotych.

Spółecznicy wzywają urząd do okrąglego stołu mieszkaniowego. – Zebraliśmy deweloperów, mieszkańców, wojewodę. Tylko magistrat nie odpowiada – tłumaczy Jarosław Ogrodowski, łódzki społecznik i ekspert ds. rewitalizacji.

Wiceprezydent Wojciech Rosicki kontruje: w urzędzie nie mają czasu na inicjatywy czysto polityczne. Przecież szefowa społeczników kandydowała na prezydenta miasta. Tymczasem nadzór budowlany na szybko przeprowadza audyt najgorszych kamienic. Inspektorzy żądają ewakuacji sześciu z nich. Miasto proponuje lokatorom wyprowadzkę do hostelu.

Grożący zawaleniem budynek przy Wólczańskiej wciąż zamieszkuje 20 rodzin. Zrozpaczeni mieszkańcy z transparentami wchodzą na sesję rady miejskiej. Domagają się nowego domu – ale takiego, w którym da się mieszkać bez wstydu. Nie można im się dziwić. Aż 19 tys. lokali należących do magistratu nie ma toalet, 5 tys. w ogóle nie ma wody. Prawie 30 tys. rodzin marzy o centralnym ogrzewaniu.

W końcu urzędnikom udaje się przekonać lokatorów do wyprowadzki do robotniczego hostelu. Tymczasowo, póki magistrat nie znajdzie nowych lokali.

Czekanie

Połowa lutego, cztery miesiące po katastrofie. Po korytarzu hostelu biegają maluchy, zrezygnowane matki wylewają zawartość nocników do jedynej toalety na piętrze. Ojcowie odgrzewają obiad na indukcyjnej płycie we wspólnej kuchni.

Maciej żadnej propozycji od miasta jeszcze nie dostał. Mógłby sobie sam czegoś poszukać, bo – o ironio! – pracuje jako pośrednik nieruchomości. Z kredytem byłoby jednak ciężko. Po zawale dochodził do zdrowia, stracił wszystkie oszczędności. Dużo nie wymaga, 35 metrów z łazienką to jego największe marzenie.

Paweł miał na Wólczańskiej 30 metrów do podziału na cztery osoby, ale to i tak znacznie więcej, niż ma dzisiaj w hostelowych pokojach. No i do pracy miał blisko, bo wszędzie pod nosem tramwaj. Wszak Wólczańska, ulica pełna kamienic z odpadającymi fasadami i opuszczonych fabryk, znajduje się w samym centrum. Teraz do pracy przy produkcyjnej taśmie Paweł dojeżdża ponad godzinę.

Na Wólczańską wprowadził się jako nastolatek. Pomagał dziadkom, którzy zdrowie zmarnowali w łódzkich fabrykach. To było 30 metrów wydzielonych z 300-metrowego mieszkania. Te klitki nie miały żadnej wentylacji, sąsiedzi nie grzali, bo mieli piec na prąd. Żadnej ubikacji ani łazienki, dorosły Paweł wszystko pobudował we własnym zakresie.

Parę lat temu kamienicę od magistratu odzyskał potomek przedwojennych właścicieli. Mieszka w ciepłych krajach, a nieruchomości pozostawił pod opieką administratora. Dzisiaj ten administrator przed sądem opowiada o tym, dlaczego zamienił budynek w ruinę.

Miały stać 30 lat

Upadek łódzkich kamienic wpisany był w ich DNA od narodzin. Turyści podziwiają secesyjne pałace oraz kamienice fabrykanckich rodzin. Ale tkanę śródmieścia tworzą głównie tanie czynszówki budowane dla robotników. XIX-wieczna Łódź w ciągu stu lat zwiększyła 600-krotnie liczbę mieszkańców. Powstawało ponad 200 kamienic rocznie. Budowano tanio i szybko.

– Właściciele kamienic postrzegali je jako budowle substandardowe, które mają postać 30–40 lat – opowiada Jarosław Ogrodowski.

W czasie II wojny z miasta znikają Żydzi, potem Niemcy, czyli większość mieszkańców. Władza ludowa przejmuje kamienice na własność. Przestronne pokoje dzieli na małe izby, wprowadza nowych lokatorów. Kolejny raz w swojej historii Łódź przeżywa oblężenie. Wiekowa ludność z Polski środkowej falą napływa do przemysłowego miasta. Po wojnie Łódź liczyła pół miliona mieszkańców. 30 lat później już 800 tysięcy. Strajkujące włókienniki domagały się – oprócz spadku cen żywności – właśnie budowy mieszkań. Rozwiązaniem mieszkaniowego głodu była budowa ogromnych osiedli wokół centrum, jak Widzew, Radogoszcz, Retkinia czy Bałuty.

– PRL wołał budować nowe, niż remontować stare. Na jednym blokowisku stworzysz znacznie więcej mieszkań niż w odnowionym kwartale kamienic. No i wtedy te kamienice to nie był żaden zabytek – tłumaczy Jarosław Ogrodowski.

Synonimem luksusu stało się mieszkanie w bloku z płyty z łazienką i bieżącą wodą. Kamienice z wychodkiem na podwórzu nie mogły z nimi konkurować. Do śródmieścia trafiały tylko ci, którzy nie mieli wyjścia. Tak w centrum Łodzi powstały enklawy biedy.

III RP przekazuje samorządom w zarządzie mieszkania komunalne. Polskie miasta do dzisiaj nie poradziły sobie z tą niedźwiedzią przysługą. Obserwatorium Polityki Miejskiej w 2018 r. zbadało 722 miasta. Badanie pokazało, że

w Krakowie i Wrocławiu 20 proc. komunalnych budynków jest w złym stanie. W Bytomiu ten odsetek to 26 proc. W Olsztynie i Lublinie ponad 60 proc. Miasto Łódź, właściciel największej liczby kamienic w kraju, ma gminny zasób zdegradowany w 89 procentach.

Zapomnienie

W Łodzi silna jest legenda o ignorowaniu przez resztę kraju, który traktował robotnicze, wielokulturowe miasto jak ciało obce. W tej narracji Łódź nie przejmowała się ani sanacja, ani władza ludowa, a o III RP lepiej nie mówić.

W latach 90. lokalni politycy pielgrzymowali do Warszawy, domagając się rządowego wsparcia. Minister Jacek Kuroń obawiał się, że bez niego w mieście dojdzie do poważnych niepokojów. Hanna Suchocka powołała pełnomocnika do spraw restrukturyzacji Łodzi. Nic to nie dało, bo żadnej restrukturyzacji nie było.

– Kiedy padał przemysł włókienniczy, zostaliśmy pozostawieni sami sobie. Włókienniki to była słaba grupa protestacyjna, nie miały siły górników, żeby palić opony i walczyć o swoje. Żaden rząd nam nie pomógł. Ani z Platformy, ani z lewicy, ani z PiS – mówi wiceprezydent miasta Wojciech Rosicki.

Za czasów PO w Łodzi powstał co prawda podziemny dworzec i ekspresowe obwodnice, ale Donald Tusk obiecywał znacznie więcej, bo aż 25 mld zł na rewitalizację. Ostatecznie z 25 mld zostało się... 650 mln.

Teraz kolejny raz Łódź wyciąga rękę do Warszawy.

Wyprowadzanie

Jola, niegdyś dozorczyń, dziś emerytka, pamięta, jak na Wólczańskiej zamazły rury. Z sąsiadami po wodę musiała biegać do beczkowszu. Zresztą prysznic Joli to zawsze była woda nalewana z baniaka do miski, ewentualnie kąpiele u syna raz w tygodniu.

Pewnego dnia u Joli pojawiła się wąziutka szczelina pod oknem. Latem wpadało przez nią słońce, zimą wiało. Szczelina rosła, aż z ulicy było widać. Jola zasłoniła ją watą szklaną i dyktą. Kiedy pomalowała sufit, to zaraz wychodziły nowe pęknięcia. Pisała do urzędu miejskiego o nowe mieszkanie. Usłyszała, że miasto nowych mieszkań nie ma.

W ostatnich latach magistrat zbudował trzy bloki komunalne, a na remonty →

→ mieszkań wydać blisko 100 mln zł rocznie. Niby mało, ale krytycy Hanny Zdanowskiej chętnie wymieniają ogromne, choć przeskalowane inwestycje. Tunele drogowe w centrum miasta, dwa stadiony piłkarskie czy orientarium wyglądają może imponująco, lecz w życiu łodzian zmieniają niewiele. Tymczasem mieszkań brakuje.

Jola z Wólcząńskiej wcale nie chciała się wyprowadzać. Aż do momentu, jak zerwał się strop w sąsiedniej oficynie. Akcję strażaków oglądała z chodnika, w podomce, otoczona przez ewakuowanych sąsiadów. Wtedy właśnie pomyślała: „Pod gruzami też nie chcę umierać”. Trafiła do wąskiego pokoiku w hostelu. Ciągle śpiemy i jedna toaleta na piętrze to nie są warunki na jej nerwy. Musi poczekać na nowe mieszkanie. Jakoś wytrzyma. Nie ma przecież wyboru.

Szarpanie

W styczniu 2020 r. projekt specustawy jest już gotowy. A nawet dwa. Jeden to dokument firmowany przez radnych i urząd miasta. Hanna Zdanowska wysłała go do grupy łódzkich parlamentarzystów oraz prezydenta Andrzeja Dudy.

– Projekt jest prosty i zawiera jeden postulat: dajcie nam pieniądze. Niech powstanie fundusz, z którego będzie mógł korzystać magistrat i prywatni inwestorzy – mówi wiceprezydent Rosicki. Pieniądze dla Łodzi rozdzielać ma komitet złożony z przedstawicieli władz miasta i prezydenta. Nie ma mowy o konkretnych kwotach, ale na urzędowych korytarzach słychać, że nawet 100 mln rocznie byłoby darem z niebios.

W tym projekcie ustawy rząd nie ma nic do powiedzenia na temat wydawania rządowych pieniędzy. – Wyszliśmy z założenia, że to my najlepiej wiemy, na co przeznaczyć te środki – mówi Rosicki.

Cieńko uwierzyć, że dokument w tym kształcie, w dodatku firmowany przez samorządowców z PO, spodoba się premierowi. Lepiej wyglądają szanse drugiego projektu, który przygotował Włodzimierz Tomaszewski, poseł z Porozumienia Jarosława Gowina, wiceprezydent Łodzi za czasów Jerzego Kropiwnickiego. Tomaszewski mówi, że zdobył już podpisy 18 posłów. Wystarczy, by złożyć projekt ustawy. Ale Tomaszewski nie jest pierwszoligowym graczem obozu rządzącego i nie wiadomo, czy zbierze większość w klubie. No i jego projekt pozostaje

Kiedy poszła do lokalówki po mieszkanie, usłyszała:
„Każdy musi sobie w Polsce poradzić sam.

Czemu pani nie wynajmie?”.

A Teresa młodej urzędniczce chciałaby odpowiedzieć,
że nie wynajmie,
bo ma 1170 zł emerytury.

wia władzę nad funduszem w rękach premiera, za to całkowicie odcina od decyzji samorząd.

– Nie mogę dopuścić, by pieniądze trafiły w ręce szkodników, którzy doprowadzili do pogorszenia stanu kamienic – rzuca Tomaszewski, od lat krytyk Zdanowskiej.

Trzecią opcję prezentuje wicepremier i minister kultury Piotr Gliński, jedynka na listach PiS z Łodzi. W wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego” zapowiedział co prawda, że specustawy nie poprze, za to mógłby przekazać środki z Narodowego Funduszu Ochrony Zabytków. Dziś Fundusz to raptem 20 mln zł, ale Gliński liczy, że uda się go powiększyć. Namawia jednocześnie, żeby projekt takiej ustawy złożyła... opozycja.

Na razie więc politycy podgryzają się wzajemnie. A Łódź czeka.

Kijem w szczury

W ciągu dnia Teresa nie lubi siedzieć w domu. Tylko ile można jeździć do wnuków? Parterowy dom przy Kopernika to jeden z tych, które nadzór budowlany kazał ewakuować. Nakaz nakazem, a w kamienicach wciąż mieszkają ludzie. Teresie zaproponowali cztery mieszkania zastępcze. Wszystkie odrzuciła. Nadawały się bardziej na magazyn niż mieszkanie.

Na Kopernika wprowadziła się w latach 50. z rodzicami. Jak tylko matka zobaczyła ich nowy dom, usiadła i zapłakała. Na ścianach czarno od wilgoci. Przez lata nauczyli się ten grzyb maskować meblami, tapetami, dyktą.

Nogi bołą Teresę od dawna. Do tego porrzywione palce, zapalenie stawów i mięśnia sercowego. Syn skarży się na stawy, córka sąsiadów chorowała na płuca. To

typowo łódzkie historie. Budowane na szybko kamienice, parterowe budynki bez fundamentów, zachodzą grzybem i wilgocią. Złe warunki przekładają się na zdrowie. Łódź ma najwyższą umieralność mieszkańców spośród dużych miast.

Od niedawna Teresa ma nowych współlokatorów – szczury. Przed snem wali kijem bejsbolowym w podłogę wokół łóżka, żeby je wystraszyć.

Już w 2017 r. urzędnicy obiecywali jej wyprowadzkę przy okazji rewitalizacji. Potem zniknęli na całe lata. Kiedy poszła do lokalówki po mieszkanie, usłyszała: „Każdy musi sobie w Polsce poradzić sam. Czemu pani nie wynajmie?”. A Teresa młodej urzędniczce chciałaby odpowiedzieć, że nie wynajmie, bo ma 1170 zł emerytury.

Szlag ją trafia, gdy ogląda nowe bloki z płachtami na balkonach: na wynajem. To znaczy, że ludzie mają środki, żeby kupić jedno mieszkanie i jeszcze drugie na wynajem? Teresa życie przepracowała w gazecie jako goniec, a na starość jako sprzątaczką, ale nie stać ją nawet na jedno mieszkanie. Czuje, że spotkała ją kara. Tylko nie wie, za co. Chyba za całą historię tego miasta.

Milczenie

Premier Morawiecki na list Hanny Zdanowskiej do dziś nie odpowiedział. Pomyśl funduszu dla Łodzi poparł za to kandydat na prezydenta RP Władysław Kosiniak-Kamysz.

Nawet jeśli rząd sypnie pieniędzmi, to jednak nie rozwiąże całkiem problemu. Sam urząd miejski zarządza 1800 kamienicami, do tego należy dodać wspólnoty mieszkaniowe oraz prywatnych właścicieli.

– Trzeba szukać innego finansowania, wprowadzić prywatny biznes. Widzimy to tak: inwestor dostaje od nas grunt i zawiera umowę. Buduje osiedle, ale rewitalizuje też stare budynki. Część mieszkań oddaje nam na lokale komunalne, a resztę sprzedaje. To byłby sukces, gdyby w tej kadencji powstało w ten sposób kilkadziesiąt gminnych mieszkań – opowiada wiceprezydent Rosicki.

Na dywagacje nie ma już czasu. Bo tego, że będą następne zawałenia, Łódź jest więcej niż pewna. © BARTOSZ JÓZEPIAK

W kwietniu nakładem Czarnego ukaże się książka Wojciecha Góreckiego i Bartosza Józefiaka „Łódź. Miasto po przejściach”.

ANNA

Dziewit-Meller: Woda z kranu



KIEDY PISZĘ TEN FELIETON, JEST PIĄTEK, 13 dzień marca, siedzę z komputerem na kolanach na parkingu w Warpunach, grzejąc się we wnętrzu samochodu. Zasadę #zostanwdomu realizuję na Mazurach, w prawdziwej izolacji, tak głębokiej, że nie mając w domu zasięgu, muszę szukać miejsc, z których będę w stanie przepchać maila z tekstem przez odporne serwery, by dotarł na czas do Krakowa. Zazwyczaj łapię sieć w mrągowskiej kawiarni, dziś z oczywistych powodów tego nie robię, by nie narażać siebie i innych. Opustoszały o tej porze roku parking niedaleko „plaży wiejskiej” jest idealnym miejscem na „pracę z domu”.

Nie chcę dziś pisać niczego o epidemii, mam poczucie, że od nadmiaru informacji na ten temat, które *non stop* atakują z każdej strony, staję się bezbronna. Jestem głęboko przekonana, że polskie media niestety nie zdają tego egzaminu, nakręcając do granic możliwości spiralę hysterii. Wysoka może być w przyszłości cena za te clickbaity.

Chociaż na chwilę zatem chcę zająć państwa głowy czym innym, możliwe, że dając asumpt do refleksji nad tym, co będzie „po”. Zawsze jest bowiem jakieś „po”, a na potrzeby tego tekstu przyjmijmy, że to „po” będzie mniej dramatyczne niż bardziej. Natura nie znosi próżni, natura ludzka zaś ma tendencję do szukania korzyści wszędzie, gdzie się da, pomyślałam zatem, że ten nagły i szokujący zwrot w paradygmacie pracy może przynieść bardzo głębokie zmiany w sposobach, w jakie będziemy pracować, gdy nadejdzie już „po”.

W dzienniku „Washington Post” ukazał się właśnie tekst o korzyściach pracy z domu. Otóż dopadło to kiedyś samego Isaaca Newtona. W 1665 r. Londyn nawiedziła wielka plaga. Ludzie intuicyjnie czuli, że są pewne rzeczy, które można zrobić, by zmniejszyć ryzyko zachorowania. „Trzymanie dystansów społecznych” było więc w modzie, zalecano tak jak dziś siedzenie w domu i bez mała *home office*. Newton nie był wówczas jeszcze tym bardzo znanym panem od anegdoty z jabłkiem. Jako student Trinity College został przymusowo wysłany przez władze Cambridge na kwarantannę do domu. Zaszył się więc w rodzinnym

majątku Woolsthorpe Manor i z braku lepszego zajęcia zabrał się za zgłębianie nauki, bez stojących mu nad głową profesorów.

Dość rzec, że ten trwający ponad rok okres nazwany został potem przez jego biografów „rokiem cudów”, tak bardzo efektywny okazał się Newton siedząc w domu. Pracował nad swoimi teoriami dotyczącymi matematyki, nad pryzmatem, a zatem nad zasadami optyki, wreszcie – wedle słów jego asystenta – ponoć właśnie wtedy miało mu spaść na głowę owo szczęśliwe jabłko, choć – jak zaznacza autor „Washington Post” – mocno to trąci apokryfem. Tak czy owak, gdy wrócił po roku do Londynu liżącego rany, miał się czym pochwalić zwierzchnikom.

Zmierzam do tego, że najpewniej gdy skończy się ten niezwyczajny czas, w którym teraz funkcjonujemy, okaże się – a statystyka będzie nam sojusznikiem – że być może dużo naszych zajęć, które odbywaliśmy w biurach i firmach, obecnie zamkniętych, możemy z powodzeniem – wbrew zwyczajowej niechęci wielu pracodawców do tego, by „siedzieć w domu” – wykonywać właśnie w nim siedząc. Mam poczucie, patrząc nie tylko na dokonania genialnego fizyka, któremu szefowie dali święty spokój, że nasza efektywność może być po prostu znacznie większa. Nie zmarnujemy czasu na dojazdy, nie zanieczyścimy powietrza, stojąc w wiecznych korkach po drodze do biura, odzyskamy czas na życie rodzinne.

Wiem oczywiście, że teraz jest inaczej – wielu z nas, ze mną na czele, zostało w domach z dziećmi, które trzeba czymś zająć, rozmowy z kontrahentami bywają utrudnione, gdy do pokoju wpada znudzony przedszkolak domagający się uwagi. Sama przecież siedzę na tym parkingu w idealnej ciszy mojego auta, owszem, ze względu na internet, ale również po to, by zebrać myśli bez wrzasków dzieci za plecami. Niemniej wydaje się, że w czasach „po” ta próba ogniowa, którą teraz masowo przechodzimy (nie wszyscy, rzecz jasna, wiem, jak ciężka jest sytuacja tych, którzy nie mają szans zabrać pracy do domu), może przynieść dobry efekt.

Bardzo chcę w to dziś wierzyć, w gruncie rzeczy zdołowana i przestraszona skalą paniki, jaka wybuchła. Ale – cytując słowa pani z reszelskich wodociągów, do której rano dzwoniłam, odkrywszy, że nie mamy niestety w kranie wody: „Najważniejsze, żebyśmy sobie umieli teraz pomagać”.

Jej spokojny głos i życzliwość były dla mnie jak uspokajająca herbata ziołowa.

Będzie wkrótce jakieś „po”, bądźmy dla siebie dobrzy i szukajmy iskerek nadziei w tej zwariowanej i niepewnej sytuacji. Woda znów popłynęła w moim kranie. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



KOMUNIA TEŻ PODLEGA PRAWOM BIOLOGII

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA:

Nie znajduję teologicznego argumentu,
że Najświętszy Sakrament czy woda święcona
są wolne od możliwości przenoszenia infekcji.



Wolontariusze dezynfekują ołtarz kościoła św. Dominika, Neapol, 6 marca 2020 r.

MACIEJ MÜLLER: Obejrzenie mszy w telewizji czy wysłuchanie w radiu nie równa się uczestnictwu w niej – słyszeliśmy wielokrotnie na katechezach i rekolekcjach. Okazuje się tymczasem, że to jednak forma dopuszczalna, a w coraz większej liczbie krajów wręcz zalecana przez biskupów. Kościół austriacki uruchomił nawet stronę z modlitwami dla osób, które nie mogą uczestniczyć w mszy, a odczuwają głód eucharystyczny. Rada Stała Episkopatu Polski zaleciła biskupom, by udzielili dyspensy od obowiązku niedzielного uczestnictwa we mszy osobom w po-

deszłym wieku, a także tym, którzy mają objawy infekcji, dzieciom i młodzieży oraz tym, którzy czują obawę przed zarażeniem. Jak to w końcu jest: co trzeba zrobić, żeby spełnić nakaz przykazania Bożego i kościelnego?

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA: Żeby uczynić załość przykazaniu, należy być fizycznie obecnym na mszy w niedzielę i święta nakazane (wliczając w to sobotnią mszę wieczorną). Msza transmitowana nie jest formą uczestnictwa zastępczego. Reguluje to Kodeks Prawa Kanonicznego w kan. 1247. W Liście „Dies Domini” Jan Paweł II pisał, że „dla tych (...), którzy z różnych przyczyn zewnętrznych nie mogą uczestniczyć w Eucharystii i są tym samym zwolnieni z obowiązku niedzielного, transmisja telewizyjna lub radiowa stanowi cenną pomoc”. Transmisja jest więc pomocą w przeżywaniu Dnia Pańskiego, a nie obowiązującą, zastępczą formą uczestnictwa w mszy św. W sensie ścisłym nie można uczestniczyć „z oddalenia”, jak pisał Jan Paweł II. Konieczna jest obecność ciałem w miejscu sprawowania Eucharystii. Można jednak mówić o jakiejś niedoskonałej formie łączności, która może być bardzo pomocna. Papież mówi o „możliwości zjednoczenia” z mszą św. celebrowaną w miejscu transmisji. Trzeba dodać, że jako pierwszą formę pomocy papież wylicza „lekturę czytań i modlitw mszalnych przewidzianych na ten dzień, a także wzbudzenie w sobie pragnienia Eucharystii”.

Ale czy biskupi w sytuacjach takich jak epidemia COVID-19 nie mogą zawieszać kanonów?

Nie muszą zawieszać prawa kanonicznego w tym względzie, ponieważ prawo nie wiąże w sytuacji obiektywnej niemożności wypełnienia normy prawnej. Jan Paweł II wspomina w swoim liście o chorobie, niesprawności lub innej ważnej przyczynie, które zwalniają z obowiązku niedzielного. Ważną przyczyną może być także konieczność sprawowania opieki nad małym dzieckiem czy osobą starszą, której nie można pozostawić samej. Taka sytuacja jest możliwa np. w małej miejscowości, gdzie jest tylko jedna msza i nie ma nikogo, kto mógłby przejąć opiekę. Wtedy nie zaciąga się winy moralnej – nie ma grzechu i nie należy się z tego spowiadać, choć zdaje sobie sprawę, że wielu katolików czuje →

→ z tego powodu wyrzuty sumienia. Są niepotrzebne.

Czy powinniśmy teraz przekonywać naszych seniorów, żeby w niedzielę nie szli do kościoła? Jak rozmawiać z ludźmi, dla których uczestnictwo w mszy to kluczowa część tygodnia, a którzy nie powinni pojawić się w kościele, bo są w grupie ryzyka?

„Ważna przyczyna”, o której mówi list Jana Pawła II, to według mnie także podniesione ryzyko zarażenia się chorobą przez osobę chorą, starszą, mającą osłabiony system immunologiczny. Byłoby to narażenie własnego zdrowia na szwank, a może nawet na ryzyko śmierci, a więc działanie przeciwko przykazaniu „Nie zabijaj” w stosunku do siebie – a także wobec innych, którzy mogą zostać potencjalnie zakażeni. Rozumiem pragnienie obecności na mszy św., ale ono nie może być ważniejsze niż obiektywna sytuacja ryzyka. Są grupy osób bardziej zagrożone infekcją. Główny Inspektor Sanitarny zaleca, by pozostały w domu. Moim zdaniem należy się temu zaleceniu podporządkować.

Strona, nazwijmy to, konserwatywna pokazuje obrazki ze św. Karolem Boromeuszem czy Szymonem z Lipnicy, posługującymi wśród zarazy. Jak sobie poradzić z argumentacją, która przeciwstawia zdrowy rozsądek płynący z wiedzy medycznej i ślepią na niebezpieczeństwo wiare?

Nie ma nic niewłaściwego w samym ukazywaniu tych obrazków, chociaż może być to odebrane jako szantaż emocjonalny. Ci, którzy to czynią, najczęściej używają tych przykładów jako kontrargumentu na tzw. wariant włoski, czyli zawieszenie publicznego sprawowania Eucharystii.

Według mnie to daleko idące nieporozumienie. Decyzja biskupów nie dotyczy zaprzestania posługi duszpasterskiej,

We współczesnej teologii
dominuje pogląd,
że spowiedź przez
pośrednictwo technologiczne
jest niemożliwa, gdyż
**kontakt powinien być
ludzki i naturalny.**

także wśród chorych i objętych kwarantanną, do czego zachęca sam papież Franciszek, ale ma być środkiem prewencyjnym. Chodzi o to, by nie tworzyć zgromadzeń, skupisk ludzi, bo to tam następuje przekazywanie wirusa. Ksiądz, który rozdaje komunię, też może być wehikułem zakażeń. Nie ma żadnych teologicznych przesłanek dla tezy, że zgromadzenie liturgiczne jest wyłączone spod inwazji wirusa.

Mamy chyba problem z zestawieniem mszy, komunii, w ogóle czynności sakralnych – z rzeczywistością tak sekularną jak epidemia, obostrzenia sanitarne itp. Te kategorie zdają się radykalnie do siebie nie pasować.

To prawda. Wynika to z faktu, że prawo i zwyczaj kształtują się w sytuacji zwyczajnej, a sytuacje nadzwyczajne nie dają się szczegółowo przewidzieć. Znalazłem dekret watykański z XIX wieku dotyczący mszy św. w czasie epidemii, w którym zezwala się na mszę w domach, ale z zastrzeżeniem, że nie może być to ze szkodą dla szacunku wobec Eucharystii. To też tylko dość ogólna zasada, a w konkretnym przypadku będzie inny.

Padają też argumenty, że odwołanie mszy to „zdrada Chrystusa”. Krąży cytata ze św. Marka, że wierzący „wężę brać będą do rąk i jeśli by coś zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić”. Więc jak można – słyszymy – zakazić się przyjmując hostię czy zanurzając rękę w wodzie święconej? I do tego koronny argument, że Eucharystia to sakrament uzdrowienia...

Takie myślenie jest na poły magiczne. Owszem, wyznajemy, że Eucharystia jest lekarstwem duszy i ciała. Także sakrament namaszczenia chorych jest udzielany z nadzieją wzmocnienia fizycznego, a może nawet wyzdrowienia, ale to ani

magia, ani chemia, by mogło działać deterministycznie. Materia hostii pozostaje, jak wiemy. To nadal jest chleb, na co wskazują także przepisy dotyczące przechowywania Najświętszego Sakramentu w stosownym miejscu, aby np. nie zawilgł i nie spleśniał. Dlatego Kościół zaleca renowację Eucharystii przeznaczonej do adoracji przynajmniej raz na miesiąc. Zasada ta wynika właśnie z uznania, że konsekracja nie unieważnia, nie znosi naturalnych kategorii chleba konsekrowanego. On wciąż jest poddany prawom fizyki, chemii, biologii, prawom natury. Dodajmy, że Ciało Pańskie na krzyżu też chorowało, co jest konsekwencją Wcielenia. Nie znajduję teologicznego argumentu, że Najświętszy Sakrament czy woda święcona są wolne od możliwości przenoszenia infekcji. A uzdrowienie nie dokonuje się dzięki Eucharystii automatycznie, wszyscy wychodzilibyśmy bowiem zdrowsi z każdej mszy św.

Polscy biskupi zalecili – choć na razie dość delikatnie – udzielanie komunii na rękę (w innych krajach sformułowania są bardziej zdecydowane, np. z zakazem udzielania do ust). W Polsce prawie nikt nie „komunikuje” w ten sposób. Tymczasem, żeby miało to sanitarny sens, absolutnie wszyscy powinni przyjmować na rękę. Wygląda na to, że polscy katolicy będą musieli oswoić się z tą formą.

To nie jest takie proste. Dyskusja na temat komunii św. na rękę powraca co jakiś czas. To bardzo trudna dyskusja, ponieważ księża i świeccy, którzy tego rozwiązania nie akceptują, są bardzo przywiązani do formy „do ust” jako jedynej, która wyraża szacunek do Eucharystii. Ja tę wrażliwość szanuję, chociaż do końca nie rozumiem. Uważam, że z równym szacunkiem można przyjąć komunię na rękę. Trzeba pamiętać, że zewnętrzne czyny muszą wyrażać wewnętrzne nastawienia. Konstytucja o Liturgii mówi, że jest udział wewnętrzny i zewnętrzny, które muszą być ze sobą powiązane. Ale to nie miejsce, by przedstawiać tu argumenty. Wyobraźmy sobie jednak sytuację, że – z jakichś względów – okaże się, że bardziej higieniczne byłoby przyjmowanie komunii do ust, a nie na rękę. W teorii to możliwe. Czy wszyscy zwolennicy komunii na rękę tak się chętnie zgodzą? Nie wiem. Znam argumenty, że przyjęcie hostii do



TOMASZ MILLER, autor tekstu na s. 63, opowie o dodatku „Wielkie Pytania na nowo” w audycji Grzegorza Chlasy w środę 18 marca o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

ust uwłacza godności człowieka. Mogę sobie wyobrazić, że ktoś się za nic nie zgodzi na zmianę formy. Ale wtedy trzeba postawić pytanie, co jest ważniejsze: realna, substancjalna i rzeczywista Obecność czy moja subiektywna pobożność?

Co to jest ta „komunia duchowa”, o której wspomina przewodniczący polskiego Episkopatu abp Stanisław Gądecki? Czy jest jednoznaczna z przyjęciem komunii podczas mszy?

Komunia duchowa to stara praktyka Kościoła. Sobór Trydencki przypominał, że są trzy sposoby „komunikowania”: sakramentalnie, duchowo oraz jednocześnie sakramentalnie i duchowo. Co ciekawe, jako konieczne uznano przyjęcie komunii duchowo – żywą „wiarą, która działa przez miłość”. Przyjęcie komunii wyłącznie sakramentalne, bez wewnętrznego duchowego nastawienia, to komunikowanie „jak grzesznicy”. Oczywiście w sytuacji zwyczajnej formą doskonałą komunii jest przyjęcie sakramentalne wraz z duchowym zjednoczeniem, ale gdy nie ma możliwości przyjęcia Ciała Pańskiego, komunია duchowa jest skuteczna, to znaczy jest aktem zjednoczenia z Bogiem, w czym – wracając do wcześniejszego pytania – transmisja radiowa czy telewizyjna może pomóc, ale nie jest konieczna.

Dużym ryzykiem sanitarnym wydaje się też obciążona spowiedź w konfesjonale: twarze księży i penitenta są blisko, łatwo o infekcję. Czy Kościół przewiduje na okoliczności takie jak epidemia spowiedź przez telefon albo internet?

Nie, nie ma spowiedzi na odległość, choć takie pytania powracają. Na początku XVII w. rozważano np. spowiedź za pośrednictwem listu. Kongregacja Świętego Oficjum wypowiedziała się negatywnie o takiej praktyce, grożąc za nią ekskomuniką *latae sententiae* (z mocy samego prawa). Uzasadniano to argumentem, że w momencie dotarcia listu do spowiednika dyspozycja penitenta jest już inna. W roku 1884 zapytano Watykan, czy w przypadku ostatecznej konieczności można udzielić rozgrzeszenia przez telefon. Odpowiedziano wówczas: *Nihil est respondendum*, a więc właściwie nie odpowiadało, rzecz pozostawiając otwartą. We współczesnej teologii dominuje pogląd, że spowiedź przez pośrednictwo technologiczne jest niemożliwa, gdyż kon-

Dotknięcie Jezusa było zawsze uzdrawiające. Dotknięcie człowieka – niestety – może nieść zagrożenie. Dopóki nie będziemy mieć wystarczającego poczucia bezpieczeństwa, **trzeba ten dotyk, także w przestrzeni liturgicznej, ograniczyć.**

takt powinien być ludzki i naturalny. Interaktywność – nawet za pośrednictwem transmisji *live* – to nie to samo, co kontakt interpersonalny. Moim zdaniem, można taką spowiedź zorganizować w zakrystii, w kancelarii, rozmównicy, gdzie jej uczestnicy – penitent i spowiednik – zachowają odpowiednią odległość.

A czy wzorem komunii duchowej możliwa jest „spowiedź duchowa”? Bezpośrednio przed Bogiem, tak jak to praktykują np. ewangelicy reformowani?

Nie. Możemy mówić jedynie o żalu doskonałym w momencie niebezpieczeństwa śmierci. Wciąż obowiązuje nas spowiedź uszna. Należy jednak pamiętać, że jej obowiązek dotyczy jedynie grzechów ciężkich. Grzechy lekkie usuwają czynności pobożne, uczynki miłości, akty strzeżenie itd. Jest jeszcze ogólne rozgrzeszenie sakramentalne (absolucja generalna), ale ono jest możliwe – jak mówi kanon 961 – kiedy „zagroza niebezpieczeństwo śmierci i brak czasu na to, by kapłan lub kapłani wyspowiadali poszczególnych penitentów”. Ale nawet po takim rozgrzeszeniu – jeśli minie niebezpieczeństwo śmierci – należy przystąpić do spowiedzi, by indywidualnie wyznać grzechy. Nie przypuszczam, by ta forma rozgrzeszenia była potrzebna w sytuacji obecnej epidemii.

Czy wysoka śmiertelność na COVID-19 np. w Bergamo uzasadniałaby sięgnięcie po ten kanon?

W literaturze wskazuje się na przykłady bezpośredniego niebezpieczeństwa dla wielu osób w tym samym momencie

– chodziłoby więc np. o absolucję udzielaną przez księdza w schronie podczas bombardowania albo w samolocie awaryjnie podchodzącym do lądowania. Myślę, że sytuacja szpitala raczej nie podpada pod ten kanon.

Wymiar dotyku jest istotny w przeżywaniu wiary, skoro tak go dużo w Kościele. Czy katolik może więc z czystym sumieniem: nie zanurzać rąk w wodzie święconej, nie całować krzyża w Wielki Piątek, nie podawać ręki na znak pokoju?

Myślę, że może. Ostatnie instrukcje biskupów wyraźnie podkreślają, by unikać gestów i czynności, które są „kontaktowe”. Dotknięcie Jezusa było zawsze uzdrawiające. Dotknięcie człowieka – niestety – może nieść zagrożenie. Dopóki nie będziemy mieć wystarczającego poczucia bezpieczeństwa, trzeba ten dotyk, także w przestrzeni liturgicznej, ograniczyć.

Jak przeżyć Wielki Post bez rekolacji, a może nawet bez spowiedzi wielkanocnej?

A może nawet bez rezurekcji? To byłaby zupełnie nowa sytuacja. Z jednej strony można by to przyrównać do długotrwałego znalezienia się w miejscu, gdzie nie ma Kościoła bądź też Kościół nie może sprawować swej posługi duszpasterskiej, a z drugiej – istnieją najróżniejsze formy duszpasterstwa pośredniego, medialnego, wirtualnego. Stałibyśmy się nagle tele-Kościółem, Kościółem „na odległość”, który jednak byłby ułomny, bo niezdolny do zgromadzenia się w tym samym miejscu i czasie, by razem sprawować Eucharystię. Dokumenty mówią, że Kościół jest wspólnotą „z ciała i krwi”, a więc realnych osób, które łączy nie tylko świadomość, ale także cielesność. Chrześcijaństwo jest religią Wcielenia ze wszystkimi tego konsekwencjami. W jakimś sensie sytuacja, w której jesteśmy, to wielotygodniowe rekolekcje. A konkretnych pomocy w mediach, w prasie, w książce można znaleźć wiele. To może być Wielki Post „w ukryciu”.

© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA jest teologiem i publicystą, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”. Doktor habilitowany teologii, profesor Uniwersytetu Szczecińskiego.

Wspólnota leczy

PIOTR SIKORA

Epidemia przypomniła nam o kruchości naszego życia i zarazem wskazała wartość solidarności między ludźmi.

WGRUDNIU UBIEGŁEGO ROKU PRAWIE nikt w Polsce o nim nie wiedział. Miesiąc później, na przełomie stycznia i lutego, czytaliśmy o nim jako o zjawisku zmieniającym życie milionów ludzi – ale daleko od nas, gdzieś w Chinach. Do chwili wysłania tej strony do druku w Polsce było już ponad 60 potwierdzonych przypadków zachorowania na COVID-19, jedna ofiara śmiertelna, premier ogłosił wprowadzenie stanu zagrożenia epidemicznego, a już wcześniej w hipermarketach zaczynało brakować makaronu, ryżu i papieru toaletowego. Społeczna atmosfera, która panuje w chwili, gdy można czytać ten numer „Tygodnika” jest z pewnością jeszcze bardziej dramatyczna.

Zarażone myślenie

Oprócz tego, że koronawirus SARS-CoV-2 pustoszy płuca, ważne jest też, co z jego przyczyny dzieje się w naszych głowach.

Rozprzestrzeniająca się epidemia postawiła przed nami nie tylko problemy zdrowotne czy gospodarcze. Staje się także wyzwaniem moralnym, a nawet egzystencjalnym. Staje przed każdą i każdym z nas pytanie, czy swoim zachowaniem nie narażamy innych na utratę zdrowia (a może i życia). Z drugiej strony pojawia się pokusa traktowania drugiego człowieka nie jako bliźniego, z którym wspólnie trzeba przejść trudną sytuację, lecz jako potencjalne zagrożenie – nie jak człowieka, tylko ewentualne źródło zarazków.

To moralne wyzwanie może wyzwalać również piękne, ludzkie odruchy, jak zawieszona na klatce schodowej sąsiedzkie ogłoszenie, wyrażające gotowość robienia zakupów starszym mieszkańcom bloku, dla których ryzyko ciężkich powikłań po chorobie jest znacznie większe niż dla młodych. Jednak, nie oszukujmy się, cała sytuacja jest psychicznie trudna. Nic w tym dziwnego – uderza bowiem

w nasze podstawowe egzystencjalne struktury.

Wydaje się, że obecną sytuację dobrze opisuje jedna z przypowieści Jezusa: „Pewnemu zamożnemu człowiekowi dobrze obrodziło pole. I rozważał sam w sobie: »Co tu począć? Nie mam gdzie pomieścić moich zbiorów«. I rzekł: »Tak zrobię: zburzę moje spichlerze, a pobiuduję większe i tam zgromadzę całe zboże i moje dobra. I powiem sobie: Masz wielkie zasoby dóbr, na długie lata złożone; odpoczywaj, jedz, pij i używaj!«. Lecz Bóg rzekł do niego: »Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie; komu więc przypadnie to, coś przygotował?«. Tak dzieje się z każdym, kto skarby gromadzi dla siebie, a nie jest bogaty przed Bogiem” (Łk 12, 16-21).

Rozwój naukowy i techniczny sprawił, że zaczęliśmy postrzegać świat jako – zasadniczo – opanowany i zależny od naszych działań. Żyjemy otoczeni własnymi tworam, a nawet fragmenty przyrody, z którymi mamy kontakt, są już przez nas przetworzone. Coś się zepsuje – na pewno jest jakiś fachowiec, którego możemy wezwać, by zepsutą rzecz naprawił. Kłopoty ze zdrowiem – idziemy do lekarza, a jeśli nie otrzymujemy skutecznej pomocy, najczęściej narzekamy na stan służby zdrowia. Nawet o nadciągającej katastrofie klimatycznej myślimy jako o naszym dziele – skutku naszego sposobu życia i braku odpowiednich zmian w funkcjonowaniu naszej cywilizacji.

Sytuacja bogacza z przypowieści – bezpieczeństwo finansowe do końca życia – jest także naszym pragnieniem oraz celem dążeń i zabiegów. Nie dopuszczamy przy tym do siebie myśli, że brak materialnych kłopotów do końca życia może oznaczać bezpieczeństwo finansowe do najbliższej północy. Gdybyśmy dowiedzieli się, że tak to będzie w naszym przypadku wygłądać, większość z nas zadrżałaby z trwogi.

Bezpieczeństwo, do którego dążymy, oznacza bowiem w miarę komfortową stabilność na przestrzeni wielu lat, najlepiej dziesięcioleci. W całym długim życiu ma być jak codziennie rano: wstajemy i – jeszcze trochę zaspani – pewnie zmierzamy do łazienki drogą z naszego łóżka, która jest od wielu, wielu dni taka sama. Zadomowiliśmy się w swojej tutejszej egzystencji, w otaczającym nas świecie, który uznajemy za trwały, składający się z solidnych rzeczy, rządzony przez niezmienne prawa.

Logos i wirus

Sytuacje takie jak obecna uświadamiają nam jednak, że poczucie, iż opanowaliśmy przewidywalną, solidną rzeczywistość, to złudzenie. Jak mówił Jezus: „Jeśli kto chce zachować życie na tym świe-



cie, straci je” (por. np. Mt 16, 25). Nie chodzi tu wcale o złośliwość demiurgicznego Boga, który wypatruje tych, co kochają życie i je im odbiera. Po prostu taka jest natura otaczającego nas świata, którego my sami jesteśmy częścią: przemija. Próba opanowania go i zbudowania w nim trwałych zabezpieczeń jest równie sensowna, co usiłowanie zatrzymania na zawsze w płucach któregoś z oddechów.

Co zatem dzisiaj się dzieje? Sypki piasek w klepsydrze bez granic wzięliśmy za litą skałę. Epidemia koronawirusa w kilka tygodni zmiotła to złudzenie. Rzeczywistość przebiła się przez pozór.

Czy to jednak nie Bóg stworzył taki właśnie świat? Jeśli epidemia ujawnia jego prawdziwą naturę, czy nie znaczy to, że On za nią stoi? Że COVID-19, na którą

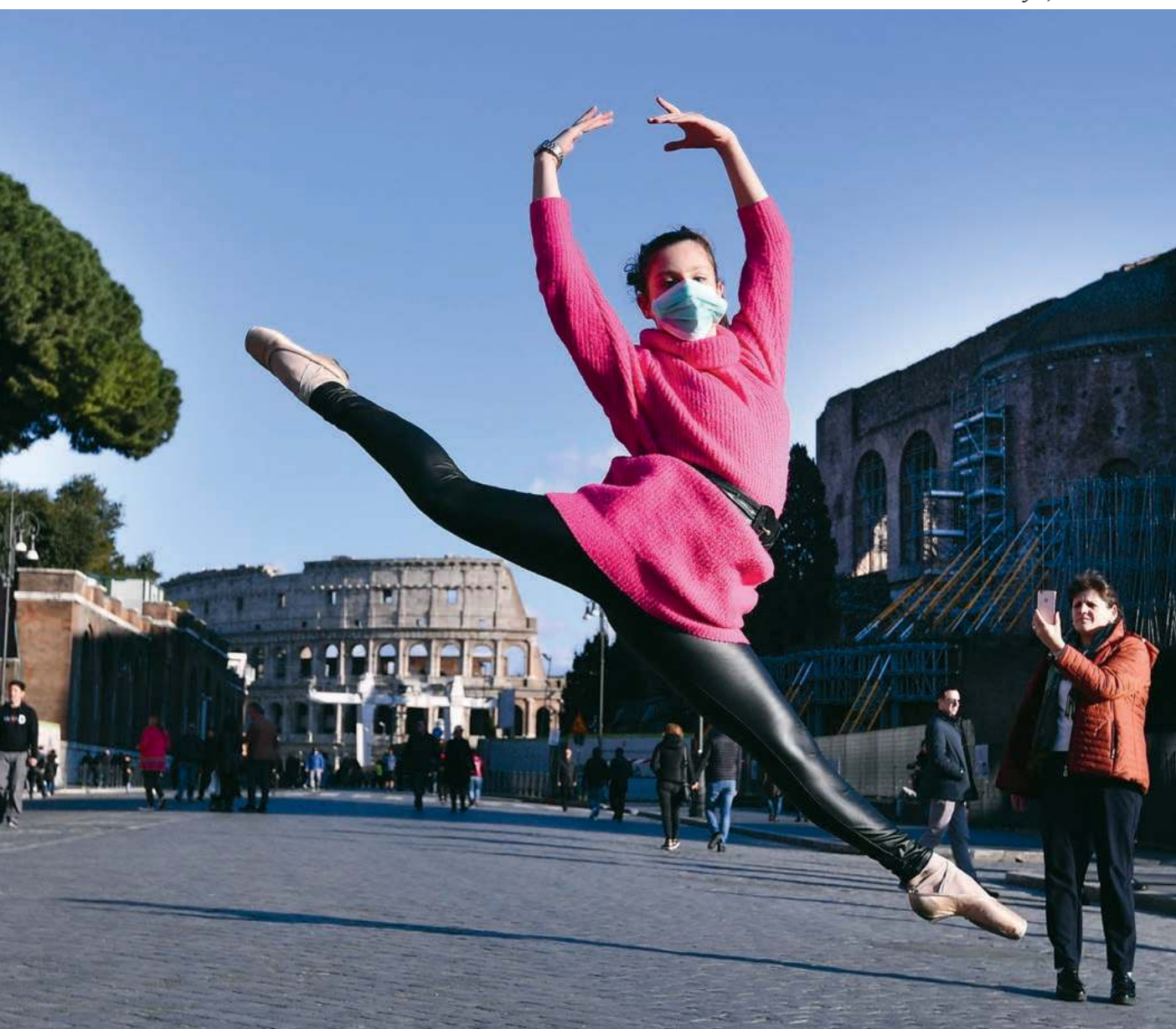
zapadło już ponad sto tysięcy osób, jest Jego znakiem, sądem czy przesłaniem? Są już kaznodzieje, którzy głoszą podobne poglądy.

I prawda to, i bzdura. Prawda w takim sensie: Bóg jest stwórcą świata, także SARS-CoV-2; jako wszechobecny Logos wszystko zaś napełnia swym sensem i znaczeniem. Nie mają jednak najmniejszej racji bytu żadne teorie, jakoby nas chciał karać, albo wysyłał wirusy jako specjalne przesłanie. Jak mówi Księga Mądrości: „śmierci Bóg nie uczynił i nie cieszy się ze zguby żyjących” (Mdr 1, 13) i nazywa Go „miłośnikiem życia” (Mdr 11, 26). Ewangeliczne wersety o tym, że tracimy terazniejsze życie zabiegając o jego zachowanie, mają swój ciąg dalszy: „kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (por. Mt 16, 25).

Pomyłka co do miejsca, które może stać się naszym trwałym domem, nie oznacza, że na bezdomność jesteśmy skazani. Trzeba, wzorem stoików, rozróżnić sprawy od nas niezależne i te pozostające w naszej mocy. Istnieje w nas przestrzeń wolności, której nic i nikt oprócz nas samych nie może zakazić złem, w której możemy zachować swoją godność, niezależnie co będzie dziać się wokół nas, a nawet co będzie z naszym ciałem. W przestrzeni tej możemy pracować nad swoim myśleniem, nad tym, czego pragniemy i od czego z lękiem lub odrazą chcemy uciekać.

To w tej przestrzeni możemy w wolny sposób tracić życie z powodu Jezusa – czyli autentyczne życie znaleźć. A życie, jedyne które mamy, dzieje się właśnie – i tylko – teraz. Teraz znika w przeszłości, ➔

Rzym, 8 marca 2020 r.



→ ale i teraz – w każdej chwili nowe – się pojawia. Jako szansa, sposobność.

Eucharystia

W chrześcijańskiej perspektywie najważniejsza sposobność, która otwiera się wraz z każdą chwilą życia, to możliwość kochania. Spędzania wpływającego czasu nie tyle na próbach zdobycia i zachowania czegoś ze świata dla siebie, co w procesie hojnego poszerzania perspektywy, nawiązywania relacji i rozprzestrzeniania dobra oraz w swobodnym oddawaniu tego, co nieustannie przemija.

Chrześcijanie rozpoznają, że taka właśnie była egzystencja Jezusa oraz że stworzył On nam możliwość współuczestnictwa – odwzorowania Jego postaci w naszym życiu. Tym właśnie jest Eucharystia: „To jest moje ciało za was wydane” (por. Łk 22, 19). „Ciało” w języku biblijnym oznacza osobę w jej relacjach z innymi. Jedzenie tego Ciała, trawienie Go i przyswajanie oznacza przemianę formy własnego życia w postać eucharystyczną, czyli w życie dające siebie innym.

W tym właśnie sensie Eucharystia jest „źródłem i szczytem życia chrześcijańskiego” (jak stwierdził ostatni Sobór). I ten właśnie sens trzeba mieć na względzie, gdy pojawia się – jak dzisiaj – pytanie, czy zamknąć kościoły i nie odprawiać mszy (jak zdecydowano we Włoszech), czy też utrzymać choćby częściowo gromadzenie się na liturgii. Ten sens każda i każdy z nas powinien osobiście rozważyć, gdy podejmuje decyzję, czy wybrać się na mszę w sytuacji pandemii.

Tak, chrześcijaństwo jest religią wspólnoty i jest to wspólnota eucharystyczna. Jednak liturgiczna celebrowanie wyraża rzeczywistość znacznie głębszą i szerszą. To rzeczywistość całej sieci relacji, wzajemnej troski i wsparcia, rezygnacji z własnego pożytku – nawet duchowej pociechy – jeśli miałby on być zyskany kosztem dobra bliźniego.

Tak, w liturgii karmimy się słowem Objawienia, lecz ono właśnie nam mówi zarówno o miłości jako najwyższym prawie i fundamentalnej zasadzie życia, jak i o tym, gdzie są prawdziwe źródła naszej wolności, trwałej tożsamości i szczęścia (ujawniając jednocześnie naturę złudzeń, którym w tej kwestii częstokroć ulegamy). Ponadto w samym Piśmie czy-

tamy: „Wprowadzajcie słowo w czyn, a nie bądźcie tylko słuchaczami oszukującymi samych siebie” (Jk 1, 22). Liturgiczne słuchanie słowa nie jest samozniewoleniem tylko wtedy, gdy to, co słowo nam mówi, realizuje się w naszym życiu.

Może więc czas tej epidemii jest – z religijnego punktu widzenia – okresem postu od naszych religijnych przyzwyczajeń i wspólnotowych pobożnych praktyk dających pociechę, a bardziej czasem osobistego duchowego ćwiczenia, w którym leczymy się ze złudzenia, że nasza tożsamość i bezpieczeństwo zależą od opanowania świata, który jest wokół. Ćwiczenie to zapewne niełatwe. Trzeba zmierzyć się z lękiem zamykającym w egocentryzmie, głęboko utrwalałymi schematami myślenia, ociężałością serca. Ćwiczenie to ma jednak również pozytywny wymiar: odnajdywania wewnątrz swego serca boskiej Obecności – jedynej trwającej wśród niespodziewanych zawirowań codzienności, źródła wolności i pokoju, choćby nie wiadomo co się wydarzało.

Ćwiczenie to nie jest też pozbawione wymiaru wspólnotowego: uczenia się eucharystycznej (w najgłębszym sensie tego słowa) troski o ludzi, z którymi wiążą nas rzeczywiste relacje. To na przykład wysiłek nawet drobnych gestów solidarności i pomocy tym, którzy najbardziej narażeni są na skutki choroby (jak choćby zrobienie zakupów starszym sąsiadom), albo tym, którzy cierpią z powodu choroby bliskich. Tu właśnie może sprawdzić się wspólnota Kościoła – zwłaszcza na poziomie parafii.

Wcale więc nie jest niewyobrażalne, żebyśmy nie modlili się w kościołach. Niewyobrażalne jest, żebyśmy w ogóle się nie modlili – nie powracali do „swojej izdebki” (por. Mt 6, 6), co jednak możliwe jest „na każdym miejscu” (1 Tm 2, 18), a nawet, gdy nie bardzo umiemy to robić, ponieważ „Duch przychodzi z pomocą naszej słabości; gdy bowiem nie wiemy, jak się modlić, sam Duch błaga w nas niewyraźnym wołaniem” (Rz 8, 26).

I nie jest niewyobrażalne, by w czasie zarazy wspólnota nie gromadziła się na liturgii mszalnej. Niewyobrażalne jest, byśmy zapomnieli, że ze wszystkich „najważniejsza jest miłość” (1 Kor 13, 13), a „kto wytrwale kocha, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim” (1 J 4, 16).

© PIOTR SIKORA

Czarna i biała legenda papieża

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

„Kościół nie boi się historii, wręcz przeciwnie: kocha ją” – mówił rok temu Franciszek, zapowiadając otwarcie archiwów Piusa XII.

NASTĄPIŁO TO W PONIEDZIAŁEK 2 marca, po trwającym 12 miesięcy katalogowaniu zbiorów (1,3 mln dokumentów podzielonych na 121 tematów, 16 mln stron!). Prawie 100 tys. dokumentów udostępniono w wersji cyfrowej, dzięki czemu przebywający w obliczonej na 60 osób sali archiwum historycy mogą (a raczej mogli) z nich korzystać jednocześnie.

Archiwa dotyczą całego pontyfikatu Piusa XII, czyli lat 1939-58, ale historyków i publicystów najbardziej interesuje okres II wojny światowej i reakcja papieża na prośby tysięcy Żydów o pomoc. O upublicznienie dokumentów specjaliści, a także żydowskie organizacje, prosili Watykan od pół wieku. Dopiero Franciszek powiedział „tak”.

Gdybym miał potępić faszyzm...

Przyszły Pius XII jako sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej stał za podpisaniem konkordatu z Niemcami (1933 r.), w którym w zamian za gwarancję netykalności niemieccy biskupi musieli przysięgać wierność III Rzeszy – choć jako Eugenio Pacelli, nuncjusz w Niemczech (1920-30), nie mógł nie wiedzieć, czym był nazizm. Wybrany papieżem w marcu 1939 r., przez całą wojnę nie zająknął się na temat Holokaustu, a wcześniej nie potępił ustaw rasowych Mussoliniego (wyjaśniał potem,



Dzieci z katolickiej szkoły w Rzymie modlą się o wybudzenie papieża Piusa XII ze śpiączki, październik 1958 r.

że gdyby miał potępiać faszystów, musiałby to samo robić w stosunku do bolszewików). To za jego pontyfikatu Watykan pomagał zbrodniarzom nazistowskim uciekać po wojnie do Ameryki Południowej. Z drugiej strony nikt nie przeczy, że Watykan i klasztory katolickie we Włoszech ukryły podczas wojny tysiące Żydów, a części pomogły uciec za granicę.

Jak przypomina w swych pracach historyk Giovanni Miccoli, jeszcze w 1943 r. Watykan usiłował przekonywać rząd marszałka Pietra Badoglio, by po obaleniu faszyzmu nie rezygnował z ustaw rasowych, ponieważ „zgodnie z zasadami i tradycją Kościoła katolickiego zawierają one wprawdzie istotne postanowienia, które należy znieść, ale także takie, które winny być kontynuowane” (1943 r., wskazówki Stolicy Apostolskiej dla watykańskiego mediatora z rządem Badoglio tuż po obaleniu Mussoliniego). Kościół włoski obawiał się powrotu „wolności nie tylko przynoszącej dobro, ale i zło”, jak przestrzegał „L'Assistente Ecclesia-

stico”, organ Akcji Katolickiej, w 1943 r. Tym złem miały być znane sprzed czasów faszyzmu pluralizm i wielopartyjność. Ten sam papież, który podczas II wojny światowej wybrał dyplomatyczne milczenie wobec zagłady milionów Żydów, w 1946 r. nałożył ekskomunikę na członków partii komunistycznych.

Zdaniem Miccolego pod koniec wojny, kiedy Watykan wreszcie zabrał głos na temat faszyzmu, jego postawę należy określić nie jako potępienie zbrodnicego charakteru reżimu Mussoliniego, „politycznych i społecznych zasad, na których opierał się faszyzm”, lecz jako krytykę „błędów i wypaczeń”, wśród nich sojuszu z III Rzeszą czy przystąpienia do wojny. (Do dzisiaj zresztą włoska prawica i spora część społeczeństwa włoskiego „pamięta” Mussoliniego jako wybitnego męża stanu, któremu zdarzyło się „kilka pomyłek”).

Gdy więc dzisiaj papież Franciszek mówi, że „dostaje czasem wysypki, gdy widzi ataki wszystkich na Kościół i na

Piusa XII” i że rola Piusa XII „powinna zostać odczytana w kontekście czasów”, faktycznie warto o tym kontekście pamiętać, choć nie stawia on w najlepszym świetle instytucji, którą Eugenio Pacellemu przyszło kierować.

Pius XII zmarł w 1958 r. Siedem lat później zaczął się jego proces beatyfikacyjny, a w 2009 r. Benedykt XVI podpisał dekret o heroiczności jego cnót (równolegle: Jana Pawła II). O ile jednak w 2014 r. Karol Wojtyła został uznany za świętego, o tyle w tym samym czasie Franciszek oświadczył, iż Watykan wciąż nie może podjąć takiej decyzji odnośnie do Piusa XII, ponieważ nie udowodniono jeszcze ani jednego cudu, którego miałby dokonać. Przeciwno beatyfikacji Piusa XII niezmiennie protestują środowiska żydowskie.

Tezy podane na tacy

Z dokumentów udostępnionych przez Watykan „wyłania się figura papieża w całej swej wielkości jako obrońcy ludzkości i autentycznego pasterza” – reklamuje →

⇒ Paul Richard Gallagher, watykański sekretarz ds. stosunków z zagranicą, w wywiadzie dla „Vatican News”. Jako papież „zademonstrował on bezbrzeżne miłosierdzie. Te dokumenty jasno pokażą wysiłki papieża, aby wyjść naprzeciw prośbom prześladowanych i tych, którym groziła śmierć”.

Innego zdania jest główny rabin Rzymu Riccardo Di Segni. „Bardzo podejrzany ten sensacjonalizm i tezy podane na tacy” – skomentował. Jego zdaniem jest oczywiste np., że po stronie papieża nie było woli, by zatrzymać pociąg, który po likwidacji rzymskiego getta w październiku 1943 r. powiódł 1022 Żydów do Auschwitz. Już rok temu, po zapowiedzi Watykanu o szybkim otwarciu archiwów, Di Segni mówił: „Nie mamy wątpliwości na temat tego, co się wydarzyło. Nasz osąd historyczny wydarzeń nie zmienia się. Musiałyby się ujawnić sprawy spektakularne, żeby obalić obiektywne dane historyczne. Szczepnie mówiąc, uważam, że jeśli w tych dokumentach byłoby coś spektakularnego, już dawno ujrzałyby one światło dzienne”.

„Wierzmy, że nowe dokumenty pomogą rzucić światło i pomóc dogłębniej wyjaśnić różne aspekty pontyfikatu” – powiedział bp Sergio Pagano, prefekt watykańskich archiwów, podczas oficjalnej zapowiedzi otwarcia tzw. tajnych archiwów Watykanu. „Ale nie do nas należy usprawiedliwianie tego czy innego aspektu”.

Biskup Pagano ma jednak nadzieję, że dokumenty pomogą rozwiązać czarną legendę Piusa XII.

Sieć ratująca prześladowanych

Jednym z pierwszych, którzy weszli do nowo otwartych archiwów, był Matteo Luigi Napolitano, wykładowca historii stosunków międzynarodowych na rzymskim Uniwersytecie im. Guglielma Marconiego i współpracownik watykańskiej komisji nauk historycznych, a także redaktor pisma „La Civiltà Cattolica”. Jego zdaniem dokumenty potwierdzają ciągłość polityki Piusa XI i Piusa XII w kwestii pomocy dla żydowskich uchodźców.

Odrębna sekcja dokumentów zatytułowana jest „Pomoc i wsparcie uchodźcom prześladowanym z powodu rasy lub religii”.

„Są tu opisane środki podjęte, by pomóc w emigracji, dokumenty opisujące problem z punktu widzenia państw neutralnych (w czasie II wojny światowej)” – opowiada dla „Vatican News” Napolitano. „Są tu dokumenty, w których wielu obywateli USA, a także rząd USA wyrażają wdzięczność dla Stolicy Apostolskiej za to, co zrobiła dla Żydów w tym okresie. To materiał archiwalny, który dowodzi istnienia całej sieci służącej ratowaniu prześladowanych, łączącej obydwie pontyfikaty, która zaczyna mieć decydujące znaczenie w momencie wybuchu II wojny światowej, kiedy Hitler wprowadza w życie plan systematycznej eksterminacji europejskich Żydów.”

Dokument nie czyni historii

„Watykan Piusa XII był wyspą wolności i wiary w pokój w Europie, spalanej żywiołami konfliktu i przemocy, zwłaszcza w okresie od października 1943 do lipca 1944 r. – ocenia historyk Andrea Riccardi, założyciel Wspólnoty Św. Idziego i minister współpracy międzynarodowej w rządzie włoskim w latach 2011-13 („Avvenire”, 20 stycznia). – To są materiały ważne nie tylko ze względu na historię Kościoła. To jest także wyjątkowe świadectwo historii w ogóle, politycznej, społecznej, nie tylko religijnej. Te archiwa są jednym z głównych źródeł pisanych historii XX wieku”.

Riccardi zastrzega jednak, że „historyk wie, że dokument ani nie czyni historii, ani nie wywraca do góry nogami historiografię. Otwarcie archiwów dotyczących Piusa XII to okazja do przeanalizowania jego pontyfikatu, a także historii tego okresu w sposób bardziej systematyczny”. Zdaniem Riccardiego to także „okazja dla młodszego pokolenia badaczy, które spogląda na te czasy bez ideologicznych uprzedzeń, od których niewolni byli ich poprzednicy”. Decyzję papieża Franciszka o otwarciu archiwów historyk ocenia jako „zachętę, by Kościół zrobił w swoim sumieniu więcej miejsca dla historii”.

W piątek, pięć dni po otwarciu, wszystkie archiwa Stolicy Papieskiej zostały zamknięte z powodu alarmu koronawirusowego.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Podkast
Powszechny**

Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego”

**Gdzie będziemy za 25 lat?
Co wydarzy się w Nowy Rok 2045?
Jaka przyszłość czeka Europę i świat?**

Wojciech Jagielski, autor reportażu z przyszłości „Plac Trafalgaru”, odpowie na te pytania Michałowi Kuźmińskiemu.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast



POSTPRODUKCA



Audiodelic





TOMASZ RYTYCH / REPORTER

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Nie tak ma być między wami

PISMO ŚWIĘTE JEDNOZNACZNIE POKAZUJE, ŻE NARÓD WYBRANY źle wychodził na tym, gdy chciał być jak inne narody. Przestał być sobą. Analogicznie jest z Kościołem, gdy ulega pokusie światowości – przykładania do siebie miary takiej samej jak do innych instytucji.

Różne mogą być przejawy światowości w Kościele.

Może to być przywiązanie do bogactwa, dążenie do sukcesu, pragnienie panowania, wywyższanie się, pogarda wobec słabszych. Wyrazem światowości jest też obniżanie oczekiwań wobec Kościoła („Przecież w innych środowiskach i grupach zawodowych na pewno jest tyle samo pedofilów!”). Jakże „światowy” jest argument, często padający w sytuacjach kontrowersyjnych: „Nie zrobiłem przecież nic niezgodnego z prawem” (jakby tego tylko oczekiwano od Kościoła).

Przed światowością przestrzegają Kościół bardzo mocno i Benedykt XVI, i Franciszek. Zwracają uwagę na nieco różne aspekty światowości, ale wyrastające z tego samego korzenia. Emerytowany biskup Rzymu, mówiąc o światowości, wskazuje głównie na przerost kościelnych struktur nad duchem, materialne i polityczne przywileje przysługujące instytucjom kościelnym, a także samowola. Obecny papież zaś – na związki z mo-
nymi tego świata, widowiskowość, szukanie własnej chwały, karierowiczostwo, próżność i pychę.

ŚWIATOWOŚĆ

Pokora to „jakby DNA Boga”. Skoro potężny Bóg unia się, stając się człowiekiem, to i Jego Kościół ma być silny po Bożemu, a nie po ludzku.

**POWYŻEJ:
Targi sakralne
LUBSACRO w Lublinie,
2014 r.**

Podkreśla, że taka właśnie „światowość zabija ducha, ludzi i Kościół”.

Przed wszystkim zaś i Benedykt, i Franciszek proponują to samo lekarstwo: pokorę. Odpowiedzią na pokusę Kościoła „ogarniętego szaleem skuteczności” jest naśladowanie „sposobu bycia i działania” Boga. A imieniem Boga nie jest sukces. Bóg, w którego wierzymy, jest tak wielki, że przyszedł do nas jako mały. „Wbrew temu, czego moglibyśmy się spodziewać, a może chcielibyśmy (...) Królestwo Boże nie przychodzi dostrzegalnie, ale przychodzi w małości, w pokorze” – mówił papież Franciszek do Polaków na Jasnej Górze. Pokora to „jakby DNA Boga”.

Pokora jest bardzo trudna. We wspólnotach ruchu „Wiara i Światło”, skupionych wokół osób z niepełnosprawnością intelektualną, ważną rolę odgrywa tzw. nabożeństwo umywania nóg. Udział w nim to wielkie wyzwanie duchowe. Mnie samemu przez długie lata udawało się być we wspólnocie, a zarazem skutecznie – pod różnymi pretekstami – uciekać przed umywaniem nóg. Potem zrozumiałem, czego mi brakowało. O wiele łatwiej umyć nogi drugiej osobie, niż pozwolić komuś innemu, by obmył moje stopy. Aby to szczerze uczynić, niezbędna jest pokora.

Światowość to pokusa Kościoła silnego. A skoro potężny Bóg unia się, stając się człowiekiem, to i Jego Kościół nie ma być silny. Albo inaczej: ma być silny po Bożemu, a nie po ludzku. Silny nie światowością, sukcesami i bogactwem, lecz tajemnicą krzyża. „Nie ma nic wznioślejszego od uniesienia krzyża” – podkreśla papież i pyta retorycznie: „Czy nadal jesteśmy w stanie pokazać tę prawdę ludziom, którzy myślą, że prawdziwa wzniosłość życia mogłaby być gdzieś indziej? Czy jest coś mocniejszego od mocy ukrytej w kruchości miłości, dobra, prawdy, piękna?”.

Odsławienie Kościoła to przykładanie doń jedynej możliwej miary: Ewangelii. Miary bardzo wymagającej! Skoro mamy być jako Kościół sakramentem zbawienia – „znakiem i narzędziem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego” – to musimy być znakiem czytelnym. Trzeba się czymś wyróżniać! Ale nie tym, że my mamy więcej, że u nas jest wystawniej, że jesteśmy skuteczniejsi czy nawet bardziej sympatyczni. Raczej tym, że u nas jest głębiej, uczciwiej, szczerzej, przejrzyściej, bardziej służebnie, pokornie, miłosiernie.

„Nie tak ma być między wami. Jeśli ktoś z was chce być wielki, niech będzie waszym sługą” (Mt 20, 26). To nie metafora, lecz konstytucja Kościoła. Moc Ewangelii ukryta jest w kruchości. Drogą Kościoła nie mogą być przywileje, panowanie, zaszczyty, środki bogate. Swoje rozważania o światowości w adhortacji „Evangelii gaudium” Franciszek kończy najważniejszym apelem: „Nie dajmy się okraść z Ewangelii!”.

©

OBOLAŁE CHINY

Czego dowiedzieliśmy się o Państwie Środka za sprawą epidemii koronawirusa?

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

BYŁA SOBOTA, 18 STYCZNIA, GDY w Wuhan – 11-milionowej metropolii nad rzeką Jangcy – odbyła się wielka biesiada z udziałem 40 tys. ludzi. Świętowano zbliżający się nowy rok, kucharze serwowali posiłki na masową skalę. W tym czasie wiele szpitali w mieście było już przepełnionych: od kilku tygodni zgłaszali się do nich ludzie z objawami podobnymi do zapalenia płuc. Jednak władze trzymały to w tajemnicy.

Zwrot nastąpił dwa dni później, 20 stycznia. Znany epidemiolog Zhong Nanshan poinformował o 136 przypadkach zarażeń nowym wirusem i możliwości przenoszenia go w kontaktach międzyludzkich. Do tego dnia chorych zidentyfikowano już w Pekinie, prowincji Guangdong i w Tajlandii.

23 stycznia o drugiej nad ranem mieszkańcy Wuhan dostali wiadomość, że za osiem godzin miasto zostanie odcięte od świata i poddane kwarantannie.

Niektórzy pobiegli do nocnych sklepów, by nakupić zapasów. Inni próbowali wydostać się z miasta, ostatnie pociągi wyjeżdżały z dworca jeszcze po dziewiątej rano. Już wcześniej, przed zbliżającą się przerwą noworoczną, wyjechało z Wuhan kilka milionów migrantów zarobkowych, roznosząc chorobę po 60-milionowej prowincji Hubei, która wkrótce też objęta została kwarantanną.

W kolejnych tygodniach ograniczenia w swobodzie przemieszczania dotknęły ostatecznie ponad 750 mln Chińczyków, czyli więcej niż połowę ludności kraju.

Kwestia priorytetów

Tak długo, jak krajem rządzi partia komunistyczna – a na pewno do czasu, gdy kieruje nią Xi Jinping – trudno będzie o wiarygodne wyjaśnienie okoliczności powstania epidemii i zaniedbań władz z nią związanych.

Pierwsze doniesienia ze szpitali w Wuhan o nowej chorobie wpłynęły do lokalnych władz pod koniec grudnia 2019 r., stamtąd informacje przekazano do Pekinu. 1 stycznia zamknięto w Wuhan rynek z dziczyzną – to tam wirus miał przedostać się do organizmu ludzkiego. Burmistrz tłumaczył potem, że przed podjęciem szybszych działań powstrzymywał go brak wskazań z centrali. Przewodniczący Xi Jinping pierwszy raz publicznie o epidemii wypowiedział się dopiero 20 stycznia. W połowie lutego oświadczył jednak, że już od 7 stycznia koordynował działania w jej zwalczaniu.

Dlaczego zatem oficjalna interwencja władz przyszła tak późno? Od grudnia do niemal końca stycznia wirus przemieszczał się swobodnie, pracownikom wielu szpitali nie wolno było nawet nosić strojów ochronnych, by nie wzbudzać paniki. Czy informa-



MARK RALSTON / AFP / EAST NEWS

Uroczystość upamiętniająca doktora Li Wenlianga, który pierwszy ostrzegł przed nowym wirusem i był za to represjonowany. Zorganizowali ją chińscy studenci uczący się w USA. Kampus UCLA w Westwood, Kalifornia, 15 lutego 2020 r.

en Liang and Other Coron



cje blokowali urzędnicy średniego szczebla, bojąc się konsekwencji zawodowych, czy też robiły to władze najwyższe, by w tajemnicy zdusić epidemię i nie zagrozić stabilności swoich rządów?

Sam Xi, dotąd wszechobecny, po 20 stycznia aż do połowy lutego pokazywał się publicznie niezwykle rzadko. Nie chciał być zapewne kojarzony z problemami. Do Wuhan pierwszy raz pojechał dopiero w minionym tygodniu, 10 marca

– w chwili, gdy mógł już dumnie oświadczyć, że dzięki wiodącej roli partii komunistycznej sytuacja się stabilizuje. Jak dotąd stanowiska potrącili jedynie lokalni urzędnicy i funkcjonariusze partyjni.

Od czasu epidemii SARS w 2003 r., którą władze Chin również starały się ukryć, metody autorytarnego systemu niewiele się zatem zmieniły. Priorytety są jasne: liczy się najpierw jego stabilność, a potem dopiero życie obywateli.

Potwierdza to dokument, który wyciekł z ministerstwa zdrowia, opublikowany przez gazetę „South China Morning Post” z Hongkongu. Mowa jest w nim o tym, że w walce z epidemią należy kierować się kolejno: polityką, bezpieczeństwem ludzi i nauką.

Okienko wolności

Symbolem, a dla niektórych wręcz męczennikiem walki o wolność słowa stał →

→ się Li Wenliang, 34-letni lekarz z Wuhan. Już 30 grudnia powiadomił w internecie o nowej chorobie, podobnej do SARS. Zareagowała policja: Li musiał pisemnie przeproszać za „szerzenie plotek i zakłócanie porządku publicznego”. Pozwolono mu wrócić do pracy, gdzie wkrótce zaraził się i 7 lutego umarł.

Jego śmierć wywołała lawinę smutku i gniewu w chińskim internecie. W ciągu jednego dnia jego nekrolog na platformie Weibo wyświetlono półtora miliarda razy. Żądania wolności słowa padały nie tylko z kont anonimowych internatów czy naukowców znanych z krytyki władz. Na krótki czas otworzyło się w chińskiej przestrzeni medialnej okienko wolności.

Gazeta „Economic Observer” mogła więc zamieścić takie zdania: „Śmierć doktora Li jest ostrzeżeniem, jaka przyszłość nas czeka, gdy stracimy możliwość wyrażania swoich opinii. W oczach ludzi doktor Li był bohaterem, który odważył się mówić prawdę”. Pismo „Caixin” zamieściło w tym czasie szereg odważnych reportaży z Hubei. Bez własnego komentarza, oddając tylko głos personelowi placówek medycznych i ekspertom. Czytelnik dostał obraz często fatalnych warunków w szpitalach i stojącej za tym niekompetencji władz.

Jednak śruba cenzury wkrótce została znów przykręcona. Zaginął ślad po vlogerach z milionami obserwujących, którzy pokazywali życie w zamkniętych strefach. Do miejsc epidemii wysłano setki dyspozycyjnych dziennikarzy z poleceniem kreowania pozytywnego przekazu.

Ten krótki okres swobody był jednak ważny. Okazało się, że wizerunek przeciętnego Chińczyka – zajętego konsumpcją posłusznego konformisty – jest co najmniej uproszczony. Zhao Suisheng – politolog chińskiego pochodzenia, pracujący w USA – uważa, że poziom krytyki władz w Pekinie sięgnął roku 1989 i protestów na placu Tiananmen.

Uczniowie Mao

Xi uchodzi za najsilniejszego chińskiego przywódcę od czasów Mao, założyciela Chińskiej Republiki Ludowej w 1949 r. Nawet jeśli w pierwszym okresie epidemii działał tylko zakulisowo, to system, na którego czele stoi, okazał się zdolny do mobilizacji społecznej, jakiej w Chinach nie było od czasu „rewolucji kulturalnej”.

Krótki okres swobody wypowiedzi był ważny. Okazało się, że wizerunek przeciętnego Chińczyka – zajętego konsumpcją posłusznego konformisty – jest co najmniej uproszczony.

Poziom krytyki władz sięgnął roku 1989

i protestów na placu Tiananmen.

Dostęp do miast objętych kwarantanną blokuje wojsko i policja, ale za porządek wewnątrz osiedli i poszczególnych budynków odpowiadają organizacje sąsiedzkie, pod kierownictwem lokalnych działaczy partyjnych. Prócz rejestrowania wchodzących i wychodzących, kontrolują one stan zdrowia lokatorów, potrafią fizycznie zmusić do kwarantanny, ustalają nawet codzienny harmonogram zakupów. Sprawy bieżące dyskutuje się w ramach osiedlowych grup internetowych, oczywiście pod kontrolą partii.

Na pustych ulicach od rana do wieczora słysząc z megafonów: „Nie wychodźcie z domów. Nie odwiedzajcie krewnych. Dzwoncie do szpitala w razie symptomów”. Budynki partyjne obwieszono banerami: „Nie wierzcie w plotki. Nie rozściełajcie ich. Ufajcie partii, rządowi i nauce”. Na ciężarówkach pojawiły się napisy zagrzewające do wojny ludowej z wirusem.

Anioły i wojowniczk

W 1968 r. Mao wypowiedział słynne zdanie: „Kobiety dźwigają połowę nieba”. Miało być zachętą do równego wykorzystania obu płci przy budowie socjalistycznej ojczyzny. Dziś, w czasie epidemii, władze zdają się czerpać z tych inspiracji. Kobiety umieszcza się na eksponowanych miejscach – co nie znaczy, że traktowane są tam podmiotowo.

Najwyższym przedstawicielem władz centralnych w prowincji Hubei jest 69-letnia wicepremier Sun Chunlan. Media

z uznaniem powtarzały jej wypowiedź, że dezertorów z obszaru ogarniętego epidemią czeka „pregierz wiecznego wstydu”. Kierownictwo laboratorium o najwyższym stopniu bezpieczeństwa w Wuhan powierzono innej kobiecie, Chen Wei – jest wirusologiem i generałem chińskiej armii. Konieczność przymusowej kwarantanny objaśnia zaś współczująco społeczeństwu znana epidemiolog Li Lanjuan. Wedle jednej z teorii reżim na czas kryzysu chce pokazać łagodniejszą matczyną twarz, by zjednać sobie zaufanie ludzi. Wedle innej – kobiety są po prostu bardziej posłuszne przełożonym.

Za wzór patriotyzmu stawia się żeński personel medyczny. Media prezentują sylwetki „aniołów w białych kitlach” na froncie walki z wirusem. Np. jedna z pielęgniarek, mimo zaawansowanej ciąży, „dobrowolnie” wykonuje pracę na oddziale chorób zakaźnych. Inna skraca zwolnienie lekarskie po ciężkiej operacji, by wesprzeć w szpitalu koleżanki. Telewizja pokazała też materiał o „najpiękniejszych wojowniczkach” z zachodnich Chin, które przed wysłaniem w strefę skażenia, „dla wygody i na własne życzenie”, dają sobie zgolić włosy. W zbliżeniu kamery widać jednak, że uśmiechająca się dziewczyna ma łzy w oczach.

Te oczywiste przykłady narażania zdrowia kobiet i pozbawiania ich godności dla propagandowych celów spotkały się z ostrą krytyką w chińskim internecie.

Efekt Czarnobyli?

Czy epidemia koronawirusa może okazać się chińskim Czarnobylem? Czy może mieć podobne destabilizujące skutki dla systemu, jakie dla Związku Radzieckiego miała awaria w elektrowni atomowej w 1986 r.? Na razie internet w Chinach oddaje się dyskusji o amerykańskim serialu „Czarnobyl”. Punktuje się ukrywanie awarii w elektrowni przez Kreml, obarczanie winą inżynierów i lokalnych notabli. Brzmi znajomo.

Xi Jinping nie jest chińskim Gorbaczowem. Jednak paradoks dzisiejszych Chin polega na tym, że mimo niewątpliwych sukcesów gospodarczych kraj znalazł się – i to jeszcze przed wybuchem epidemii – w najtrudniejszym dla siebie momencie od 40 lat, czyli od chwili, gdy rozpoczęto reformy ekonomiczne. Wzrost gospodarczy spowalnia, konflikt handlowy z USA zaostrza się, a rubież imperium, Tajwan i Hongkong, nie poddają się woli Pekinu.

Jeszcze jesienią zeszłego roku, przy okazji obchodów 70-lecia objęcia władzy przez komunistów, Xi zapowiadał trudne lata przed narodem. Epidemia na pewno tej perspektywy nie rozjaśnia.

Gdyby uznać, że komuniści stanowią kolejną chińską dynastię, istotnie mają się czego obawiać.

W historii Chin katastrofy naturalne i plagi odczytywano bowiem jako znak niebios, że władca traci mandat za sprawą nieudolnych bądź niemoralnych rządów. Owszem, proste stosowanie tej wykładni wobec komunistycznych i ateistycznych Chin byłoby nadużyciem. Jednak przeciągające się kłopoty mogą zachwiać pozycją Xi Jinpinga. Jeśli bowiem kreuje się go latami na wszechwładnego lidera i ojca sukcesów, to prędzej czy później musi paść pytanie, dlaczego ta omnipotencja nie chroni kraju od niepowodzeń? Obarczanie winą podwładnych i zagranicy musi mieć gdzieś swój kres. Zwłaszcza że po odejściu od kolektywnego modelu rządzenia i wyczyszczeniu przez Xi struktur władzy ze swoich przeciwników nie wszyscy w elitach dobrze mu życzą.

Epidemia pozwoliła też skierować światło na drugą twarz cudu gospodarczego Chin. Oprócz klasy średniej, zamieszkującej nowoczesne metropolie, tutejszy model rozwoju opiera się na setkach milionów migrantów zarobkowych. To ludzie zameldowani na prowincji, którzy przyjeżdżają do miast, gdzie żyjąc w skromnych warunkach, pracują za zwykle niewielkie pieniądze. Teraz, na skutek kwarantanny, wielu z nich utknęło w swoich wioskach. Firmy, w których pracowali, nie mogą więc wznowić działalności.

Kiedy to w końcu nastąpi, nie będzie jednak łatwo – jak po epidemii SARS – odrobić biznesowe straty w kolejnych kwarantanach. Chiny funkcjonują dziś bowiem w innym otoczeniu gospodarczym.

Rozwód z Chinami?

Na wieść o tym, że wiele chińskich firm wstrzymuje produkcję, sekretarz handlu USA Wilbur Ross stwierdził, że miejsca pracy zaczną teraz szybciej wracać do Stanów. Jest to zgodne ze strategią gospodarczą Donalda Trumpa, który priorytetem swojej prezydentury uczynił reindustrializację USA i przywrócenie Amerykanom dobrze płatnych miejsc pracy. W czasie epidemii plan ten nabrał dodatkowego znaczenia, okazało się bowiem, jak bar-

dzo gospodarka USA uzależniła się od Chin. Pół biedy, gdy chińskich części nie dostaną producenci aut czy smartfonów – gorzej, jeśli w aptekach w USA braknie antybiotyków, które w 80 proc. są importowane z Państwa Środka.

O tym, jak poważna jest sytuacja, świadczy artykuł opublikowany przez Chińską Akademię Nauk na początku marca. Autorzy stawiają prognozę, że jeśli do końca tego miesiąca produkcja w Chinach nie ruszy pełną parą, zacznie się exodus zagranicznych firm. Zagrożone mają być zwłaszcza gałęzie pracochłonne (bo przeniosą produkcję do tańszych krajów) i te najbardziej zaawansowane (one miałyby wrócić na rodzime rynki: do USA, Europy czy Japonii).

Nietrudno się domyślić, jak bardzo musi teraz zależeć władzom na przywróceniu normalności, a przynajmniej na stworzeniu jej pozorów. Zapaść gospodarcza byłaby śmiertelnym zagrożeniem dla reżimu. Na razie, według danych z początku marca, pracę wznowiło 70 proc. dużych firm i 32 proc. małych.

Podobnie jak w przypadku innych statystyk z Chin, również tych dotyczących walki z wirusem, rodzi się pytanie o ich wiarygodność. To z kolei wpisuje się w szerszą dyskusję o tym, który system – demokracja czy autorytaryzm – lepiej radzi sobie w warunkach nadzwyczajnych, takich jak epidemia.

Trzy tygodnie za demokracją

„Żaden inny kraj nie mógłby zmobilizować środków i ludzi w takim tempie” – pisał o Chinach tygodnik medyczny „The Lancet”. Oznacza to, że tylko scentralizowane autorytarne państwo może sprawnie przeprowadzić kwarantannę 60 mln ludzi albo w 10 dni zbudować szpital na tysiąc łóżek. To samo państwo stosuje też jednak cenzurę, wysokie kary za „rozpuszczanie plotek” i lokalizuje zarażonych za pomocą danych z prywatnych smartfonów.

Argumenty na rzecz Chin będą pojawiać się częściej, gdy okaże się, że zachodnie demokracje gorzej radzą sobie z epidemią. Na razie chińskie media skwapliwie informują, że nowe zachorowania w ich kraju, poza prowincją Hubei, pochodzą niemal wyłącznie z zagranicy – przesuwając w ten sposób winę na obcych. Temu służyć ma też zapewne nowa teoria, lansowana przez państwowe media, jakoby wirus przybył do Wuhan spoza Chin.

Jednak taka propagandowa operacja mogłaby być skuteczna tylko pod warunkiem wymazania z pamięci tamtego początkowego okresu: od pierwszych infekcji w Wuhan do podjętej przez władze decyzji o kwarantannie. Przypadki nowej choroby zaczęto rejestrować już na początku grudnia.

Ale nawet jeśli za datę graniczną przyjąć informację zamieszczoną w sieci przez doktora Li Wenlianga, to do oficjalnego komunikatu o epidemii (wydanego 20 stycznia) minęły dokładnie trzy tygodnie. Choroba zataczała wtedy coraz szersze kręgi, a władze starały się ją ukryć. W demokracji, przy wolnych mediach, nie byłoby to możliwe.

Odwaga niesubordynacji

Mało kto wie, że w milionowym mieście Qianjiang (także w prowincji Hubei) zachorowalność na koronawirusa jest kilkukrotnie niższa od średniej. Pismo „Caixin” przedstawiło sylwetkę tamtejszego sekretarza partii: na wieść o chorobie Wu Zuyun złamał polecenie zachowania tajemnicy i nakazał kwarantannę osób z objawami infekcji. Gdy nadszedł dzień mobilizacji całej prowincji, miasto było już przygotowane na epidemię. Stało się tak, bo znalazł się człowiek, który wykazał odwagę niesubordynacji wobec autorytarnego systemu i miał zaufanie mieszkańców. Okazuje się, że w Qianjiangu istniała wcześniej tradycja samorządu. W bardziej liberalnych latach 90. XX w. miasto stawiano nawet za przykład municypalnej autonomii.

Można tu też wspomnieć o sąsiednim Tajwanie, który utrzymuje dotąd niewielką liczbę zachorowań. O wirusie wiedziano tam już w grudniu, ale – inaczej niż w Chinach – władze Tajwanu postawiły na pełną otwartość. Politycy na bieżąco informowali o rozwoju choroby, również prywatnie na Facebooku i Twitterze, które komunistyczny reżim blokuje.

Te trzy tygodnie, kiedy Chiny starały się ukryć epidemię, symbolicznie pokazują różnicę między autorytaryzmem a demokracją. Pekin przystąpił oficjalnie do walki z koronawirusem, gdy na jego powstrzymanie było już za późno. Nie wiemy, czy szybsze działanie pozwoliłoby zdusić epidemię w zarodku. Jednak z pewnością stracono dużo cennego czasu. Płacimy dziś za to wszyscy.

© PIOTR BERNARDYN

Śmiech przez łzy

MULI SEGEV, IZRAELSKI TWÓRCA SATYRY POLITYCZNEJ:

Nie ma tematu, z którego nie można by żartować. Śmiejemy się i z koronawirusa, i z Izraelczyków, którzy mają obsesję na punkcie Zagłady. Jeden warunek: trzeba to robić w granicach dobrego smaku.



TWITTER / MULI SEGEV

Muli Segev, 11 marca 2020 r.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Zamknięte szkoły i granice, dziesiątki tysięcy objętych kwarantanną: koronawirus szaleje w Izraelu, a we wczorajszym odcinku programu „Erec Nehederet” wyśmiał Pan szaleństwo zakupowe, przedstawiciela ministerstwa zdrowia, a nawet tych, którzy siedzą w kwarantannie. Jak tak można?!

MULI SEGEV: Nie tylko można, lecz i trzeba! W tej sytuacji śmiech jest wręcz wskazany. Ludzie, zwłaszcza ci zamknięci w domach, potrzebują nas, satyryków, bardziej niż zwykle. Można powiedzieć, że to nasza misja w czasach zarazy: oswoić strach przez śmiech.

„Erec Nehederet”, po polsku „Wspaniały Kraj”, to jedna z ostrzejszych satyr polityczno-społecznych, jakie widziałam. Co tydzień obśmiewacie bieżące wydarzenia, a wraz z nimi izraelskie przywary, polityków, prawicę i lewicę, ortodoksów, wojsko i wrażliwość historyczną. I to bez skrupułów. Mimo to prawie nikt się nie obraża. Przeciwnie, jesteście szalenie popularni, a zwroty z tekstów, które Pan pisze, wchodzą do języka potocznego. Połączyć śmiechem podzielone społeczeństwo – jak to się robi?

To prawda: Izraelczycy są dziś bardzo podzieleni w swoich opiniach, w stylu

życia, w wyborach. To zresztą kwestia kulturowa, lubimy się spierać. Jak głosi popularny dowcip: gdy w mieście jest dwóch Żydów, tam powstają dwie różne synagogi. Ale ostatecznie wciąż mamy poczucie wspólnego losu. Dobrze pokazują to sytuacje zaostrenia konfliktu czy wojen – ludzie wtedy ogromnie się jednają, stają za sobą murem.

Po co więc nam satyra?

To sposób na radzenie sobie z lękiem, którego nam tu, na Bliskim Wschodzie, nie brakuje. Ona zmniejsza lęk, przywraca mu właściwe proporcje. Humor jest w tym wszystkim wypróbowanym starym żydowskim mechanizmem obronnym. Pomaga nam uporać się z życiem, gdy ono nas przeraża, gdy staje się coraz bardziej stresujące, denerwujące. Wydaje mi się, że to rzecz charakterystyczna dla izraelskiej kultury, ale też kultury żydowskiej od samych jej początków.

Humor w Izraelu należy do lewicy czy do prawicy?

Lewica z definicji jest bardziej krytyczna względem wszystkiego, także wobec siebie. Zawsze we wszystko wątpi, łatwiej jest jej przyjąć śmiech z własnych przywar. Z kolei prawica, ludzie religijni czy konserwatywni są znacznie mniej otwarci na krytykę, na śmianie się ze swych liderów i świętości. Oczywiście

nie oznacza to, że prawicowcy w Izraelu nie mają poczucia humoru. Ponieważ jednak prawica jest teraz u władzy, w naszym programie koncentrujemy się na krytyce prawicy. Ale nie zostawiamy też suchej nitki na lewicy, która w absurdalny sposób zaznacza swoją obecność na scenie politycznej.

Prawica i lewica śmieją się z czegoś innego?

Oczywiście – z siebie nawzajem!

No a politycy? Mają do was pretensje?

Bardzo nas krytykują, mówią, że jesteśmy częścią lewicowych mediów, które atakują obecną władzę. Ale rozumieją, że to część tej gry. Że nie mają wyboru i muszą nas akceptować, bo przecież nie mogą zagrozić mediom. Jakkolwiek próba ich zawłaszczenia lub choćby przekonanie, że można je nastraszyć, są sprzeczne z izraelską kulturą. Przykładem premier Beniamin Netanjahu [czeka go sądowy proces m.in. w związku z próbami zakupu medialnych potentatów – red.]. On już wie, że z mediami nie może wygrać.

Grożono Wam kiedyś?

Nie, ale bywa nieprzyjemnie. Na przykład po jednym ze skeczy po śmierci lidera partii Szas, rabina Ovadii Yosefa, mieliśmy problemy z ortodoksyjnymi

zwolennikami tej partii. Demonstrowali pod naszymi studiami.

Czym się naraziliście?

Rabin zmarł, a partia nadal używała jego imienia w swojej kampanii. Wyśmialiśmy to, że go wykorzystują: pokazaliśmy go w programie jako ducha, który narzeka, że nie dają mu spoczywać w spokoju. Nie spodobało im się, przyszli nam to powiedzieć. Ale potraktowaliśmy ich protest tak, jak traktujemy hejterskie komentarze na Facebooku – jako konsekwencję wolności słowa.

Żarty z osób religijnych to stąpanie po kruchym lodzie... Jakie są izraelskie tematy tabu?

Wyda mi się, że nie ma tematu, z którego nie można by żartować, ale trzeba to robić w granicach dobrego smaku. Tak, żeby nie była to czysta prowokacja. W naszym programie krytykujemy izraelską kulturę na przykład za to, że Izraelczycy mają obsesję na punkcie Zagłady. Oczywiście nie śmiejemy się z Szoah, lecz wyśmiewamy nadużywanie Zagłady. Na przykład premiera Netanjahu, który używał Szoah do straszenia opinii publicznej: sugerował, że jeśli Izraelczycy nie zagłosują na niego, będą musieli zmierzyć się z Iranem, który porównał do nazistowskich Niemiec. Przedmiotem naszej satyry było więc wykorzystanie Holokaustu, a nie sam Holokaust.

Jakiś inny trudny temat?

Jest taki, nawet bardziej delikatny niż Zagłada. To rodziny żołnierzy zabitych w czasie służby wojennej. Zrobiliśmy kiedyś odcinki programu krytyczne wobec armii i wojny. Odbiór był pozytywny, choć zdarzyły się osoby, które to rozzłościło i dały temu upust w komentarzach pod naszym adresem. Ale wydaje mi się, że w większości przypadków publiczność rozumie, że jeśli mówimy o jakimś temacie w sposób satyryczny, jest to znak, iż jest on dla nas ważny. Że w naszym *show* jest przesłanie.

W większości przypadków chyba nie macie z tym problemu. Izraelczycy są bezpośredni i otwarci. Lubią żartować.

Co sprawia także, że uwielbiają kłócić się o wszystko i to czasem w brutalny sposób. Owszem, to ułatwia nam pracę, po-

zwala żartować więcej i ostrzej, bo otwartość pomaga im akceptować taki rodzaj humoru.

Ale żart z Holokaustem w tle, wypowiedziany w ich obecności przez obcokrajowca, nie jest już tak mile widziany.

Oczywiście, w dodatku okrzykną go antysemitą i oskarżą o brak wrażliwości. Szczególnie jeśli ta osoba pochodzi z kraju, w którym antysemityzm był albo wciąż jest problemem. Uważam, że humor powinien koncentrować się na miejscu, w którym jest tworzony. W naszym programie nie żartujemy sobie z innych krajów, nie krytykujemy ich. Śmiejemy się z siebie. To jest nam potrzebne, żebyśmy potrafili przerobić nasze własne kompleksy, a humor w tym pomaga. Rozumiemy to i dlatego uważamy, że inne kraje też nie powinny śmiać się z Holokaustu.

A jednak chętnie sięga Pan w satyrze po mit, który w Izraelu pozostaje bardzo silny: matki Polki. Czego Pan od niej chce?

Matki Polki, ale i matki Żydówki! Rzekniecie, sięgamy po to. Prawdę mówiąc, nie umiem wskazać początków tego mitu, on tkwi w generacji naszych rodziców, a nawet dziadków. Jest tak silny, że nawet dziś jest obecny w filmach czy programach telewizyjnych. To figura nadopiekuńczej mamy, przyklejonej do dziecka, jeżdżącej za nim z menażkami do bazy wojskowej, gdzie odbywa służbę. Ta obsesja na punkcie dzieci, jedzenia, przybierania na wadze, noszenia ciepłych swetrów, żeby nie odczuć chłodu... Nasuwa się jasne skojarzenie z wojennymi doświadczeniami, z Holokaustem.

A więc kolejna trauma, którą Izraelczycy polskiego pochodzenia – zwani tu Polanim – próbowali przepracować śmiechem.

Pamiętajmy też, że żartować z Polanim to żartować z elity, z burżuazji – oni byli przecież wśród założycieli państwa Izrael. To również żarty z drugiej generacji, już nie tak bardzo związanej z Polską. Z kobiet, chłodnych, w przeciwieństwie do dziewcząt Mizrachy [Żydów blisko-wschodnich – red.], które są uznawane za bardziej ciepłe w usposobieniu. No ale to oczywiście stereotypy.

Skąd ta pewność?

Sam jestem w połowie Polakiem. Dziadkowie ze strony ojca pochodzili z Warszawy i Łodzi. W ich domu doświadczałem tych wszystkich rzeczy, z których tak bardzo się śmiejemy. Okropne jedzenie – to żydowskie, oczywiście, bo to oryginalne polskie, z wieprzowiną i boczkiem na czele, uważam za naprawdę smaczne.

Przymknę oko na tę zimną Polkę. Ciekawi mnie, czy kieruje się Pan kiedykolwiek polityczną poprawnością? Na przykład, czy Pana żarty są zrozumiałe dla izraelskich Arabów?

Część Arabów na pewno rozumie nasze żarty. A co do poprawności – ależ skąd! Przecież poprawność i satyra nie idą w parze. Trzeba jedynie pamiętać o dobrym smaku. I żartować z silnych i możnych, a nie ze słabych ludzi.

Żyjemy w czasach, gdy możni tego świata przekraczają swoimi zachowaniami granice satyry. To łatwy materiał do pracy czy wręcz przeciwnie?

Weźmy Trumpa, który sam w sobie jest satyrą o amerykańskich politykach. Jest jeszcze bardziej szalony, jeszcze bardziej nedorzeczny, niż jakikolwiek satyryk mógłby to sobie wymyślić. Z tego względu śmianie się z niego jest utrudnione. Satyra z Trumpa to po prostu duże wyzwanie.

Z czego jeszcze, prócz koronawirusa i polityków, będzie Pan się śmiał w tym roku?

Po trzech wyborach parlamentarnych w ciągu ostatniego roku sytuacja polityczna Izraela nadal jest niejasna, pewne jest więc, że tematów mi nie zabraknie. Uwielbiam moją pracę, pozwala mi nie zwariować. Żyjemy w niełatwej rzeczywistości, a satyra pomaga nam się z nią uporać. Gdyby nie ona, wpadłbym w depresję.

© Rozmawiała w Izraelu
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

MULI SEGEV (ur. 1972) jest twórcą i scenarzystą satyry „Erec Nehederet”, jednego z najbardziej wpływowych programów w izraelskiej telewizji, nadawanego w najbardziej popularnym prywatnym kanale od 2003 r.

Gotowanie z Kimem

ROMAN HUSARSKI Z WIENTIANU (LAOS)

Miał to być oręż propagandy i źródło dochodów reżimu: sieć północnokoreańskich restauracji, rozrzuconych po wielu krajach świata. Jak funkcjonuje w praktyce?

TO TRUDNY CZAS DLA PRZYWÓDCY Korei Północnej. Z powodu koronawirusa granica z Chinami jest zamknięta, co będzie mieć poważne skutki gospodarcze (zresztą nikt, może poza Kimem, nie zna skali epidemii w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej), a Donald Trump, przez chwilę – zdawałoby się – wielka nadzieja Kim Dzong-una, zawiesił z nim rozmowy. Jednym z ostatnich eksponowanych działań Północy poza granicami kraju są... restauracje. Jednak ich los stoi dziś pod znakiem zapytania.

Restauracja Pjongjang

Vang Vieng to typowe miasteczko w Laosie, nastawione na turystów – zwłaszcza tych z innych krajów dawnych Indochin oraz Azji Wschodniej, ale też z Zachodu. Tym dziwniejszym było, że szyld tej restauracji sformułowano tylko w językach laotańskim i koreańskim. A może, przeciwnie, nie powinno to dziwić? Może właścicielom restauracji Pjongjang (to nazwa stolicy Korei Północnej) zależało na dotarciu do jednej tylko klienteli: do turystów z Korei Południowej? Tych w Vang Vieng nie brakowało. Po realizacji koreańskiego *tv show* „Youth Over Flowers” w 2014 r. miasto przeżywa ich obłęd.

Restaurację urządzono z pompą, przypominającą lokale na pokaz z sowieckich filmów. W wielkiej sali ustawiono kilkanaście okrągłych stołów przykrytych czerwonym obrusem, a pośrodku scenę koncertową z górkim pejzażem w tle. Kelnerka, która wyłoniła się zza kurtyny, prezentowała się w sposób nie do pomyślenia w Korei Północnej: w krótkiej spódniczce i z silnym makijażem. Także menu zaskoczyło – mnogością dań. Poza klasycznymi pozycjami kuchni koreańskiej oferowano smażone ośmiornice, gulasz z psa (*dangogi*), koreańską kaszankę (*sundae*), która na Północy słynie z krwi-

stości, czy smażone *kosari*, pędy orlicy – paproci, która przed przetworzeniem jest silnie rakotwórcza.

Próba rozmowy z kelnerką spęłała na niczym; nie pomogło nawet wspomnienie o podróży do Korei Północnej. Spłoszona odpowiadała zdawkowo. Zaprosiła za to na przedstawienie, które, jak powiedziała, wykonuje codziennie wraz z innymi kelnerkami w godzinach wieczornych. Przedstawienia już nie widzieliśmy.

Iluzoryczność kontaktu

Podobna restauracja działa w stolicy Laosu, Wientianie. W przeciwieństwie do tej w Vang Vieng, ma angielską nazwę Paektu, od najważniejszego wulkanu Północy, w którego okolicy – według propagandy – urodził się Kim Dzong-il, ojciec obecnego przywódcy. Lokal leży daleko od centrum i raczej trudno trafić do niego przez przypadek. Także tu uderza specyficzny luksus. Na wystrój składają się plakaty z regionu Paektu i takie, które przypominają wystrój z zachodniego supermarketu, z pomidorami, serami, a nawet puszkami coli. Północ za wszelką cenę chce przekonać, że jest krainą mlekiem i miodem płynącą.

Zamówiliśmy popisowe danie kuchni północnokoreańskiej: *naengmyong*, makaron gryczany w wołowym wywarze na zimno. Do tego pilsner Taedonggang, produkowany (we współpracy z Niemcami) w seriach od No. 1 do No. 7. Skojarzenie z północnokoreańskimi rakietami jest słuszne – browar sam podkreśla je w reklamach. Piwo okazało się przyzwoite, choć cena siedmiokrotnie wyższa od lokalnego piwa laotańskiego. *Naengmyong* z kolei był przeciętny.

Przy stoliku obok siedziało dwóch Koreańczyków z Południa, którzy chętnie wdali się w rozmowę. Do Laosu przyjechali w celach biznesowych. Jak się okazało, ich także przyciągnęła tu ciekawość.



– Niewiele jest okazji do spotkania ludzi z Północy, dlatego przyszliśmy – wyjaśnili.

Chyba jednak zdawali sobie sprawę z iluzoryczności nawet takiego kontaktu. Jeden westchnął: – W Korei Południowej nie musisz płacić za *kimchi* pięć dolarów, bo jest serwowana za darmo. Trochę drogo jak na Laos, ale wiecie, to w końcu rządowa inicjatywa... Mają za to świetne *soju*.

Jak się przekonałem, czytając w internecie komentarze o takich restauracjach, wśród mieszkańców Południa alkohole z Północy cieszą się renomą. Każda restauracja prowadzi sklepik. W Wientianie można kupić np. produkty z żeń-szenia, afrodyzjak z niedźwiedzia, nalewkę z gąski sosnowej – i oczywiście pisma Kim Ir Sena (dziadka obecnego lidera i założyciela państwa) oraz Kim Dzong-ila. Do restauracji przyciąga też najwyraźniej rozrywka. Pewien bloger z Południa pisał, że nie mógł powstrzymać łez, gdy usłyszał pieśń o zjednoczeniu Półwyspu Koreańskiego. Inni chwalili urodę kelnerrek-artystek.



ROMAN HUSARSKI

Północnokoreańska restauracja Pjongjang w mieście Vang Vieng, Laos, 2020 r.

Nam przy posiłku towarzyszyły di-sneyowskie przeboje w wersji na pianino. Na pytanie, skąd taki wybór, padła odpowiedź, że to muzyka z Korei Północnej, i że płytę można kupić w sklepiu. Kolejnym zaskoczeniem było, że do rachunku doliczono wodę, także w cenie kilka razy wyższej od standardu laotańskich restauracji (w Korei Południowej woda jest zawsze za darmo). Na to, że nie można było płacić kartą, byliśmy przygotowani.

Przychód dla reżimu

Północnokoreańskie restauracje w Laosie nie powinny w zasadzie dziwić. Choć rządząca autorytarnie partia komunistyczna dawno doszła do wniosku, że pierwszym socjalistą był Budda, a po kraju hula kapitalizm, formalnie wciąż jest to państwo komunistyczne. Przypominają o tym liczne flagi z sierpem i młotem – wiszące i przed hotelami dla cudzoziemskich turystów, i przed domami handlowymi.

W Wientianie stoi imponująca rozmarami ambasada KRLD. Rząd Laosu wydał jej w 2013 r. zatrzymanych północnokoreańskich uchodźców. Jeden ze szla-

ków ich wędrówki wiedzie właśnie przez to małe państwo na Półwyspie Indochińskim. Ryzykują, choć deportacja to dla nich wieloletni wyrok, grożący śmiercią (warunki w obozach są tak nieludzkie, że można nie przetrwać uwięzienia). Laos wraz z sąsiednią Kambodżą od lat pozostają jednym z najbliższych (i nielicznych już) sojuszników Kima.

Jednak sieć północnokoreańskich restauracji obejmuje nie tylko Indochiny. Znajdziemy je w Moskwie, Kuala Lumpur, Bangkoku czy Dubaju. W samych Chinach ma ich być około setki. W 2012 r. próbowano otworzyć taki lokal w Holandii, ale inicjatywa nie wytrzymała próby czasu. Według raportu Centre for Advanced Defence Studies biznes ten angażuje 100 tys. pracowników na całym świecie (włączając także nie-Koreańczyków) i generuje roczny przychód dla reżimu w granicach od 1,6 do 3,2 mld dolarów.

Pasem po twarzy

Justin Hastings z University of Sydney – autor książki „A Most Enterprising

Country: North Korea in the Global Economy” („Najbardziej przedsiębiorczy kraj: Korea Północna w globalnej gospodarce”), który zajmuje się zwłaszcza północnokoreańskim rynkiem pracy, inwestycjami i sankcjami nakładanymi na Północ – twierdzi, że osoby pracujące w tych restauracjach to głównie kobiety, które wcześniej przechodzą weryfikację pod względem urody i lojalności. Choć co najmniej 80 proc. przychodów z tych lokali ma wędrować do Pjongjangu, to warunki pracy i tak należą tu do najlepszych ze wszystkich branż dostępnych dla ludzi żyjących w warunkach tamtejszej dyktatury.

Mimo to, według światowych standardów, pracę tę należy określić jako niewolniczą. Wszystkie pracownice mają nadzorców, którzy kontrolują ich życie, zmuszają do sesji ideologicznych, skrupulatnie spisują na ich temat raporty i pilnują, by nie dokonały dezercji – co wielokrotnie miało już miejsce. Jest też przemoc fizyczna. W jednej z restauracji jej chiński współwłaściciel odnotował, jak aparatczyk uderzył kelnerkę pasem po twarzy za to, że podczas występu przewróciła wentylator.

Prawdopodobnie restauracje podlegają Biuru 39: sekretnej północnokoreańskiej organizacji, która pozyskuje finanse dla samego Kim Dzong-una. Często zresztą w sposób bandycki, np. przez narkotyki, fałszowanie pieniędzy i cyberprzestępczość.

Justin Hastings twierdzi, że status restauracji bywa skomplikowany. Niektóre mogą należeć do członków partii, inne do wojska, jeszcze inne do indywidualnych przedsiębiorców. Warunkiem jest oddawanie części dochodów rządowi. Czasem są to kooperacje z miejscowymi biznesmenami na zasadzie *joint venture*, np. w Chinach. Dochodzi przez to do sytuacji, gdy dwie restauracje konkurują o klientów w jednym mieście, także pisząc na siebie nawzajem donosy do centrali.

Kiedy zapytałem kelnerkę z Paektu o drugą restaurację, która działa w Wientianie, odparła, że u nich jest lepsze *show*.

Pętla się zaciska

W ciągu ostatnich trzech lat sankcje wobec Północy stopniowo się zaostrzały. W sierpniu 2017 r. ONZ wprowadziła zakaz udzielania nowych wiz pracowniczych. W grudniu 2017 r., w odpowiedzi na test międzykontynentalnego pocisku →

→ balistycznego, wprowadzono sankcje nakazujące powrót północnokoreańskich pracowników do domu – w efekcie kilkadziesiąt tysięcy zatrudnionych w Chinach, Rosji i na Bliskim Wschodzie musiało wracać.

Chiny, mimo oficjalnego popierania sankcji międzynarodowych, przez dekady przymykały oko na poczynania Kimów. Sytuacja zmieniła się wraz z prezydenturą Trumpa. Północ przestała być traktowana przez Pekin ulgowo i w 2018 r. chiński import z Korei Północnej spadł o 88 proc. Andrei Lankow, ekspert od KRLD i dyrektor Korea Risk Group, uważa, że Chińczycy – widząc, jak ostra staje się retoryka USA – chcieli pokazać, że sami potrafią zająć się krnąbrnym sąsiadem. Spotkania Kima z prezydentem Xi Jinpingiem nie zmieniły tego trendu. W grudniu 2019 r. Pekin zastrzył kontrole wizowe dla obywateli Północy i przeprowadził inspekcje w restauracjach, kilka pokazowo zamykając.

Choć wciąż co najmniej połowa z wcześniejszej liczby zatrudnionych za granicą obywateli Północy pozostaje poza krajem, straty finansowe reżimu muszą być znaczące. Nigdy jeszcze sankcje nie były tak bolesne. Ich przeciwnicy wątpią w ich skuteczność i uważają, że spychają reżim w sferę czarnego rynku i wojennej retoryki. Zwolennicy wierzą, że ściśle stosowane mogą doprowadzić do spadku zaufania elit i generałów do Kima – i jeśli nawet nie doprowadzą do przewrotu, to mogą osłabić kosztowny przemysł nuklearny i zbrojeniowy oraz ograniczyć możliwości działania Kima w świecie.

■■■

To nie oznacza, że północnokoreańskie restauracje znikną. W Chinach część ich personelu została już zastąpiona przez miejscowych pracowników. Pojawia się też alternatywa w postaci restauracji otwieranych przez Koreańczyków pochodzących z Północy, ale dystansujących się od reżimu, mających obywatelstwo chińskie lub żyjących w Seulu.

Byłem w restauracji, którą uciekinierka z Północy prowadzi w centrum stolicy Korei Południowej. Jej *naengmyong* był doskonały.

© ROMAN HUSARSKI



Elizabeth Warren nie ustępuje

PIOTR TARCZYŃSKI

Choć zawiesiła swoją kampanię prezydencką, amerykańskie media nie przestają o niej mówić. Wszyscy czekają na to, kogo poprze: Berniego Sandersa czy Joego Bidena.

SENATORKA Z MASSACHUSETTS, KTÓRA w partyjnych prawyborach zajęła trzecie miejsce zdobywając głosy 2 milionów Amerykanów, stała się jedną z najważniejszych osób w Partii Demokratycznej. Choć nie zostanie kandydatką na prezydenta, jest zbyt cenna, by pozwolić jej zejść ze sceny. Jedni widzą ją na czele Demokratów w Senacie, niektórzy w przyszłej administracji, inni jeszcze wyżej. Bernie Sanders miał dopytywać, czy wiceprezydentka może być również sekretarzem skarbu; Biden też podobno rozważa ją w roli swojej zastępczyni.

Zapytana o to, którego z kandydatów poprze, oświadczyła, że potrzebuje

czasu, żeby się nad tym zastanowić. Pasuje to do jej marki osoby działającej nie pospiesznie, lecz podejmującej decyzje po analizie zagadnienia. Hasło, wokół którego prowadziła kampanię, brzmiało: „Mam plan!”. Jej program składał się z konkretnych propozycji działania, o których jednak mówiła z pasją i językiem zrozumiałym dla wyborców.

Chciała rozbijać monopolistów, jak Amazon czy Google. Wprowadzić podatek od fortun („tylko 2 centy od każdego dolara powyżej 50 mln dolarów”). Ukrócić wpływ pieniędzy na politykę, m.in. poprzez radykalne ograniczenie lobbingu i wprowadzenie publicznego współfinansowania partii. Zlikwidować



JUSTIN L. STEWART / ZUMA PRESS / FORUM

Elizabeth Warren, Los Angeles, marzec 2020 r.

długi studenckie, kulę u nogi milionów młodych Amerykanów, i dogłębnie zreformować edukację – podkreślała, że to właśnie tani, publiczny uniwersytet dał jej wykształcenie, bez którego nie wyrwałaby się z biedy. Była zapewne najbardziej kompetentną osobą, jaka ubiegała się o prezydenturę – i to nie tylko na tle tegorocznych pretendentów. Co zatem się nie udało?

Przeciwieństwo Trumpa

Pierwszy raz Amerykanie usłyszeli o Elizabeth Warren po kryzysie gospodarczym roku 2008. Elokwentną profesorkę z Harvardu, która jako jedna z nielicznych przewidziała krach, zaczęto zapraszać do telewizji oraz różnych ciał doradczych Kongresu, gdzie rzeczowo punktowała i Republikanów, i Demokratów, a przede wszystkim winne kryzysowi banki. Kiedy w 2010 r. powstało Biuro Ochrony Finansowej Konsumentów, jako specjalistka od prawa upadłościowego była naturalną kandydatką, by stanąć na jego czele. Republikanie w Senacie (i część ekonomicznej drużyny prezydenta Baracka Obamy) nie chcieli jednak o tym słyszeć. Warren pozwolono stworzyć agencję od postaw, ale tylko w roli p.o. szefowej. W 2012 r., chcąc pozbyć się kłopotu, administracja zachęciła ją do

startu w wyborach do Senatu. Po śmierci Teda Kennedy'ego w Massachusetts niespodziewanie wygrał Republikanin i Demokraci potrzebowali kogoś, kto odzyskałby dla nich to miejsce. Warren zwyciężyła w cuglach.

W komisji bankowości zasłynęła z przeczołgiwania bankierów i szefów korporacji, ale rzuciła też klody pod nogi Obamie, kiedy za bardzo szedł bankom na rękę. Był czas, że to ją uważano w Białym Domu za radykalną wicherzycielkę, a senatora Sandersa za gracza drużynowego, na którego można liczyć. Z Sandersem znają się zresztą od lat – jeszcze zanim sama zaangażowała się w politykę, agitowała za nim w jego rodzinnym Vermoncie. W 2015 r. miał ją namawiać do rzucenia rękawicy Hillary Clinton i dopiero kiedy odmówiła, Sanders postanowił sam wystartować. Warren ponad idealizm przedłożyła wówczas pragmatyzm (co może być wskazówką dziś, kiedy stoi przed podobnym dylematem) – poczekala na ostateczne rozstrzygnięcie praw wyborów i dopiero wtedy poparła Clinton. Brano ją pod uwagę jako potencjalną wiceprezydentkę, ale ostatecznie Clinton uznała, że dwie kobiety to zbyt ryzykowny wybór i postawiła na dość bezosobowego senatora Tima Kaine'a. Z wiadomym skutkiem.

Za prezydentury Trumpa bezkompromisowo stawiała czoło jego administracji. Kiedy Mitch McConnell, republikański lider większości w Senacie, wyłączył jej mikrofon za przekroczenie czasu wypowiedzi („Została ostrzeżona. Mimo to nie ustąpiła”), uczyniła z tego swoje zawołanie. Była antytezą Trumpa – on rzucał gniewne, pełne kłamstw i obelg tweety, ona prezentowała rozsądek i doskonale przygotowanie; on ucieleśniał toksyczny macyzm, ona nowoczesny feminizm. Nic dziwnego, że stała się jednym z ulubionych celów ataków prezydenta, który nazywał ją „Pocahontas”.

Na łzy miliarderów

Pochodząca z Oklahomy Elizabeth Warren miała, według rodzinnej opowieści, czirokeskich przodków i w latach 80. XX w. zdarzało się jej deklarować jako „rdzenna Amerykanka”, choć, jak wynika ze śledztwa dziennika „The Boston Globe”, nigdy nie użyła tego, żeby pomóc sobie w karierze. W końcu, zmęczona ciągłymi kpinami Trumpa, postanowiła zrobić sobie test DNA. Rzeczywiście wy-

kazał, że miała wśród przodków Indian, ale ruch ten zamiast wyciszyć sprawę, tylko ją rozniecił. Krytykowana z różnych stron, z przywódcami Narodu Czirokezów na czele, przeprosiła i wykonała wielką pracę, żeby odbudować relacje z rdzennymi Amerykanami – później, w prawyborach, poparła ją kongresmenka Deb Haaland, pierwsza Indianka w Kongresie.

Kiedy w 2018 r. Warren postanowiła ubiegać się o prezydenturę, spotkała się z Sandersem. Czy próbowała go przekonać, żeby nie startował i ją poparł? Oboje zgodnie twierdzą, że nie, acz resztę tamtej rozmowy (o czym za chwilę) zapamiętali inaczej. Zabiegali o ten sam progresywny elektorat, różnice między ich programami były w istocie niewielkie, a podobieństw (jako jedyni popierali powszechną opiekę zdrowotną „Medicare dla wszystkich”) znacznie więcej. Warren po prostu twierdziła, że byłaby lepszym prezydentem. Różnił ich styl – częściej od niego podkreślała znaczenie współpracy, mówiła o konieczności słuchania się nawzajem i wspólnego znajdowania rozwiązań – ale nie ogólny kierunek. „Wielka, strukturalna zmiana”, do której wzywała, pokrewna była „politycznej rewolucji” Sandersa, ale opierała się na solidnych, pragmatycznych podstawach. Kiedy Sanders szermował hasłem „demokratycznego socjalizmu”, Warren podkreślała, że jest „kapitalistką do szpiku kości”, która jednak – jak niegdyś Franklin D. Roosevelt – chce zdyscyplinować spuszczone z łańcucha wolny rynek.

Jej kandydatury obawiali się miliarderzy. Mark Zuckerberg zapowiadał, że z prezydentką Warren będzie walczył w sądach, a pewien były dyrektor banku Goldman Sachs rozplakał się na wizji, kiedy zapytano go o proponowany przez senatorkę dwuprocentowy podatek. Tuż po tym na stronie kampanii Warren pojawiły się na sprzedaż kubki na „Łzy miliarderów”. Na krytykę ze strony centrowych konkurentów odpowiadała: „Nie rozumiem, czemu ktoś zadaje sobie tyle trudu i ubiega się o prezydenturę, żeby powtarzać, czego nie możemy zrobić i o co nie powinniśmy walczyć”. Sanders słabł, Warren konsolidowała wokół siebie obóz progresywny i rosła w sondażach. Był to zresztą jeden z powodów, dla których do walki o nominację Demokratów przystąpił eksburmistrz Nowego Jorku Michael Bloomberg – obawiał się nie Sandersa, ale Warren.

→

Starcie na ostatniej prostej

→ Kiedy w październiku 2019 r. wysunęła się na prowadzenie, pozostali kandydaci rzucili się do ataku na nią. Pete Buttigieg, prezentujący się jako centrowa alternatywa dla słabnącego Bidena, wyprowadził cios z prawej – zarzucił Warren, że jej pomysł zapewnienia powszechnej opieki zdrowotnej jest nierealistyczny finansowo. Warren uciekła w ogólniki, co zaszkodziło marce kandydatki, która ma plan na wszystko. Następnie przyszedł cios z lewej: dochodzącemu do siebie po zawale serca Sandersowi udzieliła wsparcia popularna na lewicy kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez. Kampania Sandersa odżyła, poparło go kilka ważnych lewicowych organizacji, a Warren zaczęła powoli, lecz stale, tracić w sondażach.

Skorygowała więc swój plan opieki zdrowotnej – „Medicare dla wszystkich” nie uda się wprowadzić od razu i konieczny będzie okres przejściowy. Ta część lewicy, która i tak już patrzyła na nią podejrzliwie (dlaczego sama startuje, zamiast poprzeć Sandersa?), potraktowała to jako dowód na to, że senatorka nie jest żadną progresistką, tylko koniem trojańskim neoliberalizmu (*sic!*), choć jakiś czas później sama Ocasio-Cortez przyznała, że kompromis w sprawie opieki zdrowotnej może być konieczny. Nie był to zresztą jedyny taki przypadek. Propozycje Warren, uwzględniające takie czy inne niuanse zagadnienia, zawsze okazywały się „nie dość postępowe” w porównaniu z bezkompromisowym programem Sandersa – nawet jeśli jego sojusznicy przyznawali po cichu, że w praktyce jego realizacja bliższa byłaby pomysłom Warren.

Choć długo powstrzymywali się od ataków na siebie, na ostatniej prostej przed konwentykłem w Iowa doszło między nimi do starcia. Kiedy sztab Sandersa zaczął używać argumentu, że Warren jest zbyt elitarna i nie warto na nią głosować, senatorka uznała to za zerwanie paktu o nieagresji i przywołała ową kurtuazyjną rozmowę, jaką odbyła z Sandersem w grudniu 2018 r. Miał on wówczas powiedzieć, że kobieta nie zdoła pokonać Trumpa. Zapytany o to w trakcie debaty zaprzeczył, a po debacie rozeźlona Warren nie podała mu ręki. Choć szybko zaczęli wyciszać konflikt (na marszu ku czci Martina Luthera Kinga, kilka dni później, szli nawet pod ramię, rozmawiając i żartując), najzgorzalsi fani Sandersa,

tw. Bernie Bros, przypuścili w internecie bezpardonowy atak na senatorkę, nazywając ją „zdradziecką żmiją” i opisując hasztagami #neverwarren. Sanders wprawdzie potępił takie zachowania, ale w opinii Warren nie odciął się od swoich toksycznych fanów wystarczająco stanowczo (większość wyborców uwierzyła zresztą jemu).

Mało miejsca w centrum

Zraziwszy do siebie część partyjnej lewicy, spróbowała poszukać miejsca w centrum, ale ostatecznie znalazła się na straconej pozycji – w walce o nominację zabrakło miejsca na jakiegokolwiek niuanse. Dla umiarkowanych wyborców wciąż była zbyt radykalna, a „kandydatką jedności”, łączącej idealizm progresistów z pragmatyzmem centrystów, zainteresowani byli nieliczni. Nie pomogły jej nawet dwie debaty, w których rozniosła w pył Michaela Bloomberg, ucieleśniającego niekontrolowaną *hybris* wielkiego kapitału, z którą walczyła od lat. Kiedy w prawyborach wypadła znacznie poniżej oczekiwań, przegrywając nawet we własnym stanie, w końcu zawiesiła kampanię. „Od początku mówiono mi, że są tylko dwie drogi: progresywna i umiarkowana (...) Nie zgadzałam się z tym, ale cóż, byłam w błędzie” – powiedziała gorzko.

Nie brak głosów, że w sytuacji, gdy priorytetem dla Demokratów było znalezienie osoby najbardziej „wybieralnej”, która zdoła pokonać Trumpa, pomstującemu na ekspertów ulubieńca „zwykłych Amerykanów”, wykładowniczy z Harvardu była zbyt „elitarna”. Sęk w tym, że dzisiejsza profesor Elizabeth Warren z Harvardu to Betsy Herring, córka stróża z Norman w Oklahomie. Kiedy jej ojca po zawale serca prawie dobiły rachunki za opiekę zdrowotną, poszła do pracy w wieku 13 lat. Dzięki wynikom w nauce zdobyła stypendium na prestiżowym uniwersytecie, ale zrezygnowała z niego dla męża – wykształcenie dały jej w końcu studia na publicznej uczelni. Pracowała jako nauczycielka, aż wreszcie za sprawą ciężkiej pracy skończyła prawo i wspięła się na sam szczyt. To klasyczna opowieść o „amerykańskim śnie”, która w ustach każdego innego kandydata zachwycałaby wyborców.

„Niewłaściwa” płeć

No właśnie – kandydata. Kobiety stanowią większość elektoratu Partii Demokra-

tycznej; to one (jako wyborczynie i jako kandydatki) wywalczyły dwa lata temu zwycięstwo w wyborach do Kongresu, oddając Izbę Reprezentantów we władanie Nancy Pelosi. W kampanii Warren dużo bardziej od Hillary Clinton podkreślała swój feminizm. Kiedy na trasie robiła sobie zdjęcia z wyborcami, młodym dziewczynkom mówiła: „Ubiegam się o prezydenturę, bo to właśnie robią dziewczyny”. Jaką rolę w jej porażce odegrał zatem seksizm?

Sam fakt, że kobieta ubiega się o jakieś stanowisko, sprawia, że wyborcy oceniają ją gorzej niż mężczyznę w takiej samej sytuacji. Sanders nieustannie krzyczy, Biden potrafi dziwacznie obelgami obrzucać własnych zwolenników, ale wystarczyło, że Warren podniosła głos i od razu słyszała, że jest zbyt agresywna i „niemiła” – jakby to od bycia „miłym” zależało, czy ktoś nadaje się na najważniejszy urząd w państwie. Kiedy Pete Buttigieg postanowił ubiegać się o prezydenturę, mając ledwie 37 lat i doświadczenie burmistrzowania niewielkiemu miastu, media zachwycały się ambitną i elokwentną nadzieją partii, ale kiedy Warren mówiła o rzeczach, na których się znała jak mało kto, okazywała się „protekcjonalna” i „przemądrzała”. Biden bez przerwy opowiada niestworzone historie, popełnia gafę za gafą, ale to Warren nieustannie wypominano sprawę indiańską, za którą dawno już przeprosiła.

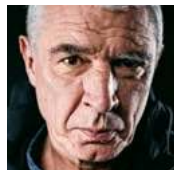
Trudno się oprzeć wrażeniu, że kiedy wyborcy Demokratów mówili „zagłosowałbym na Warren, ale jest niewybieralna”, zbyt często mieli na myśli, że po prostu ma „niewłaściwą” płeć – czy to dlatego, że po porażce Hillary Clinton uznali, że kobieta nie zdoła pokonać Trumpa, czy dlatego, że choć uważają się za postępowych, po prostu nie brakuje wśród nich seksistów. A może i jedno, i drugie.

Warren przegrała, ale to jej merytoryczna ofensywa skłoniła resztę kandydatów do uzupełnienia swoich programów; to na bazie jej planów może powstać tegoroczny program Partii Demokratycznej, godzący rozbieżne oczekiwania obu skrzydeł partii, lewicowego i centrowego. Choć w listopadzie nie stawi czoła Trumpowi, w taki czy inny sposób będzie współdecydować o przyszłym kształcie Partii Demokratycznej. „Mimo to, nie ustępuje”. © PIOTR TARCZYŃSKI

ANDRZEJ

Stasiuk:

Mroźny poranek



POWINIENEM COŚ NAPISAĆ O ZARAZIE. TAK mi się wydaje. Takie są obowiązki felietonisty. Ale jest piąta i zaczyna świtać. Złoty księżyc w pełni powoli zbliża się do czarnej grani, a na wschodzie niebo już lekko jaśnieje. Drzewa rzucają czarne cie-

nie. Z komina unosi się dym i miesza się z księżycowym blaskiem. Powinienem pisać o tym, że niedługo dym będzie zakazany. Ostatnio byli Niemcy i dziwili się, że można u nas palić ogniska, bo akurat paliłem. U nich już nie można. U nas w miastach też chyba już nie można, bo przychodzi straż miejska i każe gasić. No więc z jednej strony cywilizacyjna troska o przetrwanie, a z drugiej strony zaraza jak w dawnych czasach: kwarantanny, panika, ludzie w maskach, kordony sanitarne, ludzie uwięzieni w dobrowolnych aresztach domowych, podejrzliwość wobec obcych. Kto wie, czy nie będzie pogromów jak wobec Żydów w średniowieczu, gdy oskarżano ich o zatrucie studni. Globalny wyleknioty lud wsłuchany w sieciowe pogłoski o apokalipsie. Tylko patrzeć, jak znajdzie się jakiś kozioł ofiarny. Na przykład uchodźcy. To oni przecież roznoszą mikroby. Aż dziw, że na razie nikt nie przypomniał tej błyskotliwej myśli sprzed paru lat. Widać jeszcze nie pora.

Wychodzi na to, że wirus nadaża za globalną cywilizacją. Pierwsza zaraza epoki informatycznej. Rozprzestrzenia się jak wieści w sieci. Dociera wszędzie. Nie zna granic. Można odnieść wrażenie, że wykorzystuje w jakiś przewrotny i symbiotyczny sposób sieć WWW. Że jesteśmy nim zarażeni, z nim przeniknie do naszego krwiobiegu. I że nas łączy niczym biologiczny Google. A nawet mocniej.

Zaraza zarazą, ale za oknem coraz jaśniej. W nocy był przymrozek i trawiaste wzgórce całe jest siwe. Mareszka pięknie ciemniej, a nad Uhercem podnosi się złoty blask. W ciszy poranka rozlega się ptasi skwir. Mam wrażenie, że w tym roku wcześniej niż zwykle. Że wszystko ostatnio idzie szybciej. Zaraza, wieści i wiosna. Sikorki ubogie w swoich mnisich strojach uwijają się wśród gałęzi modrzewia. Czasami z twardym furkotem przelatuje dzięcioł. Śniegu prawie już nie ma. Trochę jeszcze zalega po północnej stronie domu. Nie słyszałem jeszcze żurawi w tym roku, ale pewnie niedługo nadlecą z południa. Trzy sarny, które od kilku lat mieszkają w niedalekim parowie, zjawiają się tuż za płotem. Można podejść na dzieść kroków i gdy się stoi nieruchomo, nie uciekają. Niewykluczone, że to już kolejne pokolenie. Coraz mniej lękliwe, coraz bardziej ciekawskie. Z mroku obórki snuje się smolisty zapach owiec i woń siana. Słyszać monotonne chrupkanie. Opisuję te drobne, dyskretne zdarzenia i obrazy, i próbuję przyzwyczaić się do myśli, że nadciągająca zaraza też należy do tego świata.

No ale człowiek nie samą zarazą żyje, więc pora się zabrać do roboty. Taki mroźny poranek jest w sam raz, by posprzątać po psach. Trzy psy to jednak jest pewien przerób materii. A dziś akurat materia jest zgrabnie zmarznięta i przypomina próbki nieznanach minerałów.

©

weź, czytaj w prenumeracie!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny **Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny do odwołania

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OSTATNI

Doszedł na szczyt: od wiejskiego aktywisty
przez nadzorcę aparatu represji po szefa partii rządzącej.
Stanisław Kania należał do najbardziej zaangażowanych budowniczych PRL.

ANTONI DUDEK

JEGO ŚMIERĆ TO SYMBOLICZNY KONIEC Epoki PRL. Zmarły 3 marca Stanisław Kania był ostatnim żyjącym pierwszym sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Spodziewam się, że w ciągu najbliższych lat powstanie w końcu jego biografia, i że będzie to portret człowieka, który bardziej niż Bierut, Gomułka czy Jaruzelski uosabiał powojenne 40-lecie. Choć na czele partii rządzącej wtedy Polską stał znacznie krócej niż ci lepiej od niego znani pierwsi sekretarze.

Bardziej, gdyż to w jego życiorysie znakomicie odbija się los tysięcy chłopskich synów: tych, którzy zawdzięczali władzy komunistycznej spektakularny awans społeczny, na końcu którego przyszło rozczarowanie i poczucie klęski.

Wybór osiemnastolatka

Niespełna 18-letni Kania, pochodzący z małej wioski Wrocanka koło Jasła, związał się z ruchem komunistycznym w roku zakończenia II wojny światowej. To wtedy Polska Partia Robotnicza (prekursorka PZPR) i jej młodzieżowa organizacja – Związek Walki Młodych, do którego trafił Kania – w ciągu kilkunastu miesięcy przekształciły się z małych kadrowych struktur w organizacje masowe. Jako przewodniczący gminnego ZWM, a wkrótce sekretarz PPR w Jasle, Kania uczestniczył w organizacji tzw. referendum ludowego (1946), a później sfalszowanych wyborów do Sejmu (1947).

Był to czas polaryzacji polskiego społeczeństwa, przy której ta obecna jawi się jako łagodny konflikt rodzinny. Niektó-

rzy koledzy Kani z Batalionów Chłopskich, do których trafił w ostatnim roku wojny, kontynuowali działalność konspiracyjną – uznając, że po okupacji niemieckiej Polska znalazła się pod okupacją sowiecką. Jednak zdecydowana większość z nich uznawała dalszą walkę zbrojną za bezsensowną, bez szans – zamiast tego podejmując działalność w legalnym i opozycyjnym PSL Stanisława Mikołajczyka.

Ale byli i tacy, którzy – jak Kania – wybrali obóz nowej władzy. On sam nigdy jasno nie wyjaśnił motywów swojej decyzji. Wydaje się, że nie różniły się od tych, którymi kierowało się wówczas wielu innych: mając cztery klasy szkoły podstawowej i perspektywę pracy jako kowal w kuźni w rodzinnej wsi (przyuczono go do tego zawodu), wybrał spektakularny awans społeczny, oferowany przez komunistów. „Mimo ciężkich błędów otwierały się jednak możliwości pracy i awansu dla ludzi i całych regionów” – tłumaczył w wywiadzie rzece, wydającym już po upadku komunizmu.

Duże perspektywy

W regionie awansował szybko. Pięć lat po wojnie był już czołową postacią rzeszowskiego Związku Młodzieży Polskiej (następcy ZWM) i członkiem władz tamtejszego Komitetu Wojewódzkiego PZPR. W 1952 r. ukończył dwuletnią szkołę partyjną przy KC PZPR, w której uznano go za jednego z najlepszych słuchaczy, a w końcowej opinii napisano: „Cechuje go ostra polityczna i mocne wyczucie klasowe. Postawa partyjna bardzo dobra. Duże perspektywy rozwoju”.

Z taką rekomendacją Kania trafił do Zarządu Głównego ZMP w Warszawie. Ale jego „perspektywami rozwoju” zachwiały na moment wydarzenia października 1956 r. i będąca ich konsekwencją likwidacja ZMP. Ten czas wykorzystał do uzupełnienia wykształcenia i w 1958 r., mając 31 lat, zdobył świadectwo maturalne. Wkrótce zaczął pracę w aparacie Komitetu Warszawskiego PZPR, w którym piął się powoli w górę, podobnie jak wielu innych towarzyszy z tzw. pokolenia zetempowskiego.

Początkowo daleko było mu do takich karier, jakie w latach 60. robili niektórzy jego rówieśnicy – w rodzaju Józefa Tejchmy czy Stanisława Kociołka. Przełom nastąpił za sprawą przesunięć w aparacie władzy, zapoczątkowanych wydarzeniami marca 1968 r. Usunięcie licznych towarzyszy pochodzenia żydowskiego otworzyło drogę do spektakularnego awansu także dla Kani, który zakończył ten rok nie tylko wyborem do Komitetu Centralnego PZPR, ale – co ważniejsze – zajęciem stanowiska kierownika Wydziału Administracyjnego KC PZPR (niewąłgicznego, bo dającego wpływ na ważne segmenty partii i państwa).

Nadzorca aparatu przymusu

Po roku 1968 wielu młodych towarzyszy awansowało, ale niewielu doświadczyło awansu aż tak spektakularnego jak 41-letni Kania.

Za jego wyniesieniem stał Mieczysław Moczar. Przegrał co prawda wówczas walkę o pełnię władzy, ale – otrzymawszy od Gomułki „kopniaka w górę” w po-



JAN MOREK / PAP

Posiedzenie Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Od lewej: członek Komitetu Mieczysław Rakowski, minister obrony Wojciech Jaruzelski oraz świeżo upieczony pierwszy sekretarz KC PZPR Stanisław Kania. Warszawa, wrzesień 1980 r.

stacji przeniesienia z MSW na sekretarza KC PZPR odpowiedzialnego za wszystkie służby mundurowe, sądy i prokuraturę – wybrał właśnie Kanię na kierownika tego wydziału KC PZPR, który nadzorował najważniejszą część aparatu władzy.

Co ciekawe, do Kani nie przyłgnęła łatka „moczarowca”. Stało się tak z dwóch powodów: przed 1968 r., gdy wkradł się w łaski potężnego wówczas szefa MSW (podobno Moczara mówił o nim: „inteligentny kowal”), nie był postacią znaną, natomiast już po awansie szybko zorientował się, że kariera Moczara ma się ku końcowi.

Nowe obowiązki wymagały częstego kontaktu z kierownictwem MSW, w tym z pracującym tam od lat w roli wiceministra Franciszkiem Szlachcicem – głównym wówczas w Warszawie zaufanym Edwarda Gierka (szefa partii na Śląsku i rywala Gomułki). „Nasze służbowe

kontakty przemieniły się w przyjaźń i koleżeństwo” – napisał o Kani w swoich wspomnieniach Szlachcic, dodając, że miał on „wrodzoną inteligencję, spryt i umiejętność zdobywania zaufania przełożonych”.

Kania zdobył zaufanie Gierka, uczestnicząc wraz ze Szlachcicem w słynnej delegacji do Katowic w nocy z 18 na 19 grudnia 1970 r., gdy – w imieniu grupy uczestników antygomułkowskiego spisku – zaproponowali mu objęcie stanowiska pierwszego sekretarza KC PZPR. Biorąc udział w tej wyprawie, Kania sporo ryzykował: w razie utrzymania się Gomułki mogło to zakończyć jego karierę.

Z tego niebezpieczeństwa doskonale zdawał sobie sprawę nieco ważniejszy wówczas w partyjnej hierarchii Edward Babiuch, który pierwotnie miał jechać ze Szlachcicem do Katowic. W ostatniej chwili wymówił się chorobą i jego miej-

sce zajął Kania. Jednak mimo tej rejte-rady, po objęciu władzy przez Gierka to Babiuch awansował bardziej niż Kania. Ze stanowiska kierownika najważniejszego w KC Wydziału Organizacyjnego przeskoczył na sekretarza KC, a zarazem pełnoprawnego członka Biura Politycznego, stając się po kilku latach, gdy Szlachcic popadł w niełaskę, osobą numer dwa w PZPR.

Jednak i Kania nie mógł narzekać: dołączył do kilkuosobowego elitarnego grona sekretarzy KC, a w 1971 r. został zastępcą członka Biura Politycznego. Jako sekretarz KC zajął miejsce Moczara, otrzymując nadzór nie tylko nad resortami „siłowymi”, lecz także nad polityką wyznaniową państwa. Przez kilka lat musiał się jeszcze zmagać z niezwykle ekspansywnym Szlachcicem, aby po jego upadku zostać głównym partyjnym nadzorcą całego aparatu przymusu. ➔

Taktyka nękania

→ Wprawdzie po latach Gierka wyrażał się o Kani jak najgorzej – oskarżając go o spiskowanie m.in. podczas kryzysu w czerwcu 1976 r. – ale w rzeczywistości ufał mu długo, przekazując prowadzenie polityki wobec środowisk opozycyjnych, rodzących się w drugiej połowie tamtej dekady.

To właśnie Kania był głównym architektem taktyki nękania ludzi opozycji przy pomocy zwolnień z pracy, grzywn i rewizji, częstego zatrzymywania na 48 godzin oraz pobić przez „nieznanych sprawców”. Sprzeciwiał się stawianiu ich przed sądem i skazywaniu na długoletnie więzienie. Bynajmniej nie z miłosierdzia. „Jeżeli chodzi o represje – nie stoi problem, czy, tylko jak, aby się nie cofać, aby ujemne skutki były mniejsze” – mówił we wrześniu 1978 r. na naradzie z kierownictwem MSW, które domagało się bardziej radykalnych działań. Kania obawiał się, że Zachód może negatywnie zareagować na pojawienie się licznych więźniów politycznych – w sytuacji, gdy ekipa Gierka była z każdym rokiem coraz bardziej uzależniona od tegoż Zachodu.

Ostrożność Kania miała też swoje korzenie we wnioskach, jakie wyciągnął z rewolty robotniczej na Wybrzeżu w 1970 r. – przekonał się, jakie skutki polityczne miała dla Gomułki decyzja o użyciu broni palnej. Dlatego gdy w sierpniu 1980 r. sam stanął przed podobnym dylematem, tak mówił na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR o pracy sztabu, którego pracę nadzorował: „Rozpatrywana jest też możliwość zdobycia portów Północnego i w Świnoujściu. Zadania tego nie można powierzyć wojsku. Robi się rozpoznanie, czy mogłaby tego dokonać Milicja Obywatelska. To nie jest sprawa prosta i łatwa, trzeba mieć też świadomość grożących konsekwencji. Nawet jeśli się porty zdobędzie – to co potem? Kto je będzie obsługiwał. Potrzebni fachowcy”.

Widać z tych słów, że Kania nie był zainteresowany użyciem siły. Pogląd ten stał się podstawą jego strategii, gdy we wrześniu 1980 r. został I sekretarzem KC PZPR. Stało się to możliwe dzięki błędowi Gierka (jego upadek przyspieszyła choroba), ale też dzięki poparciu części członków Biura Politycznego – na czele z gen. Wojciechem Jaruzelskim, z którym już wkrótce Kania stworzył swoisty duumwirat, próbujący opanować solidarnościową rewolucję.

Doktryna Kania

Stosunek Stanisława Kania do Solidarności dobrze oddaje jego przemówienie z początku stycznia 1981 r., wygłoszone do kierownictwa MSW, w którym trwały już przygotowania do stanu wojennego. Przekonywał wówczas, że w Solidarności jest wprawdzie „wątek kontrrewolucyjny” i dużo młodych, których cechuje „duża agresywność, mała podatność na hamulce i na wpływ zarówno partii, jak i kościoła”, ale że jest też „poważny nurt robotniczy z udziałem wielu tysięcy ludzi pracy, z udziałem wielu członków partii. Ten ostatni fakt może mieć pozytywny wpływ na działanie Solidarności”.

W tych słowach zawarta była istota doktryny Kania: unikać otwartego starcia z Solidarnością, natomiast starać się ją podzielić i następnie ubezwłasnowolnić tzw. zdrowy robotniczy nurt, który można by stopniowo wmontować w system PRL. Dlatego Kania przestrzegał towarzyszy z MSW – pracujących do siłowej rozprawy – że „szturmem nie da się niczego rozwiązać”, a w „naszych poczynaniach wewnętrznych musimy brać pod uwagę, jakie one mogą wywołać reperkusje na Zachodzie”. W tym kontekście zaznaczył, że „by istnieć, trzeba pożyczyć w tym i przyszłym roku 10 mld dolarów”.

Praktyczna realizacja doktryny Kania polegała na dzieleniu Solidarności przy pomocy dwóch metod: zmasowanej pro-

pagandy (prowadzonej przez pozostające pod kontrolą władz niemal wszystkie media) i tzw. strategii odcinkowych konfrontacji. Założenia tej ostatniej opracowano w MSW jeszcze w grudniu 1980 r.: polegała na „stosowaniu skutecznej dolegliwości represyjnej wobec przywódców i ośrodków kierowniczych”, z czym miały zostać „zsynchronizowane akcje polityczne i propagandowe”.

W praktyce chodziło o prowokowanie konfliktów o ograniczonej skali, a następnie wykorzystanie ich do zastraszenia działaczy Solidarności bądź do kompromitowania ich w oczach opinii publicznej (część konfliktów wywoływała też oczywiście sama Solidarność, domagając się np. dymisji skompromitowanych lokalnych notabli). Te konflikty były z kolei podsycane drogą przewlekłych negocjacji, mających zmęczyć działaczy związkowych.

Upadek

Realizacja doktryny Kania nie doprowadziła do osiągnięcia głównego celu: mimo narastających sporów wewnętrznych, podsycanych przez Służbę Bezpieczeństwa, Solidarność nie uległa rozpadowi. W tej sytuacji Kania, nie godząc się w dalszym ciągu na wprowadzenie stanu wojennego, zmagał się z narastającą krytyką.

W czerwcu 1981 r. udało mu się – głównie dzięki poparciu Jaruzelskiego – przetrwać próbę usunięcia go ze stanowiska, podjętą przez inspirowaną z Moskwy grupę „twardogłowych” pod wodzą Tadeusza Grabskiego. W lipcu, na IX nadzwyczajnym zjeździe PZPR, został wprawdzie poparty przez większość delegatów – ale okazało się, że nie ma to większego znaczenia: w tym czasie bowiem, pod presją Kremla, opuszczali go kolejni stronnicy, w tym Jaruzelski, który stracił przekonanie, że strategia Kania przyniesie sukces. Pozycję I sekretarza podkopywały też plotki, że nadużywa on alkoholu.

Wreszcie 17 października 1981 r. – na posiedzeniu Biura Politycznego, zwołanym w przerwie obrad IV Plenum KC PZPR, w trakcie którego po raz kolejny ostro atakowano go za nieudolność – Kania oświadczył: „W świetle tego, co jest, zgłaszam rezygnację. Jeśli plenum ją przyjmie, odchodzę”.

Głosowanie nad wotum zaufania dla Kania nie wypadło dla niego pomyślnie: przegrał je stosunkiem 104 do 79 głosów. Jednak ten wynik pokazuje, że jego dok-

Panu Prezesowi

Wojciechowi Starowiejskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i kondolencje z powodu śmierci
Matki

składają pracownicy

AQUAFORM INC. SP. Z O.O.

POZEGNANIE

tryna wciąż miała wielu zwolenników we władzach PZPR. Gdyby zatem Kania trwał na stanowisku, nie poddając pod głosowanie swojej rezygnacji, stan wojenny wciąż pozostawałby w sferze planów. Mimo osłabienia PZPR w strukturze aparatu władzy PRL, rozpoczęcie tej operacji bez zgody przywódcy partii rządzącej było wtedy niewyobrażalne.

18 października Kanię zastąpił Jaruzelski, łącząc funkcję pierwszego sekretarza z funkcją premiera (pełnił ją od lutego 1981 r.) oraz ministra obrony. Ciąg dalszy jest znany.

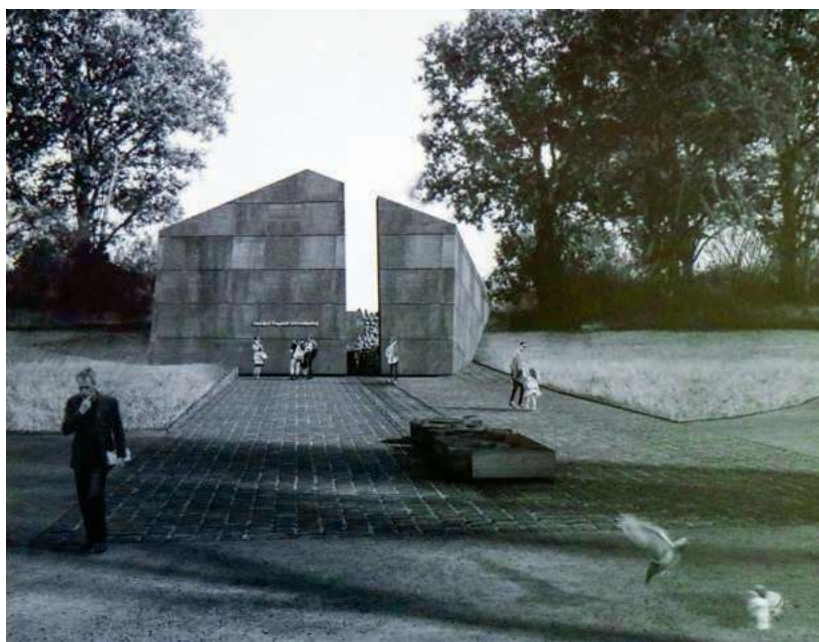
Ostatnie lata

Końcowy okres PRL-u Kania spędził w roli posła, a przez kilka lat także członka Rady Państwa. W wyborach czerwcowych 1989 r. znalazł się na tzw. liście krajowej (obejmowała eksponowanych przedstawicieli władz). Jego kandydatura przepadła, podobnie jak niemal wszystkich osób z listy krajowej. Uzyskał wówczas jeden ze słabszych wyników na liście, co nie zmienia faktu, że głosowało nań blisko 6 mln Polaków.

Ponieważ Kania podpisał w marcu 1981 r. dokument wieńczący najważniejszy etap przygotowań do stanu wojennego, prokuratorzy pionu śledczego IPN – wbrew faktom historycznym – postawili go, wraz z Jaruzelskim i Kiszcziakiem, na ławie oskarżonych w procesie autorów stanu wojennego. Broniąc się, w 2013 r. Kania zeznał, iż jesienią 1981 r. Polsce nie groziła sowiecka interwencja zbrojna (tym samym podważył wersję Jaruzelskiego). Sąd podzielił opinię historyków zajmujących się tym okresem i ostatecznie go uniewinnił. Jednak za nadzorowanie aparatu represji w latach 70. Kania nigdy nie usłyszał zarzutów.

Musiał natomiast przez 30 ostatnich lat życia oglądać, jak Polska ma coraz mniej wspólnego z PRL, której był jednym z najbardziej zaangażowanych budowniczych. © ANTONI DUDEK

PROF. ANTONI DUDEK (ur. 1966) jest historykiem i politologiem, wykładowcą UKSW. W latach 2010-16 członek Rady IPN, autor kilkunastu książek o historii Polski w drugiej połowie XX wieku. Ostatnio wydał „Od Mazowieckiego do Suchockiej. Pierwsze rządy wolnej Polski” (Znak 2019).



ANDRZEJ SZNAJDER

Wizualizacja pomnika ofiar deportacji, który ma stanąć w Katowicach. Projekt Michała Dąbka i Jana Kuka wygrał w konkursie ogłoszonym przez władze Katowic w 2017 r.

Milczenie przełamywane

ANDRZEJ SZNAJDER

Daleki jestem od przekonania, że w sprawie Tragedii Górnośląskiej zrobiono wszystko. Ale teza, że otacza ją „wielkie zmilczenie”, jest niesprawiedliwa dla ludzi, którzy pracują nad jej upamiętnieniem.

TO PRAWDZIWA DZIŚ RZADKOŚĆ PRZECZYTAĆ w ogólnopolskim tygodniku opinii tekst poświęcony zawiłościom wojennej i powojennej historii Górnego Śląska. Mowa o artykule Zbigniewa Rokity „Wielkie zmilczenie” („TP” nr 9/2020 oraz na powszech.net/zmilczenie). Może warto potraktować więc ten tekst również jako punkt wyjścia do dyskusji – o tamtym czasie i pamięci o nim.

Wypada zgodzić się z opinią autora, że pojęcie Tragedii Górnośląskiej pozostaje szerszej opinii w Polsce nieznane. Wynika to zapewne stąd, że pojęcie to ukuli publicyści, a nie historycy; bardziej odwołuje się ono do emocji niż do faktów. Przede wszystkim jednak jest ono niejednoznaczne, a poza Śląskiem niezrozumiałe.

1200 rozstrzelanych

Warto zwrócić uwagę, rozwijając poszczególne wątki z tekstu Rokity, że

traumatyczny dla Górnego Śląska rok 1945 to nie tylko obóz w Świętochłowicach-Zgodzie i nie tylko deportacje Ślązaków do Związku Sowieckiego. To również cała sekwencja zdarzeń i procesów, których kulminacją miała miejsce w 1945 r. Chodzi zatem najpierw o zbrodnie żołnierzy Armii Czerwonej, wkraczających na Górny Śląsk. Następnie – wywózki do pracy przymusowej w Związku Sowieckim, osadzanie w obozach, wreszcie wysiedlenie mieszkańców Śląska uznanych przez władze komunistyczne za Niemców. Jak również proceder gwałtów i grabieży, a także demontażu i wywozu do Związku Sowieckiego całych fabryk, maszyn i urządzeń przemysłowych, a nawet surowców.

Symbolem ówczesnych zbrodni sowieckich na ludności cywilnej na Górnym Śląsku jest niewątpliwie masakra mieszkańców Miechowic (obecnie to

→ dzielnica Bytomia). W trakcie zdobywania tej miejscowości, między 25 a 27 stycznia 1945 r., wymordowano co najmniej 230 mieszkańców. W podobny sposób dokonano mordów na co najmniej 69 mieszkańcach Przyszowic. Liczbę cywilnych ofiar po zdobyciu Gliwic, rozstrzelanych bestialsko przez sowieckich żołnierzy, szacuje się na ponad 1200 osób.

Gwałty: poza sferę badań

Podobnie gdy mowa o obozie w Świętochłowicach. Owszem, „Zgoda to symbol” – jak pisze Zbigniew Rokita. Ale trzeba pamiętać, że w latach 1945-56 powstało ponad 200 takich obozów (oficjalnie: pracy przymusowej) dla ludności uznanej za niemiecką i oczekującej na „rehabilitację”. Tę liczbę należy powiększyć o obozy przejściowe, wysiedleńcze i jeńskie. Jeszcze w 1948 r. Międzynarodowy Czerwony Krzyż przedstawił wykaz 183 takich miejsc. Tego typu obozy na Śląsku były zresztą częścią komunistycznego systemu obozów tworzonych w całej Polsce, których symbolami są także Łambinowice i Jaworzno, Rembertów pod Warszawą czy Potulice koło Bydgoszczy.

O ile na temat obozów mówią dziś dokumenty i świadkowie, o tyle skala sowieckich gwałtów na kobietach i dziewczętach – zresztą nie tylko na Śląsku – pozostaje do dziś niemal zupełnie poza sferą badań historyków. Zachowały się one jednak – jednostkowo, w historii rodzinnej, o czym pisze zresztą Zbigniew Rokita – w pamięci kolejnego pokolenia mieszkańców Śląska. Podobnie jak rabunki i rozboje.

Bez wątplenia największą traumą dla znaczącej liczby mieszkańców Górnego Śląska pozostaje do dziś wywózka na prace przymusowe na Wschód. Od lutego do kwietnia 1945 r. władze sowieckie prowadziły akcję deportacji (głównie mężczyzn) w wieku od 17. do 50. roku życia – do Zagłębia Donieckiego i Naddniestrzańskiego oraz na Białoruś, Syberię i do Kazachstanu. Podobnie zresztą jak to miało miejsce na Pomorzu Nadwiślańskim, ale także w Rumunii, Jugosławii, Bułgarii, Czechosłowacji i na Węgrzech.

Pożegnanie z milczeniem

Nie sposób natomiast zgodzić się z tytułową tezą artykułu Zbigniewa Rokity, jakoby historie te pozostawały obiektem

„wielkiego zmilczenia”. Owszem, prawdą jest, że do samego niemal końca PRL nie było możliwe prowadzenie badań naukowych, publikowanie, a nawet najdrobniejsze choćby próby publicznego upamiętniania ofiar tamtego komunistycznego bezprawia. Natomiast z całą pewnością teza ta jest nieprawdziwa w odniesieniu do minionych 30 lat.

Przełomem w procesie przełamywania milczenia był przedruk z początku 1990 r. na łamach branżowej gazety „Górnika” jednej z list deportowanych w 1945 r. górników. Wywołał on ogromny rezonans społeczny i spowodował wysyp publikacji w prasie regionalnej i lokalnej: w „Trybunie Robotniczej”, „Życiu Bytomskim”, „Głosie Zabrza i Rudy Śląskiej”. Już wtedy, na łamach tej ostatniej gazety, Muzeum Miejskie w Zabrzu zaczęło wzywać mieszkańców do przekazywania materiałów i relacji o deportacjach.

W grudniu 1991 r. zarejestrowano – działające prężnie do dziś – Stowarzyszenie Pamięci Tragedii Śląskiej w 1945 r. z siedzibą w Knurowie. W styczniu 1995 r. Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego podjął uchwałę „w sprawie przyjęcia oświadczenia w 50. rocznicę masowych deportacji mieszkańców Górnego Śląska na katorgę do łagrów sowieckich”.

Od 2000 r., tj. od chwili powstania Instytutu Pamięci Narodowej, tematyka deportacji i obozów na Śląsku była jednym z głównych tematów projektów badawczych, edukacyjnych i wystawienniczych oraz śledztw w katowickim oddziale IPN. Już w 2002 r. ukazała się jedna z pierwszych publikacji: „Obóz Pracy w Świętochłowicach w 1945 r. Dokumenty, zeznania, relacje, listy”. Równolegle edukatorzy IPN prowadzili szkolenia dla kilkuset nauczycieli, a do szkół trafiła pierwsza teka edukacyjna na ten temat.

W 2003 r. w Muzeum Górnos Śląskim w Bytomiu – pod patronatem wojewody śląskiego, marszałka województwa śląskiego, prezydenta Katowic oraz biskupów katowickiego i gliwickiego – otwarto wystawę przygotowaną przez IPN pt. „Deportacje Górnos Ślązaków do ZSRR w 1945 r.”. Przez następne 10 lat odwiedziła ona kilkadziesiąt miast i miejscowości na Górnym Śląsku. Po czym, po gruntownej przebudowie, przybrała postać stałej ekspozycji w Centrum Dokumentacji Deportacji Górnos Ślązaków do ZSRR w 1945 r. Centrum powstało

w 2015 r. w Radzionkowie, staraniem burmistrza tego miasta Gabriela Tobora i przy finansowym wsparciu 30 samorządów śląskich miast i gmin. W otwarciu Centrum uczestniczył prezydent Bronisław Komorowski.

Przywołani po imieniu

W ciągu tych prawie 20 lat IPN był również inicjatorem kilku konkursów historyczno-literackich adresowanych do uczniów oraz dorosłych. Zebrany został pokaźny zbiór dokumentacji (w tym relacji filmowych) ostatnich żyjących świadków. Na ich podstawie powstały filmy dokumentalne: „Przemilczana tragedia” (2004) i „Tragedia Górnos Śląska 1945” (2015).

Owocem badań naukowych prowadzonych w IPN jest kilkanaście książek: naukowych, popularnonaukowych, edycji źródeł oraz trzy teki edukacyjne. Zwieńczeniem natomiast będzie imienny spis deportowanych do Związku Sowieckiego. Dzięki kilkunastoletnim badaniom historyków z katowickiego IPN znamy dziś nie tylko ich liczbę (46 tys. osób), lecz również imiona i nazwiska, miejsca pobytu, daty śmierci lub powrotu do Polski. Będzie to jednocześnie jeden z nielicznych w polskiej historiografii tego typu imienny spis ofiar systemu komunistycznego.

Pamięć o deportacjach ma także swój wyraz w przestrzeni publicznej Górnego Śląska. W dziesiątkach można już liczyć różne formy upamiętnienia: tablice memoratywne, obeliski, nazwy ulic. W Katowicach, nieopodal Muzeum Śląskiego, niebawem stanie monumentalny pomnik ofiar deportacji.

Daleki jestem od przekonania, że w sprawie Tragedii Górnos Śląskiej zrobiono już wszystko. Doprawdy jednak trudno znaleźć w naszej niedawnej przeszłości inny temat, który poruszyłby świadomość społeczną danego regionu w sposób porównywalny do tego, co wydarzyło się w tej sprawie na Śląsku.

© ANDRZEJ SZNAJDER

Autor (ur. 1965 w Chorzowie) jest historykiem, od 2014 r. dyrektorem Oddziału IPN w Katowicach. W latach 80. działacz opozycji demokratycznej na Śląsku, internowany w stanie wojennym. Autor publikacji o strajkach na Śląsku i tamtejszym Kościele katolickim w czasach PRL.

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

TYGODNIK
POWSZECHNY

1/2020



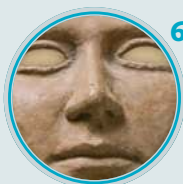
ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

TEORIE WŚWYST KIEGO





- 63** Wszechświat i jego człowiek
TOMASZ MILLER
Kosmiczne zbiegi okoliczności



- 66** Czego nie można zrozumieć
Rozmowa z Bartoszem Brożkiem, ks. Michałem Hellerem i Jerzym Stelmachem



- 70** Bolesne przebudzenie
ŁUKASZ LAMŻA
Marzenie o teorii ostatecznej



- 74** Co z tym kosmosem
ŁUKASZ LAMŻA, LECH MAZURCZYK
Wybuch, rozszerzanie, kolaps, rozmnażanie...



- 76** W poszukiwaniu fundamentów
MICHAŁ ECKSTEIN
Długa droga do jednej fizyki



- 80** Oblicza symetrii
WOJCIECH GRYGIEL
Symetria i jej brak jako czynnik stwórczy



- 82** Utkany z czasu i przestrzeni
SEBASTIAN SZYBKA
Czy wszechświat to czysta geometria?

Redakcja: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża, Tomasz Miller
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Grażyna Makara, Edward Augustyn Infografika: Lech Mazurczyk
Skład: Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski / ANDREW OSTROVSKY/ADOBE.STOCK.COM



Projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo” realizujemy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust. Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, Łukasz Lamża zaś jest redaktorem serii wydawnictw.



ŁUKASZ LAMŻA



**ZROZUMIEĆ
WSZECHŚWIAT**



**REWOLUCJA
NEURONAUKOWA**



**WARTOŚCI
DZIŚ**



**SPOŁECZEŃSTWO
I KOMUNIKACJA**

Ależ byłoby wspaniale mieć teorię wszystkiego! Taką, która nie wyjaśnia tylko tego i owego, ale... no właśnie: wszystko. Czy to możliwe?

Naukowcy terminem „teoria wszystkiego” określają nieistniejącą jeszcze konstrukcję, z której wynikałyby wszystkie teorie fizyki, a być może i całość nauk przyrodniczych. W szczególności dałoby się z niej wywieść pełen opis pól i cząstek elementarnych – a więc tego, co najmniejsze w świecie – oraz prawideł rządzących wszechświatem w skali najszerzej. Być może z takiej „teorii wszystkiego” nie uzyskalibyśmy przepisu na szarlotkę idealną i porad, jak dobrze wychować dziecko, wciąż jednak byłby to fenomenalny wyczyn umysłu ludzkiego. Stąd dekady prób zakorzenienia fizyki w czymś jeszcze

głębszym: może będzie to geometria (o czym pisze Sebastian Szybka), a może pojęcie symetrii (zob. tekst Wojciecha Grygiela). Z projektem tym jest jedynka sporo problemów. W dialogu Jerzego Stelmacha, Michała Hellera i Bartosza Brożka pada pytanie, jak daleko może sięgnąć ludzki rozum. Michał Eckstein zastanawia się, co właściwie w praktyce wynikłoby z zespolenia całej fizyki. Tomasz Miller zadaje kłopotliwe pytanie o miejsce człowieka w kosmosie, a ja sam opowiadam o książce Stevena Weinberga, „Śnie o teorii ostatecznej”, w której ów wybitny fizyk rozlicza się w teorii i praktyką „ostatecznych wyjaśnień”.

Ale czego właściwie powinna się spodziewać naga małpa, która uparła się, aby wyjaśnić wszystko? Że będzie łatwo? ©P

Opinie wyrażone na łamach niniejszej publikacji należą wyłącznie do ich autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska Templeton Religion Trust.

Aula Uniwersytetu Mikołaja
Kopernika w Toruniu,
kompozycja Stefana Knappa
„Mikołaj Kopernik”, 1973 r.

Wszechświat i jego człowiek

TOMASZ MILLER

**Czy to, że istniejemy,
mówi nam coś na temat
praw przyrody? Fizycy od
pół wieku toczą mniej
lub bardziej poważne
spory o tzw. zasadę
antropiczną.**

Kraków, 12 września 1973 r., ostatni dzień wielkiej konferencji kosmologicznej zorganizowanej przez Międzynarodową Unię Astronomiczną z okazji 500. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Brandon Carter, zdolny *postdoc* z Cambridge, wcale nie miał wygłaszać wykładu, ale wrobił go w to John Wheeler. Ów wybitny fizyk (i były szef Cartera) dwa dni wcześniej nawiązał do jego wyników podczas plenarnej dyskusji po jednej z prelekcji, stwierdzając – z typowym dla siebie dramatycznym zacięciem – iż wyniki te „stawiają pytanie, czy człowiek nie jest uwikłany w strukturę Wszechświata w znacznie istotniejszym stopniu, niż to sobie wcześniej wyobrażano”. Po takiej zapowiedzi Carter nie mógł się wykręcić.

Przygotowany naprędce referat postulował przyjęcie w kosmologii nowej metodologicznej reguły – nazwanej „zasadą antropiczną” (ZA) – w myśl której każdy proponowany model Wszechświata powinien uwzględniać fakt, że my, ludzie (gr. *anthropoi*), istniejemy. Brzmi dość ➔

→ rozsądnie, by nie rzec: banalnie. O co więc całe zamieszanie?

Kosmiczne koincydencje

Aby zrozumieć, o co chodziło Carterowi, cofnijmy się do przełomu lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Fizycy i astronomowie zaczęli wtedy zauważać w kosmologii pewne intrygujące „liczbowe zbiegi okoliczności”. Jeden z nich dotyczy dwóch rodzajów sił między protonami i elektronami: grawitacyjnej i elektrostatycznej. Stosunek pierwszej do drugiej wynosi około $1:10^{40}$ (jedyńka, po której następuje 40 zer). Okazało się, że liczba 10^{40} odnosi się także do wieku Wszechświata, wynikającego z rodzącej się właśnie teorii Wielkiego Wybuchu (wyrażonego w pewnych naturalnych jednostkach). Niewyjaśniona zbieżność tak ogromnych liczb nie dawała spokoju Paulowi Diracowi, jednemu z twórców mechaniki kwantowej. Wysunął on hipotezę, że musi między nimi istnieć ścisły związek. Zaproponował wzór, z którego zdawało się wynikać, że „stała” grawitacji wprowadzona przez Newtona w jego słynnym równaniu w istocie wcale nie jest stała, lecz maleje wraz ze starzeniem się Wszechświata. Według Diraca grawitacja miała z czasem bardzo powoli słabnąć.

Niebawem okazało się, że tego typu efekt przeczy zgromadzonym danym. Na rozwiązanie zagadki trapiącej Diraca trzeba było czekać aż do lat 60., kiedy amerykański astrofizyk Robert Dicke zwrócił uwagę na pewien oczywisty, lecz ignorowany dotąd czynnik uwikłany we wszystkie obserwacje astronomiczne: możliwość istnienia obserwatora.

„Jak dobrze wiadomo, węgiel jest niezbędny, by wyprodukować fizyka” – pisał Dicke. Tymczasem początkowo kosmos zawierał niemal wyłącznie wodór i hel. Musiało upłynąć wiele czasu, nim w wyniku reakcji termojądrowych we wnętrzach gwiazd pojawiły się cięższe pierwiastki (takie jak węgiel), które następnie wskutek eksplozji tych gwiazd „rozpyliły się” w przestrzeni międzygwiazdowej i weszły w skład formujących się planet, a potem ich ewentualnych mieszkańców. Analizując ówczesne modele powstawania i ewolucji gwiazd, Dicke był w stanie z grubsza oszacować, jak wiele czasu musiało w tym celu upłynąć. Jednocześnie zauważył, że kosmos zdalny do życia nie może też być zbyt stary – musi bowiem wciąż zawierać wystarczająco dużo pier-

Nasze położenie w czasie i przestrzeni nie jest do końca przypadkowe. W myśl słabej zasady antropicznej jest ono wyróżnione w obrębie Wszechświata.

A według silnej w obrębie... no właśnie, czego?

wotnego wodoru i helu, by nowe gwiazdy powstawały i świeciły, napędzając planetarną biochemię.

Okazuje się, że obliczone przez Dickego „zyciodajne” okienko kosmicznej historii jest stosunkowo wąskie i wiąże się ze stałą grawitacji Newtona dokładnie takim wzorem, jak podany przez Diraca. Wzór ten nie wyraża więc jakiegoś wiecznego prawa przyrody – nie był prawdziwy dawniej i nie będzie prawdziwy kiedyś. Wówczas jednak nie było/będzie nikogo, by to stwierdzić.

Może wydawać się zaskakujące, że przed Dickem prawie żaden kosmolog nie wpadł na to, by samo istnienie węgla, gwiazd i nas samych potraktować jako niezaprzeczalny fakt przyrodniczy, który nie tylko pozwala zrozumieć wcześniejsze obserwacje, ale może wręcz posłużyć do przewidywania nowych efektów fizycznych. Napisałem „prawie nikt”, albowiem trzeba wspomnieć o Fredzie Hoyle’u. Ten wybitny (i kontrowersyjny) kosmolog w 1953 r. zauważył, iż ówczesna wiedza o jądrze atomu węgla-12 – to, jakie konfiguracje może przyjmować jego 6 protonów i 6 neutronów – rozmija się z modelami reakcji termojądrowych w gwiazdach, podczas których ów pierwiastek miał powstawać. A skoro niewątpliwie powstaje (wszak jest wszędzie dookoła), to w naszej wiedzy czegoś ewidentnie brakuje. Hoyle wydedukował, że musi istnieć nieznan, wzbudzony stan jądra atomu węgla, i dość dokładnie obliczył nawet energię tego stanu. Zachęcenie przez niego doświadczalnicy niebawem potwierdzili jego przewidywania w laboratorium.

Dwie zasady Cartera

Zarówno wyjaśnienie zagadki Diraca przez Dickego, jak i błyskotliwa predyk-

cja Hoyle’a zdobyły w świecie nauki powszechne uznanie. A jednak to dopiero Brandon Carter, w obliczu kolejnych numerycznych koincydencji odkrywanych przez kosmologów, dostrzegł siłę tkwiącą w ich argumentacji. Taki sposób rozumowania nazwał „antropicznym” i podniósł go do rangi zasady. Wyróżnił przy tym dwie jej odmiany: słabą i silną.

Słaba ZA to po prostu morał z historii o Diracu i Dickem. Według Cartera należy „uwzględnić fakt, że nasze umiejscowienie we Wszechświecie jest z konieczności wyróżnione w takim stopniu, w jakim umożliwia nasze istnienie jako obserwatorów”. Choć od czasów Kopernika uczeni przywykli do tego, że Ziemia jest tylko jedną z miliardów planet w jednej z miliardów galaktyk, to nie jest też tak, że znajdujemy się zupełnie „był gdzie” i „był kiedy”. To, że żyjemy, nakłada silny efekt selekcji na owo „gdzie” i „kiedy” w ewoluującym Kosmosie.

Silna ZA różni się od słabej tym, że odnosi się nie tyle do „naszego umiejscowienia we Wszechświecie”, ile do Wszechświata jako takiego. Ponownie oddajmy głos Carterowi: „Wszechświat (a zatem i fundamentalne parametry, od których zależy) musi być taki, by na pewnym etapie dopuszczać pojawienie się w nim obserwatorów. Parafrazując Kartezjusza: *cogito ergo mundus talis est* (myślę, więc świat jest taki, jaki jest)”. Podkreślimy, że słówko „musi” nie oznacza tu celowości, lecz czysto logiczne wynikanie (jak w zdaniu „X jest żoną, więc X musi być kobietą”). Innymi słowy, jeśli jakaś teoria fizyczna – np. model jądra atomu węgla – kłóci się z faktem istnienia obserwatorów (nas), to musi być błędna. Trzeba ją poprawić – jak zrobił to Hoyle – albo odrzucić jako obaloną. Jeśli tak na nią patrzeć, silna ZA nie wydaje się wykraczać poza zwykłą metodologię nauk empirycznych.

Nasze położenie w czasie i przestrzeni nie jest więc do końca przypadkowe. W myśl słabej ZA jest ono wyróżnione w obrębie Wszechświata. A według silnej ZA w obrębie... no właśnie, czego?

Inne wszechświaty

Carter był doskonale świadomy problemów z interpretacją silnej ZA. Dlatego w swoim wykładzie ilustrował ją za pomocą czysto formalnego pojęcia „zbioru wszechświatów” – modeli kosmologicznych o wszystkich możliwych warto-

ściach parametrów. Nie twierdził, że modele te opisują realnie istniejące „inne kosmosy”. Niemniej zakończył swój wykład stwierdzeniem, że jeśli silna ZA okaże się przydatna, a przewidzianych przez nią efektów nie uda się wyjaśnić w inny sposób, to trzeba będzie na poważnie rozważyć taką możliwość.

Historia potoczyła się jednak inaczej. Wielu badaczy, zainspirowanych ideą Cartera, przyjrzało się całej znanej fizyce pod kątem „dostosowania do życia”. Czy gdyby któreś ze znanych praw przyrody były inne, niż są, albo któreś parametry fizyczne miały inne wartości, niż mają, to wciąż byłoby możliwe powstanie galaktyk/gwiazd/życia/cywilizacji technicznej?

Choć trudno tu o kategoryczną odpowiedź (o czym za chwilę), to wydaje się, że nasz Wszechświat pod wieloma względami rzeczywiście jest „precyzyjnie dostrojony” (więcej w ramce) – zgodnie z silną ZA. Nic zatem dziwnego, że wkrótce pojawiły się nowe ujęcia i interpretacje tej zasady, z których większość jest, delikatnie mówiąc, wysoce spekulatywna. Obecnie zdecydowaną faworytką wśród nich jest tzw. hipoteza wieloświata.

Wieloświat (*multiverse*) to zasadniczo Carterowski „zbiór wszechświatów”,

Czy gdyby któreś ze znanych praw przyrody były inne, niż są, albo któreś parametry fizyczne miały inne wartości, niż mają, to wciąż byłoby możliwe powstanie galaktyk/gwiazd/życia/cywilizacji technicznej?

który awansowano do realnego istnienia. Choć fizycy wypracowali przynajmniej kilka nierównoważnych sposobów rozumienia tego pojęcia, łączy je wizja naszego Wszechświata jako jednego z wielu kosmosów, będących z definicji poza zasięgiem naszych obserwacji. W owych „wszechświatach równoległych” stałe fizyczne mogą mieć zupełnie inne wartości, a w konsekwencji przytłaczająca większość z nich jest zupełnie niezdatna do powstania życia. Z tego punktu widzenia nie jest niczym zaskakującym ani tajemniczym, że nasz Kosmos wydaje się „precyzyjnie dostrojony” – stanowi bo-

wiem oazę (zapewne nie jedyną) na jałowej metakosmicznej pustyni.

Choć powyższa idea brzmi jak *science fiction*, spekulacje na temat wieloświata wpisują się w niektóre współczesne teorie fizyczne, takie jak teoria inflacji (czyli przyspieszonej ekspansji bardzo młodego Wszechświata) czy teoria strun.

Dodatnia stała

Mimo upływu niemal półwiecza wizja Cartera jak dotąd się nie ziszcila. Choć uczeni odkryli przejawy „precyzyjnego dostrojenia” w wielu obszarach fizyki fundamentalnej, nie dokonywali predykcji (jak Hoyle), a jedynie znacznie mniej spektakularnych retrodykcji – podawali antropiczne uzasadnienia niektórych uprzednio znanych faktów. Z jednym wyjątkiem.

W 1997 r. Steven Weinberg – fizyk-noblista, a przy tym początkowo zagorzały krytyk ZA – wraz z dwoma współpracownikami oszacowali wartość tzw. stałej kosmologicznej (zobacz: ramka). Wychodząc z pewnej wersji hipotezy wieloświata, wyliczyli, iż wartość tej stałej w naszym Wszechświecie powinna być nieznacznie dodatnia, wbrew powszechnemu wówczas przekonaniu, że wynosi zero. Co ciekawe, ich artykuł →

Precyzyjne dostrojenie

BRYTYJSKI ASTRONOM MARTIN REES

wymienia sześć najważniejszych „precyzyjnie dostrojonych” (*fine-tuned*) liczb opisujących nasz Wszechświat, które gdyby miały inne wartości, to najpewniej nie powstałyby galaktyki, gwiazdy, planety i życie.

$N \approx 10^{36}$ – tyle razy słabsza jest siła przyciągania grawitacyjnego między dwoma protonami od siły ich elektrostatycznego odpychania. Gdyby grawitacja nie była aż tak słaba, Wszechświat wyglądałby zupełnie inaczej i raczej nie mogłyby w nim powstawać żadne złożone struktury.

$E \approx 0,7\%$ – taki procent masy zamienia się w energię podczas transmutacji 4 jąder wodoru w jądro helu-4, co przekłada się bezpośrednio na efektywność reakcji termojądrowych we wnętrzach gwiazd. Gdyby ten procent był nieco mniejszy, reakcje te by nie zachodziły i wódór byłby jedynym pierwiastkiem w kosmosie. Gdyby był większy, niemal cały wódór „spaliłby się” tuż po Wielkim Wybuchu.

$\Omega \approx 1$ – wyraża średnią gęstość materii (zwykłej i ciemnej) oraz energii (w tym ciemnej) we Wszechświecie w wielokrotnościach tzw. gęstości krytycznej. Gdyby

Wszechświat był nieco gęstszy, szybko zapadłby się w sobie pod wpływem własnej grawitacji.

Gdyby był nieco rzadszy, rozszerzałby się zbyt szybko i wszelkie załączki galaktyk i gwiazd „rozpierzchałyby się” w pęczniącej przestrzeni.

$\Lambda \approx 3 \cdot 10^{-122}$ – to stała kosmologiczna wyrażona w tzw. układzie jednostek Plancka. Opisuje wpływ tajemniczej ciemnej energii na rozszerzanie się Wszechświata. Gdyby była większa, efekt byłby taki, jak w przypadku Ω mniejszej od 1 – ekspansja zachodziłaby zbyt szybko, aby mogły powstać stabilne galaktyki.

$Q \approx 1 : 100\,000$ – tyle wynosiłyby względne zagęszczenia i rozrze-

dzenia materii i energii w bardzo wczesnym Wszechświecie. Pod wpływem własnej grawitacji zagęszczenia te zapadały się, tworząc pierwsze galaktyki. Gdyby więc ich nie było, kosmos byłby do dziś wypełniony jednorodnym, rzadkim obłokiem wodoru i helu. Z kolei gdyby pierwotne niejednorodności były większe, wszelkie skupiska materii już dawno zmieniłyby się w czarne dziury.

$D = 3$ – to liczba wymiarów przestrzennych. Wszechświat o mniejszej liczbie wymiarów byłby „zbyt ciasny” dla tak skomplikowanych układów fizycznych jak organizmy żywe. Z kolei w większej liczbie wymiarów orbity planet, a także orbitale elektronowe byłyby niestabilne. ©

→ bazował na wcześniejszych pracach Weinberga, które pisał m.in. z zamiarem wykazania bezużyteczności ZA w formułowaniu przewidywań kosmologicznych. Gdy rok później odkryto przyspieszającą ekspansję Wszechświata i na tej podstawie po raz pierwszy dokładnie zmierzono wartość stałej kosmologicznej, okazała się ona dość blisko odpowiadać wynikowi Weinberga i jego kolegów.

Wielu uczonym to pojedyncze trafne przewidywanie nie wystarczy, aby uznać silną ZA i wieloświat za element naukowego obrazu świata. Uczni ci zarzucają tym koncepcjom – nie bez słuszności – niewielką moc wyjaśniającą oraz zasadniczą niefalsyfikowalność (co oznacza, że nie są one podatne na żaden test empiryczny). Zauważają, że nawet jeśli zgodzimy się z tym, iż jakiś parametr fizyczny ma taką, a nie inną wartość, bo w przeciwnym razie by nas nie było, to wciąż może istnieć głębsze wyjaśnienie nieuciekające się ani do mglistej „możliwości istnienia obserwatorów”, ani do mnożenia wszechświatów ponad potrzebę. Wreszcie, licznych krytyków ma sama realność „precyzyjnego dostrojenia” stałych fizycznych. Część z nich przekonuje, że przyszłe teorie mogą w ogóle nie zawierać tylu swobodnych parametrów – część z nich może okazać się zbędna niczym epicykle w astronomii po Keplerze i Newtonie. Inni zauważają, że zbyt mało wiemy o możliwych formach życia, by orzekać o jego niemożliwości w hipotetycznych światach rządzących się alternatywną fizyką i chemią.

Nawet jeśli zasada antropiczna ostatecznie nie trafi do podręczników fizyki i kosmologii, to faktem jest, iż owo banalne, metodologiczne zalecenie Cartera stało się źródłem gorących dyskusji i śmiałych spekulacji na styku fizyki, kosmologii, biologii, filozofii, a nawet teologii. Można się z nimi zgadzać lub nie, ale tak właśnie wygląda nauka *in statu nascendi*.

Musi – inaczej by jej nie było.

© TOMASZ MILLER

Czego nie można zrozumieć

MICHAŁ HELLER, KOSMOLOG:

**Uprawiamy naukę po to, by zrozumieć świat.
Ale to sam świat zakodował w nas instynkt rozumienia.
Wolimy nawet pseudowyjaśnienia od sytuacji,
gdy czegoś nie potrafimy pojąć.**

ŁUKASZ KWIATEK: Rozumiem teorie względności. Rozumiem sztukę współczesną. Rozumiem język arabski. Rozumiem, dlaczego ktoś ogląda „Wiadomości” TVP... Założmy, że naprawdę to wszystko rozumiem. Czy kryje się za tym jeden proces rozumienia, czy to tylko język wodzi nas za nosy?

MICHAŁ HELLER: Mamy jeden organ rozumienia, czyli mózg, choć możemy się nim posługiwać na różne sposoby. Już to nam sugeruje jakąś odpowiedź. Wydaje mi się, że rozumienie w matematyce jest czymś innym od rozumienia sztuki, ale jedno i drugie ma jakiś wspólny mianownik. Staraliśmy się go ukazać w książce „Spór o rozumienie”, którą wspólnie we trzech napisaliśmy.

BARTOSZ BROŻEK: „Rozumienie” to tylko słowo – możemy je rozmaicie definiować. Dla mnie ciekawe nie są jednak spory definicyjne, a pytanie o mechanizmy stojące za różnymi procesami, które zwykle określamy mianem rozumienia. Z perspektywy ewolucyjnej trudno sobie wyobrazić, by za różne sposoby rozumienia nie odpowiadał jakiś wspólny mechanizm. Warto tutaj odwołać się do bardzo podstawowych przejawów rozumienia – np. jakiegoś prostego tekstu. Jeśli chcemy zrozumieć rozumienie bardziej wyrafinowanych wytworów kultury – takich jak choćby dzieła sztuki czy twierdzenia matematyczne – to powinniśmy zacząć od pytania, jaki mechanizm umożliwia nam rozumienie najczęstszych przypadków i sytuacji, których wszyscy doświadczamy podobnie.

JERZY STELMACH: I jaki to według ciebie mechanizm?

BB: Jednym z nich, być może najbardziej podstawowym, jest to, co kognitywiści nazywają symulacją mentalną. Badania pokazują, że gdy czytamy jakiś tekst, to nasz

mózg nie przetwarza poszczególnych zdań w jednym wyspecjalizowanym ośrodku językowym. W rozumienie tekstu zaangażowane są części mózgu, których używamy także do takich czynności jak poruszanie się, widzenie, odbieranie rzeczywistości innymi zmysłami. Charakter tych aktywności zależy od tego, czego dotyczy dany tekst. Jeśli to opis przyrody, nasz mózg będzie go przetwarzał przy użyciu kory wzrokowej. Jeśli opis akcji bramkowej z jakiegoś meczu – zaangażuje szczególnie korę ruchową. Przy czym symulacja nie towarzyszy wyłącznie przetwarzaniu języka – uruchamia się także wtedy, gdy obserwujemy jakąś sytuację albo myślimy o jakimś zagadnieniu. Oczywiście kluczowe pytanie, na które nie mamy jeszcze ostatecznej odpowiedzi, dotyczy tego, jak ten mechanizm działa w zetknięciu z bardziej abstrakcyjnymi tekstami czy problemami. I czy to ciągle ten sam mechanizm.

MH: Jeśli przyjmiemy najbardziej podstawową perspektywę, to możemy dojść do wniosku, że rozumienie jest niezbędne po to, by przeżyć. Wróćmy myślą do jakiegoś elementarnego doświadczenia. Idę ulicą i muszę postawić krok. Nie myślę o tym, ale to jest wbudowane w mój instynkt. Muszę rozumieć, że nie powinienem kroku postawić tak, żeby nogę złamać. Nasi przodkowie musieli rozumieć, że trzeba zdobyć pożywienie i jak je pozyskać. Bez rozumienia nie da się żyć. Jest niezbędnym składnikiem codziennego funkcjonowania. I nie chodzi tylko o to, żeby zrozumieć swojego towarzysza, ale żeby zrozumieć świat. Jak jest zbudowany – żeby tej nogi nie złamał. Ponieważ to takie elementarne i podstawowe, zakodował się w nas instynkt rozumienia. Wolimy nawet pseudowyjaśnienia od sytuacji, gdy czegoś nie potrafimy zrozumieć.

JS: Mnie się zawsze wydawało, że rozumienie jest pewnym procesem uniwersalnym, natomiast te różne rodzaje, typy rozumienia – to raczej zastosowania tego procesu. Od jakichś 35 lat piszę i mówię to samo: że nieporozumienie, które się tworzy w tej dziedzinie, związane jest z nierozpoznaniami pewnych rodzajów zastosowań rozumienia. Niektórych nigdy nie stosujemy, chociażby z powodu braku kompetencji lub lenistwa.

Natomiast nie zgodzę się do końca z Michałem, że rozumienie jest tak ważne dla przeżycia. Wydaje mi się, że to raport mniejszości. Wszyscy zastanawiamy się teraz nad napisaniem książki o głupocie – i mamy wiele przemyśleń na ten temat. Ogromna większość ludzi ma się tak dobrze nie dlatego, że rozumie, tylko dlatego, że nie rozumie. Ale to niekoniecznie coś złego. Mój współnik zawsze z żalem powtarza, że gdyby nie nasza kompetencja, zdolność do rozumienia i interpretacji przypadków trudnych, byłibyśmy znacznie bogatsi.

Spróbujmy sobie wyznaczyć minimalny przedmiot rozumienia

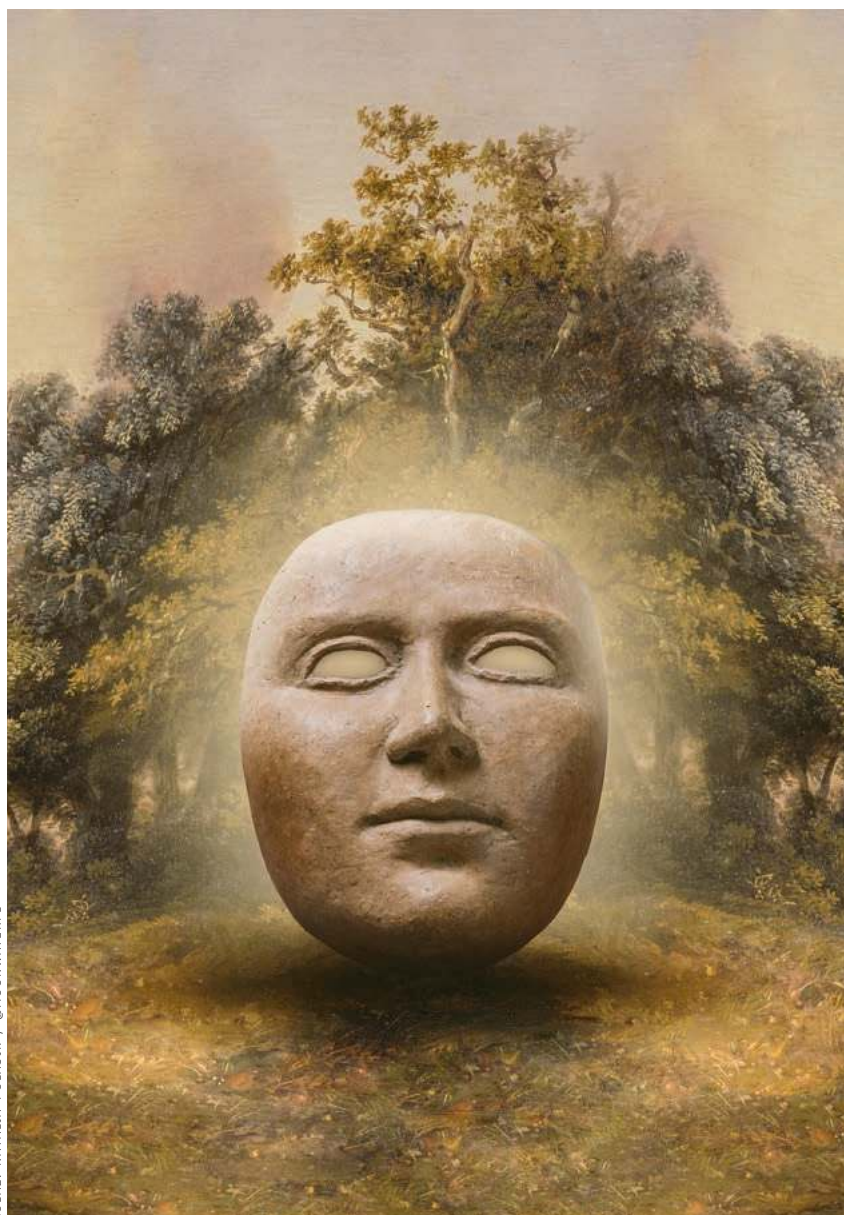
– do czego może się ono odnosić.

Prof. Heller mówił o rozumieniu bardzo szeroko – takie ujęcie obejmowałoby każdą istotę żywą. Każdy organizm, od bakterii do małpy, musi przecież jakoś odnajdywać się w środowisku. Jednak wiele zachowań związanych z przeżyciem odbywa się poza kontrolą świadomości. Niektórzy pacjenci słynnego neurologa Olivera Sacksa faktycznie musieli non stop patrzeć na swoje nogi, bo inaczej się przewracali. Zdrowi ludzie chodzą jednak bez świadomej kontroli nad każdym krokiem. Po prostu idą i mogą myśleć o niebieskich migdałach albo o problemach matematycznych. Zastanawiam się więc, czy można w ogóle mówić o rozumieniu poniżej progu świadomości.

MH: Moja świadomość chyba rośnie, dlatego że dawniej się nie zastanawiałem, jak mam postawić nogę, a teraz jak się nie zastanawiam, źle się to kończy.

Zgadza się z Bartkiem, że trzeba szukać prostych przypadków, żeby zrozumieć skomplikowane zagadnienie. Można to robić na różne sposoby. Próbą uproszczenia tego zagadnienia było poszukiwanie tzw. definicji operacyjnej rozumienia. Sięga to do przemyśleń twórcy

KOLAŻ: NATALIA POLASIK / @MOONWATERPL



informatyki, Alana Turinga. Wyobraźmy sobie, że rozmawiam z komputerem. On odpowiada. Ale ja nie wiem, czy za komputerem siedzi człowiek, czy maszyna jest inteligentnie zaprogramowana. Jeśli po jakimś czasie nie będę umiał stwierdzić, że jest to komputer, to mam prawo powiedzieć, że on mnie rozumie. Ta operacyjna definicja jest bardzo prosta, odrzuca cały bagaż neurologiczny, jakim pojęcie rozumienia jest obciążone. Ale ona działa, bo gdy informatycy chcą stworzyć sztuczną inteligencję, to rzeczywiście stosują ten test. Choć oczywiście takie podejście rodzi wielkie spory.

BB: Stąd się wziął słynny eksperyment myślowy Johna Searle'a. Pewna osoba siedzi zamknięta w pokoju, do którego

któs dostarcza kartki zapisane chińskimi symbolami. Ta osoba nie zna chińskiego, ale w pokoju na stoliku leży wielka księga zawierająca rozmaite instrukcje w języku dla tej osoby zrozumiałym: jeśli zobaczysz takie a takie chińskie symbole, to powinienes narysować takie a takie chińskie symbole i oddać kartkę pod drzwiami. Searle pyta, czy jeśli w pokoju jest ktoś, kto skrupulatnie wykonuje te instrukcje, to czy moglibyśmy powiedzieć, że ten ktoś rozumie język chiński. Intuicyjnie powiemy, że nie – po prostu bezwiednie kopiuje symbole zgodnie z instrukcją, nie wiedząc nawet, że poprawnie odpowiada na pytania. W zamyśle Searle'a „chiński pokój” to dobra metafora komputera.



→ Komputer też dostaje pewien ciąg symboli na wejściu, korzysta z instrukcji – czyli sprawdza, którymi symbolami zastępować inne symbole – i daje jakieś symbole na wyjściu. Searle powiedziałby więc, że nawet jeśli nie rozpoznamy w teście Turinga, że mamy do czynienia z komputerem, a nie człowiekiem, to i tak nie możemy uznać, że ten komputer myśli. On tylko reaguje na symbole zgodnie z instrukcjami.

MH: Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że użyłeś właśnie zamienienia słów „myśli” i „rozumie”. Czy to jest to samo?

BB: Dla mnie to znowu spory o słowa – dlatego to nie jest ciekawe pytanie. Ale wiem, dlaczego tak powiedziałem. W słynnym artykule, w którym pojawiła się idea wspomnianego testu, Turing zadał faktycznie pytanie o to, czy komputer myśli, a nie czy rozumie. Jednak powinniśmy szukać mechanizmów, a nie spierać się o definicje pojęć, bo to moglibyśmy robić do końca świata i nigdzie nie dojdziemy.

MH: Chcąc zidentyfikować mechanizmy, które za coś odpowiadają, trzeba umieć je nazywać, żeby wyciągnąć odpowiednie wnioski. Słowa są więc ważne. A problem sam w sobie jest ciekawy: czy myślenie i rozumienie to jest to samo? Czy można nie rozumieć własnych myśli? To przyczynek do teorii głupoty, o której mówił prof. Stelmach.

JS: Mnie interesuje rozumienie w zastosowaniach. Ono układa się w triadę. Rozumienie jest urzeczywistnione w interpretacji. A interpretacja dokonuje się tylko w języku. Nie jest to jakieś bardzo oryginalne – w różnych nurtach hermeneutyki taki pogląd był już ugruntowany w XIX i XX w.

Moje zainteresowanie rozumieniem zaczyna się więc tam, gdzie Bartka się kończy. Nie ma między nami ścisłego sporu. Jednak mnie przypadki proste, o których mówicie, nie interesują tak bardzo.

Nie absolutyzuję rozumienia, uważam je za przebłysk – umysłu, rozumu czy inteligencji – ale dopiero gdy pojawi się przypadek trudny. Jest w hermeneutyce taki nurt, który głosi, że rozumienie jest aktem ontologicznym, aktem istnienia. Że bez rozumienia nie ma indywidualnego bytu. Ja bym nie przesadzał. To naprawdę nie jest jakiś rodzaj lekceważenia innych, gdy mówię o powstrzymywaniu się przez nich od pewnego rodzaju inte-

lektualnej aktywności, o większym dystansowaniu się.

Czyli w książce „Spór o rozumienie”, którą wspólnie napisaliście, spór dotyczy głównie trudnych i łatwych przypadków?

JS: Spór dotyczy pojęcia. Nasza książka przedstawia trzy różne koncepcje, wizje czy rozważania na temat rozumienia. One nie są sporne – są różne. Myślę, że jakąś wartością tej książki jest pokazanie, że można prowadzić taką niekonfliktową dyskusję i w dowolny sposób ustawiać jej granice.

MH: Trzeba wyjaśnić słowo „spór”. W filozofii jakiegokolwiek problemu byśmy nie dotknęli, to mamy jakiś spór. Spór to znak rozpoznawczy filozofii. W tym sensie to jest spór – ale tak naprawdę to trzy różne punkty widzenia. Inna sprawa, że one polaryzują, powiedziałbym, że są „sporowate”. Czyli trochę się różnimy.

W moim ujęciu ważną rolę odgrywa w rozumieniu logika. W mitologii greckiej jest taka ładna historia o lisie, który zawsze uchodził pogoni, i psie, który zawsze łapał swoją ofiarę. A gdy doszło do sytuacji, w której właśnie ten pies go nił właśnie tego lisa, to Zeus miał problem: w świecie pojawiła się sprzeczność, a sprzeczność jest niepożądana, bo rujnuje rozumienie. Dlatego zamienił oba zwierzęta w kamień – a potem jako gwiazdozbiory wyniósł na nieboskłon.

BB: Podobieństw w naszych poglądach jest tak dużo, że przysłaniają one różnice. Ja się zgadzam, że trudne przypadki pozwalają nam zrozumieć pewne kwestie

– czy to będzie dylemat moralny, prawni- czy, czy trudna teoria naukowa. Tylko że nie byłoby trudnych przypadków, gdyby nie było znacznie więcej przypadków prostych, w których problemu z rozumieniem nie ma. Proste przypadki są niewidoczne. Nazywam to złudzeniem perspektywy – lubimy skupiać się na przypadkach trudnych, ale nie byłoby ich i nie poradzilibyśmy sobie z nimi, gdyby nie było przypadków prostych.

Drużna nasza kwestia sporna to pytanie o istnienie rozumienia poza językiem.

JS: Mówisz, że wszystkie definicje są głupie, a w najlepszym razie zbyteczne, z wyjątkiem twoich własnych. Uwolnienie się od definicji daje wprawdzie zwiększone poczucie wolności, ale te definicje i podziały ciągle jednak w dyskursie na temat rozumienia powracają. Najpierw definiujesz przypadek łatwy, następnie z jego pomocą przypadek trudny. Cały czas coś porządkujesz i dzielisz, podkreślając równocześnie, że inni nie mają prawa tego robić.

MH: Ja w Bartka niechęci do definicji odkrywam cień swoich własnych poglądów. Wielkim grzechem filozofii jest to, że rzeczywiste problemy redukuje się do problemów pseudodefinicji językowych. Zaproponowałbym następującą interpretację naszych stanowisk w kwestii rozumienia. Każdy z nas ma pewien modelowy przypadek, na którym formuje swoje poglądy na rozumienie. Dla mnie jest to rozumienie w matematyce. Dla Bartka – codzienne sytuacje. Dla Jurka – znając jego pasję – pewnie ta interpretacja jest modelowana na rozumieniu sztuki. Warto by nad tymi przypadkami teraz pomyśleć.

Pomyślmy zatem. Czym jest rozumienie w matematyce i sztuce?

MH: Proszę sobie przypomnieć, jak to jest, gdy trzeba rozwiązać jakieś zadanie. Człowiek patrzy na kartkę papieru – i nic, ciemno.

Ale podejmujemy jakiś wysiłek i nagle się coś rozświetla, wiemy, co trzeba zrobić. W matematyce często rozumienie to widzenie. Można właściwie powiedzieć, że istnieją dwa rodzaje matematycznego rozumienia. Jedni matematycy widzą jakiś problem, np. geometrycznie. Widzą jakąś strukturę. Odpowiednio się nią manipuluje, żeby znaleźć występujące w niej związki. Pewna część matematyków – jest ich mniej – pracuje bardziej kombinatorycznie, na cyfrach.

KS. PROF. MICHAŁ HELLER

jest filozofem i kosmologiem, uhonorowanym m.in. Nagrodą Templetona.

PROF. BARTOSZ BROŻEK jest filozofem i kognitywistą, prodziekanem Wydziału Prawa i Administracji UJ i dyrektorem Centrum Kopernika.

PROF. JERZY STELMACH jest filozofem, prawnikiem oraz znawcą i kolekcjonerem sztuki. Kierownik Katedry Filozofii Prawa i Etyki Prawniczej UJ.



Wspólnie napisali książkę „Spór o rozumienie” (CCPress 2019).

Do której grupy Książd Profesor się zalicza?

MH: Do tej geometrycznej. Ale rozumienie w matematyce jest też trochę mechanistyczne. Co to znaczy zrozumieć rachunek różniczkowy? To znaczy przyzwyczaić się do niego, oswoić się z pewnymi regułami, które trzeba mechanicznie stosować.

A jeśli nie da się czegoś zobaczyć?

Matematycy operują przecież czasem na strukturach wielowymiarowych.

Jak zobaczyć sto wymiarów?

MH: W pewnym momencie przestaje się widzieć, po prostu stosuje się techniki. Choć nawet wówczas jakiś mglisty zarys się pojawia. Ale to już psychologia.

BB: Wydaje się, że rozumienie w matematyce często jest pozajęzykowe. Wśród osób autystycznych zdarzają się takie, które mają niezwykle zdolności numeryczne czy arytmetyczne – potrafią np. podawać olbrzymie liczby pierwsze. Takie osoby – tzw. sawanci – często mają problemy językowe. Co ciekawe, były też badania, w których u osób nieautystycznych chwilowo blokowano, za pomocą przezczaszkowej stymulacji magnetycznej, ośrodki językowe. Te osoby potem lepiej radziły sobie w zadaniach, w których mają np. ocenić liczebność pewnych obiektów. Po „zablokowaniu” języka wzrastała ich umiejętność dostrzegania dużych liczebności. Być może więc u sawantów mechanizm jest podobny – a ich umiejętności faktycznie znacznie bardziej przypominają widzenie i manipulacje obrazowe niż myślenie w języku.

MH: Gdyby zapytać matematyka, który szuka jakiegoś rozwiązania, czy myśli w języku, czy poza nim, to powiedziałby, że poza językiem. Natomiast gdy sprawdza, czy to właściwe rozwiązanie, czy nie, to ujmuje to w słowa – języka formalnego, ale to jest już jakiś język. Bardzo pomocny, bo wszystko uściśla. Natomiast sama faza poszukiwania nie wymaga języka.

BB: Przypomniała mi się opowieść Richarda Feynmana, który pracował w ten sposób, że zapisywał mnóstwo kartek obliczeniami. Kiedyś dziennikarz zapytał go, na czym polega myślenie – więc Feynman pokazuje mu kartkę. Dziennikarz protestuje: ale ja nie pytam o efekt myślenia, tylko o sam proces. Feynman odparł: ta kartka to jest właśnie ten proces.

Zastanawiam się też np. nad taktyką zespołu piłkarskiego. Zawodnicy nieraz



BARTOSZ BROŻEK:

W rozumienie tekstu zaangażowane są części mózgu, których używamy także do takich czynności jak poruszanie się czy widzenie.



MICHAŁ HELLER:

Wielkim grzechem filozofii jest to, że rzeczywiste problemy redukuje się do problemów pseudodefinicji językowych.



JERZY STELMACH:

Rozumienie jest urzeczywistnione w interpretacji. A interpretacja dokonuje się tylko w języku.

rozumieją się na boisku bez słów czy gestów, wydaje się, że do przeprowadzenia pięknej akcji język jest im w ogóle niepotrzebny. Z drugiej strony – nawiązując już do sztuki – w swoich pamiętnikach Tadeusz Makowski opisywał, w jaki sposób rozwiązywał pewne problemy malarskie – właściwie poprzez dyskusje z samym sobą.

Nie jest łatwo w tej kwestii coś rozstrzygnąć, bo język to coś, co przeorało nasze widzenie świata. Nie możemy zobaczyć świata poza językiem. Nawet jeśli mówię, że jakieś zachowanie jest niejęzykowe, to i tak je postrzegam przez filtr aparatu pojęciowego, który jest charakterystyczny dla mojego języka. W najbardziej fundamentalnym sensie jeśli ktoś zna język, to nie może rozumieć poza językiem.

JS: Nie potrafię wyobrazić sobie rozumienia poza językiem. Nawet w przypadku „przedrozumienia”, które wydaje się być jakimś aktem lub procesem przedjęzykowym. Gdy myślę o szczególnie mi bliskim „rozumieniu sztuki”, znajduję potwierdzenie mojego przekonania na temat językowości przedrozumienia. Aby móc wykształcić właściwe przedrozumienie, musiałem wcześniej przeprowadzić niezliczoną liczbę rozmów na temat sztuki, najczęściej podobnie jak wspomniany przez Bartka Tadeusz Makowski, z samym sobą. A wszystko po to, aby w sytuacji oceny i wyboru móc posłużyć się przedrozumieniem, które przecież nie wzięło się znikąd, nie było żadnym objawieniem czy jednorazową iluminacją, lecz pochodziło z ukształtowanego w dłuższym okresie językowego doświadczenia sztuki.

Narażę się prof. Brożkowi, ale zadam jeszcze jedno pytanie definicyjne.

Słowo „rozumienie” ma w sobie rdzeń „rozum”. Ciekawi mnie, czy to dobry trop – czy w rozumieniu rolę odgrywa wyłącznie czynnik intelektualny, czy pojawiają się też emocje albo intuicje?

BB: To właśnie pokazuje bezużyteczność definicji. Możemy rozum zdefiniować jako to, co umożliwia rozumienie, a rozumienie jako proces, który toczy się dzięki rozumowi.

Nie róbmy tak w takim razie.

BB: Najkrótsza odpowiedź brzmi: tak, że część procesów, które wpływają

→ na rozumienie, zachodzi poniżej progu świadomości. Mowa np. o intuicji, która podpowiada jakieś wyjaśnienia. Np. gdy widzę, że ktoś wybiega z kawiarni i zaczyna krzyzczeć. Zastanawiam się, co się stało. Czy coś go boli? A może dostał jakąś wiadomość? Albo przypomniał sobie o czymś? Te pytania pojawiają się z nieświadomości. I intuicja czy różne emocje mogą odgrywać choćby na tym poziomie istotną rolę. Z drugiej strony – emocje to coś, co motywuje do rozumienia, do tworzenia teorii i poszukiwania prawdy. Szukamy jakiegoś wyjaśnienia, bo nie możemy znieść myśli, że mamy gdzieś sprzeczność. W tej sytuacji to rozum jest często na służbie emocji.

MH: W matematyce jest podobnie. Einstein napisał kiedyś, że gdy wyliczył ze swojej teorii ruch peryhelionowy Merkurego i porównał go z wynikami obserwacji – które były znane znacznie wcześniej – dostał palpitacji serca. Nie różni się to chyba zbyt od przeżycia w obliczu pięknego dzieła van Gogha.

Chciałbym jeszcze zapytać, czy jest coś, czego nie da się zrozumieć? Czy są jakieś granice rozumienia?

MH: Jest oczywiście mnóstwo rzeczy, których sam nie potrafię zrozumieć. Ale jeśli pytamy o to, czy jest coś, co będzie zawsze poza granicami rozumienia, to nawet nie wiem, kto mógłby na to pytanie odpowiedzieć. Chyba teolog...

BB: Możemy mówić o dwóch kwestiach. Po pierwsze, czy są jakieś granice absolutne ludzkich możliwości poznawczych. Dziś wiemy, że te możliwości są bardzo rozległe, wkrótce będziemy się jeszcze wspomagać sztuczną inteligencją, ale trudno powiedzieć, czy istnieją dla nas rzeczy niepoznawalne. Po drugie – istnieje takie zjawisko jak bełkot. Jeśli powiem „niezapominajka jedzie ktoś balon czerwony”, to to nie ma sensu – i dlatego nie da się tego zrozumieć.

JS: Z bełkotem rzecz się ma tak, że bez problemu rozpoznajemy go u innych, mając równocześnie spore trudności z rozpoznaniem go u siebie.

Rozmawiał ŁUKASZ KWIATEK

Bolesne przebudzenie

ŁUKASZ ŁAMŻA

„Sen o teorii ostatecznej” Stevena Weinberga miał być świetlistą wizją teorii wszystkiego i tak jest też często przedstawiany. Z każdą kolejną stroną wizja ta zaczyna się jednak rozmywać.

Najlepsze książki zabierają nas w podróż. Tym, co najbardziej porusza, jest właściwa podróżowaniu niepewność. Co czyha za rogiem? Czy ten wątek skończy się radośnie, czy tragicznie? Dynamikę tę trudno oczywiście użyć w książkach o nauce, które, w przeciwieństwie do literatury pięknej, rzadko grają na naszych emocjach. Szczególną grupą książek naukowych są więc te, które wydają się rozwijać razem z autorem – takie, przy lekturze których odnosi się wrażenie, że kolejne rozdziały były zaskoczeniem również dla tego, kto je napisał. Tak właśnie było chyba ze „Snem o teorii ostatecznej” Stevena Weinberga.

Książka ta, napisana przez jednego z najwybitniejszych fizyków XX w., noblistę, kluczowego architekta modelu standardowego cząstek elementarnych, miała być w zamierzeniu hymnem na cześć „teorii ostatecznej”. Najgłębszej, fundamentalnej teorii naukowej, z której wynikają wszystkie inne nauki, a ostatecznie wszelka wiedza o przyrodzie. Z każdym kolejnym rozdziałem wizja ta jest jednak coraz silniej podważana i obostrzona kolejnymi warunkami. Ostatecznie zostaje z niej ledwie cień pierwotnej świetności.

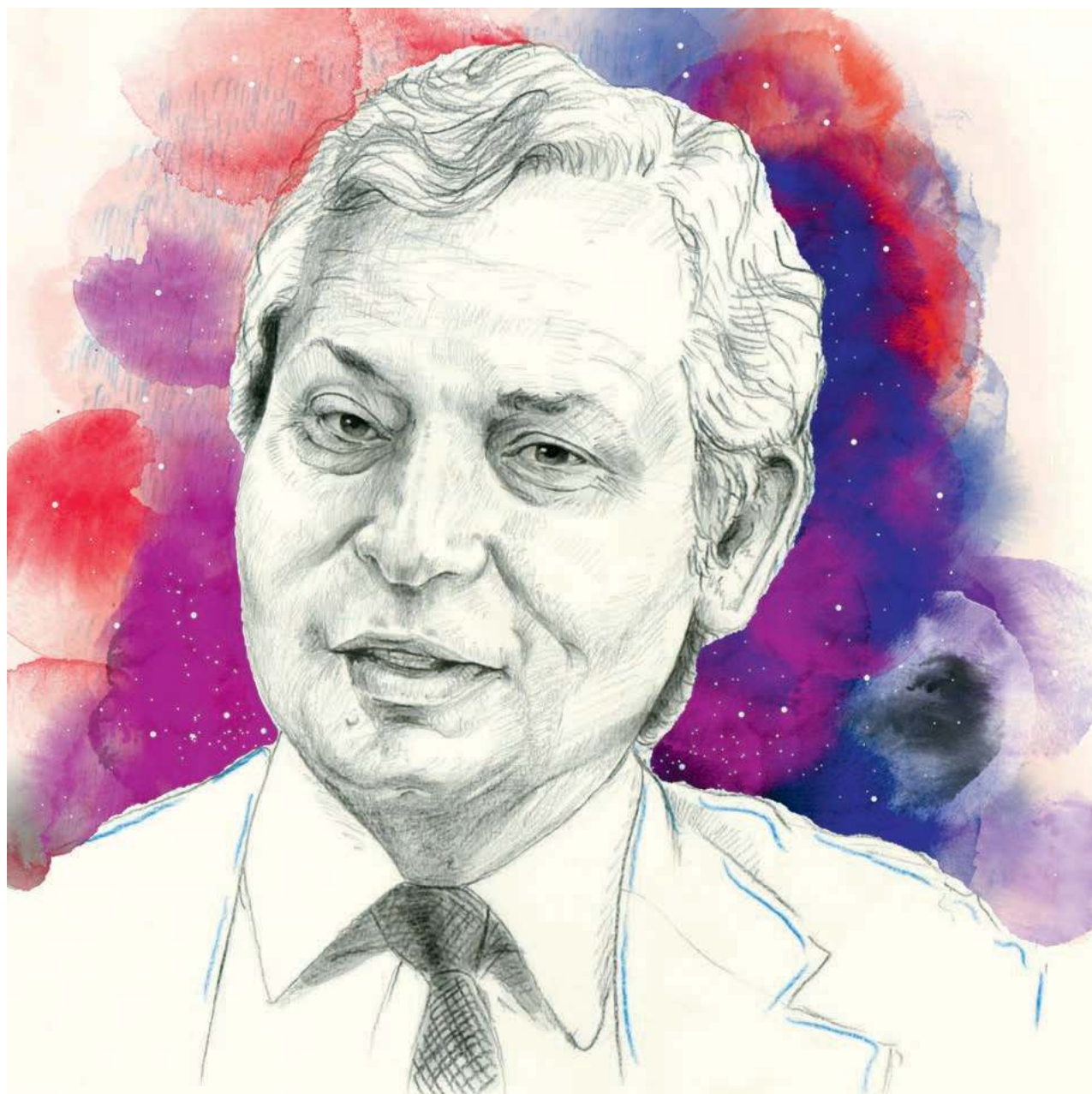
Oryginalny tytuł książki („Dreams of a final theory”) można by przetłumaczyć dwojako. *Dream* to zarówno sen, jak i marzenie. Problem ten pojawił się choćby przy okazji słynnej mowy Martina Luthera Kinga, którą do dziś niektórzy tytułują „I had a dream” („Miałem sen”), podczas gdy pastor King wypowiedział wówczas słowa „*I have a dream*” („Mam marzenie”). Piotr Amsterdamski, w którego przekładzie ukazała się książka Weinberga, był nie tylko fenomenalnym tłumaczem, ale przy tym świetnie rozumiał

fizykę i filozofię. Wierzę, że celowo zdecydował się na słowo „sen”. Wizja „teorii wszystkiego”, z której wynikają wszystkie inne teorie naukowe, okazuje się bowiem właśnie tym: pięknym snem, z którego Weinberg zdaje się stopniowo na oczach czytelników wybudzać.

Twierdza spajana logiką

Czego dotyczy ta wizja? Zacytujmy samego Weinberga. „Nasze obecne teorie mają tylko ograniczony zakres ważności; są wciąż prowizoryczne i niekompletne. Jednak poza nimi widzimy czasami zarysy teorii ostatecznej, która miałaby nieograniczony zakres ważności i byłaby zupełna i spójna. Poszukujemy pewnych uniwersalnych prawd przyrody, a gdy takie prawdy znajdujemy, usiłujemy pokazać, jak można je wydedukować z prawd jeszcze głębszych”. W tym miejscu autor dzieli się z nami swoją wizją, w której wszystkie teorie naukowe – od teorii ewolucji, biomechaniki czy tektoniki płyt, aż po mechanikę klasyczną, dynamikę płynów czy teorię kwantową – połączone są strzałkami, wiodącymi od teorii „wyjaśniającej” do „wyjaśnianej”. Przykładowo, teoria ewolucji miałaby wynikać z genetyki populacyjnej, genetyka populacyjna z biologii komórki i genetyki molekularnej, te z kolei z biochemii... i tak dalej. I teraz puenta: „Gdybyśmy poruszali się w kierunku przeciwnym do owych strzałek, zawsze dotarlibyśmy do tego samego punktu początkowego. Ten punkt to właśnie teoria ostateczna”.

Gdzie szukać teorii ostatecznej? Rzecz oczywista, na obszarze fizyki cząstek elementarnych. W jednym z wczesnych rozdziałów książki (zatytułowanym „Hurra, hurra! – na chwałę redukcjonizmu”) Weinberg stwierdza, że prawdopodobnie



Steven Weinberg

narazi się entomologom, jednak musi to powiedzieć: badanie motyli nigdy nie doprowadzi nas do naprawdę głębokiego zrozumienia świata przyrody, w przeciwieństwie do fizyki fundamentalnej. Dopiero w łonie fizyki kwantowej lub jej przyszłego, nieznanego jeszcze następcy „zblizamy się do punktu, w którym zbiegają się wszystkie wyjaśnienia”.

Jakie byłyby korzyści z teorii ostatecznej? Gigantyczne! Po pierwsze, uzyskalibyśmy fundament, na którym opierałaby się cała nauka. Cała nauka musiałaby być z nim w zgodzie, stanowiłby więc on pewny probierz, pozwalający na osądzanie wszelkich przyszłych teorii.

Weinberg wspomina w paru miejscach o pseudonauce – temacie, który interesował go przez całe życie – zaznaczając, że tylko zunifikowana, będąca organiczną całością nauka jest w stanie jednoznacznie wykluczyć telekinezę albo czytanie w myślach. Teoria ostateczna wyznaczałaby więc ostatecznie ramy tego, co może być realne.

To jednak nie koniec. Teoria taka stanowiłaby też wyzwanie rzucone filozofom i teologom. W książce przytoczone są wypowiedzi fizyków, m.in. Einsteina, zastanawiających się, czy „Bóg mógł mieć wybór, gdy tworzył Wszechświat”. Gdyby teoria ostateczna cechowała się

logiczną koniecznością, argumentuje Weinberg, to nie dałoby się w niej nic zmienić, nie powodując jej rozpadu („jak piękna figurka z porcelany, której nie można odkształcić, nie niszcząc jej przy tym”) – stanowiłoby to wręcz ograniczenie nałożone na wolność Stwórcy! Choć sam Weinberg nie korzysta z tego akurat przykładu, dobrą demonstracją tej zasady jest matematyka. Liczby całkowite tworzą system, w którym nie można swobodnie manipulować żadnym elementem, nie wywołując katastrofy. Liczba 4 jest tym, czym jest, ponieważ $3, 2$ i 1 są tym, czym są. Gdy już wiemy, że $2+2=4$, to nie mamy możliwości manewru, gdy ktoś $\mapsto$

→ nas zapyta, ile to jest 4-2. Odpowiedzią musi być 2. Inaczej mówiąc, w arytmetyce nie ma się swobody manipulacji pojedynczymi elementami. W najbardziej odważnej wersji wizji Weinberga teoria ostateczna miałaby być właśnie taką nie-naruszalną, sztywną, konieczną twierdzą, spajaną przez moc czystej logiki.

Kwantowy model krowy

Cóż za wizja!... Dopiero gdy się ją wyartykułuje, staje się jasne, jak wygórowanym jest żądaniem. Pierwsza wątpliwość, która dopada Weinberga, to pytanie, czy z owej teorii ostatecznej naprawdę będzie się dało wyprowadzić wszystkie inne teorie naukowe. Po chwili namysłu autor uznaje, że owszem, istnieje kilka na prawdę złożonych problemów, których nie da się wyprowadzić z fizyki cząstek. „Rzecz jasna, teoria ostateczna nie będzie stanowiła kresu badań naukowych w ogólności ani czystych badań naukowych, ani nawet czystych badań fizycznych. Niektóre interesujące zjawiska, od turbulencji po procesy myślenia, pozostaną niewyjaśnione nawet po odkryciu teorii ostatecznej. Jej odkrycie nie musi wcale stanowić istotnej pomocy w zrozumieniu tych zjawisk”.

Można by jednak zapytać, co jest takiego szczególnego w turbulencji albo badaniach nad umysłem? Nic, jak się okazuje. Weinberg wymienia niedługo później również nadprzewodnictwo, genetykę i powstawanie galaktyk, a w innym miejscu książki również dalsze dziedziny jako posiadające tak dużą samodzielność, że odkrycie teorii ostatecznej mogłoby kompletnie się im na nic nie przydać. W pewnym momencie stwierdza już całkowicie ogólnie: „Nie ma żadnej gwarancji, że jakiegokolwiek nowe odkrycia w dziedzinie cząstek elementarnych bezpośrednio wspomogą rozwój innych dziedzin nauki”.

W czym problem? Czy w łańcuchu wyjaśnień prowadzącym od teorii ostatecznej do wszystkich pozostałych dziedzin nauki mogą pojawić się „luzy”? Przecież teorie te miały sztywno wynikać z siebie nawzajem? Weinberg wymienia kilka takich przyczyn.

Jedną z nich jest historyczność Wszechświata: „Ingerencja przypadkowych wydarzeń historycznych nakłada trwałe ograniczenia na to, co możemy kiedykolwiek wyjaśnić”. Weźmy pod uwagę choćby zoologię. Mogłoby rze-

czywiście wydawać się, że pełnia wiedzy o życiu krowy wynika z jej anatomii i fizjologii, te z budowy tkanek i komórek... i tak dalej, aż do kwarków. Nie oznacza to jednak, że naukowiec wyposażony wyłącznie w wiedzę z zakresu fizyki będzie w stanie wyprowadzić z niej wiedzę o krowie. Dlaczego właściwie krowa ma cztery nogi, wymiona i jęzor? Dlaczego ma układ krwionośny i płuca? Jest to sumaryczny wynik milionów przypadkowych wydarzeń, które zaszły na powierzchni naszej planety w ciągu miliardów lat: uderzeń asteroid i wymierania gatunków, zderzeń kontynentów i układu stref klimatycznych... Nasz hipotetyczny fizyk musiałby więc odtwo-

Teoria ewolucji miałaby wynikać

z genetyki populacyjnej,
genetyka populacyjna
z biologii komórki
i genetyki molekularnej,
te z kolei z biochemii...
i tak dalej.

rzyć całą historię Wszechświata, przewidywać ruchy wszystkich drobin skalnych w Układzie Słonecznym, atom po atomie. To zaś, jak uczy fizyka kwantowa, jest po prostu niemożliwe – nie da się uzyskać pełni wiedzy o przyszłym stanie świata. Nawet gdybyśmy posiadali wiedzę o położeniu wszystkich cząstek we Wszechświecie, jego historia i tak pozostałaby dla nas nieznana, a z nią fundamentalne reguły wielu nauk przyrodniczych.

Drugą przyczyną, dla której poszczególne nauki przyrodnicze nigdy nie dadzą się zredukować do fizyki cząstek, jest ich praktyczna samodzielność: odrębność języka, metody, „stylu”. Oddajmy głos Weinbergowi: „Nie ma powodu, aby sądzić, że zbieganie się naukowych wyjaśnień do wspólnego punktu musi doprowadzić do ujednolicenia metod naukowych. Termodynamika, teoria chaosu i biologia populacyjna będą się posługiwać własnymi pojęciami i regułami niezależnie od tego, czego nauczymy się jeszcze o cząstkach elementarnych”.

Nauczyć psa mechaniki

Wróćmy do zoologii. Nawet gdyby, czyżto hipotetycznie, rzeczywiście udało się stworzyć „kwantowy model krowy”, fizycy wciąż potrzebowaliby przy tworzeniu tego modelu gigantycznej ilości informacji od biologów. Informacji – podkreślmy – uzyskiwanych metodami właściwymi dla nauk biologicznych, wyrażonymi w ich języku. Budowę anatomiczną krowy oraz opis wszystkich jej organów i tkanek przygotowaliby anatomowie, przeprowadzając sekcje, preparując tkanki i opisując je zgodnie z prawidłami ich sztuki. Fizyk nie miałby tu nic do gadania, a sam nie miałby oczywiście pojęcia, jak się odnajduje, wycina i preparuje krowią szyszynkę. Gdyby zaś z „kwantowego modelu krowy” wynikły jakieś wnioski praktyczne, ich „przetłumaczeniem” na teorię i praktykę zootechniki czy weterynarii zajęliby się zootechnicy i weterynarze, a nie fizycy.

Ostatecznie okazuje się, że „teoria ostateczna”, nazywana dziś często pompatycznie „teorią wszystkiego”, byłaby w gruncie rzeczy po prostu teorią cząstek elementarnych, może tylko nieco głębszą i ogólniejszą niż obecna kwantowa teoria pola, bo obejmującą także podstawy teoretyczne kosmologii. Można by oczywiście uznać, że stworzenie takiej teorii to niemały sukces sam w sobie: czyż nie byłoby wspaniale mieć w zanadrzu opis najgłębszego poziomu rzeczywistości fizycznej? Weinberg dochodzi do smutnego wniosku, że i to raczej nigdy nie nastąpi.

Z jednej strony są ograniczenia czyżto praktyczne. Sięganie do coraz głębszych warstw rzeczywistości może wymagać tworzenia coraz większych i bardziej kosztownych urządzeń, czego nie można robić w nieskończoność. Jest taki punkt, w którym optymista („fizycy wymyślą sposób, aby ominąć te ograniczenia”) przemienia się w naiwnego fantastę („ludzkie możliwości są nieograniczone”). Pieniądże czy możliwości technologiczne to jednak tylko wstęp do zasadniczego problemu. Kto właściwie może nam zagwarantować, że posiadamy możliwości poznawcze pozwalające na zrozumienie najgłębszych zasad kosmosu? Weinberg, trochę brutalnie, porównuje to do próby nauczania psa mechaniki Newtonowskiej.

Na koniec koncepcji „teorii ostatecznej” zadany zostaje cios śmiertelny. A co, jeśli ona w ogóle nie istnieje? Dotychczas

zakładaliśmy, że w łańcuchu wyjaśnień znajduje się „ogniwo pierwsze”, nic jednak tego nie gwarantuje. Ba, Weinberg stwierdza w pewnym momencie, że w gruncie rzeczy prawdopodobniej brzmi ewentualność przeciwna: łańcuch wyjaśnień nigdy się nie kończy. „Trudno sobie wyobrazić, że kiedykolwiek poznamy ostateczne prawa fizyki, których nie będzie już można wyjaśnić, odwołując się do głębszych zasad. Wielu ludzi uważa za oczywiste, że raczej znajdziemy nieskończony łańcuch coraz to głębszych zasad”.

Co więcej, takiego ostatniego ogniwa nie da się wyobrazić nawet czysto logicznie. „Nie jest trudno wyobrazić sobie teorię ostateczną, której nie można wyjaśnić, odwołując się do głębszych zasad, natomiast bardzo trudno wyobrazić sobie teorię, która by takiego wyjaśnienia nie potrzebowała”. Jak to rozumieć? Cóż, jest to w gruncie rzeczy prądkawny problem pierwszej przyczyny, zdefiniowany przez Arystotelesa, a przez Tomasza z Akwinu przedstawiony jako „droga do Boga”, uświadamiająca nam, że łańcuch naturalnych wyjaśnień nigdy nas w pełni nie zadowoli. Rozumowanie jest wręcz dziecinnie proste: gdy zapytamy „dlaczego?”, to bez względu na uzyskaną odpowiedź zawsze będziemy mogli ponownie zadać to samo pytanie.

Dlaczego atom jest taki, jaki jest? Ponieważ jądra i elektrony są takie, jakie są.

Dlaczego? Bo protony i neutrony są takie-a-takie. Dlaczego? Bo kwarki są takie-a-takie. Dlaczego? Bo struny są takie-a-takie. Dlaczego? Bo splątki są takie-a-takie. Dlaczego? Bo zwiłki są takie-a-takie. Dlaczego?... Nie da się wyobrazić sobie takiej teorii fizycznej, która wyjaśniałaby samą siebie, nie pozostawiając miejsca na kolejne „dlaczego?”. Teoria ostateczna po prostu nie może istnieć. A przynajmniej nie może być nią teoria naukowa, w której wszystko musi posiadać swoje racjonalne uzasadnienie.

Przyjemność poszukiwania

Piękny sen Weinberga rozwiewa się więc na naszych oczach, a po lekturze jego książki staje się oczywiste, że (a) jeśli nawet teoria ostateczna mogłaby istnieć (a raczej nie może); (b) jeśli nawet potrafilibyśmy ją objąć rozumem (co nie jest pewne); (c) jeśli nawet udałooby się ją uzyskać czysto praktycznie (co może być niewykonalne) – to i tak nie będzie ona „teorią wszystkiego”, lecz po prostu nieco głębszą kuzynką obecnej kwantowej teorii cząstek, tłumaczącą zachowania cząstek elementarnych i ewolucję kosmosu w najszerszej skali oraz... niewiele więcej.

Skąd więc tyle zamieszania, skąd te tabuny podekscytowanych fizyków, tworzących z ogniem w oczach kolejne wersje teorii strun, superstrun i pętlowej grawitacji? W „Śnie o teorii ostatecznej” można

odnaleźć odpowiedź, chociaż chyba nie taką, jakiej można się było spodziewać po jednym z najgorętszych XX-wiecznych bojowników o teorię ostateczną.

Weinberg aż dwukrotnie odwołuje się ostatecznie po prostu do przyjemności z uprawiania fizyki i znajdowania kolejnych wyjaśnień. „Przyjemność, jaką daje mi praca, zawsze była dla mnie wystarczającą motywacją”, stwierdza w pewnym momencie. Nieco dalej zaś, po długim fragmencie obrazującym nieskończony ciąg kolejnych „dlaczego?”, padają następujące słowa: „Nie jest łatwo wyjaśnić, co właściwie robimy, odpowiadając na takie pytanie. Na szczęście nie jest to rzeczywiste konieczne. Naukowe wyjaśnianie to pewien rodzaj zachowania, które sprawia nam przyjemność, podobnie jak miłość i sztuka. Najlepiej można zrozumieć istotę naukowego wyjaśnienia, osobiście przeżywając szczególny dreszcz podniecenia, jakiego się doświadcza, gdy rzeczywiście uda się coś wyjaśnić”.

A może wizja „teorii wszystkiego” to po prostu miłe, pobudzające, ale ostatecznie złudne marzenie, któremu fizycy lubią czasem się oddawać, ponieważ dodaje im ono sił? Piszac „Sen o teorii ostatecznej”, Weinberg do końca nie mógł się chyba zdecydować, czy marzenie to pobudzać, czy się z nim twardo rozliczyć – i to dlatego powstała naprawdę świetna książka. © PŁUKASZ ŁAMŻA

Grawitacja kwantowa w pięciu smakach

TEORIA STRUN zakłada, że wszystkie cząstki elementarne – elektrony, kwarki, fotony, bozony Higgsa, a także hipotetyczne grawitony, odpowiadające za oddziaływania grawitacyjne – nie są bezwymiarowymi punktami, lecz jednowymiarowymi strunami. Mogą one drgać na różne sposoby i to właśnie te vibracje decydują o tożsamości danej cząstki. Rozwijana intensywnie od pół wieku, obecnie przyjęła postać tzw. M-teorii, która oprócz jednowymiarowych strun po-

sługuje się także „branami” o większej liczbie wymiarów. Pętlowa grawitacja kwantowa postuluje, że nie tylko materia ma strukturę ziarnistą (kwantową), lecz że dotyczy to także samej czasoprzestrzeni. Nieco konkretniej, jako pierwotne „cegiełki” czasoprzestrzeni rozważa się w jej ramach mikroskopię pętli (stąd nazwa), do których następnie stosuje się formalizm matematyczny mechaniki kwantowej. Uważana jest za najpoważniejszą rywal-
kę teorii strun.

Dynamiczna triangulacja przyczynowa inaczej podchodzi do kwestii kwantowania struktury czasoprzestrzeni. Według niej ta ostatnia zbudowana jest z „komórek” o kształcie stanowiącym czterowymiarowy odpowiednik trójkąta (i dlatego „triangulacja”). Sąsiednie komórki mogą tworzyć różne konfiguracje, co w dużej skali przekłada się na różne sposoby zakrzywania się czasoprzestrzeni.

Geometria nieprzemienialna wychodzi z założenia, że zamiast próbować kwantować geometrię czasoprzestrzeni, należy raczej rozszerzyć metody nowoczesnej geometrii na świat kwantów. Okazuje się, że

wiąże się to z koniecznością rezygnacji z prawa przemienności mnożenia ($A \times B$ może być tu różne od $B \times A$), ale za to pozwala przerzucić mosty między matematyką ogólną i teorią względności a tą stosowaną w mechanice kwantowej.

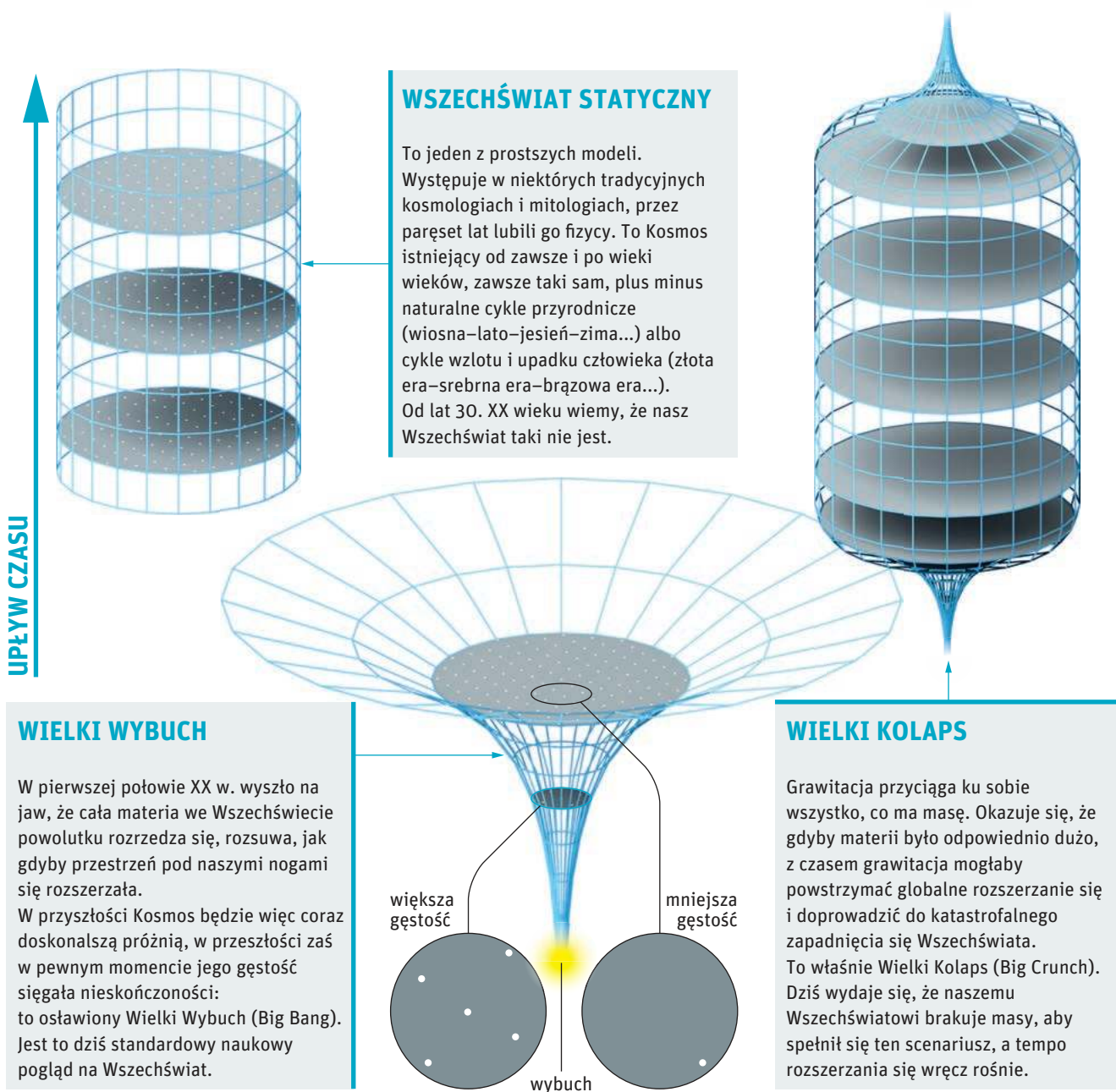
Teoria twistorów bazuje na idei Rogera Penrose’a, by w opisie czasoprzestrzeni zamiast liczb rzeczywistych wykorzystać liczby zespolone, czy raczej wyrastające z matematyki liczb zespolonych abstrakcyjne obiekty zwane twistorami. Po raz pierwszy zaproponowana 50 lat temu, ostatnio przeżywa renesans dzięki odkryciu jej związków z teorią strun. © TM

CO Z TYM KOSMOSEM?

TEKST ŁUKASZ ŁAMŻA
INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

Nie jest łatwo ustalić, jaki jest Wszechświat w największej skali. Skończony czy nieskończony? Istniał zawsze czy powstał? Będzie istnieć wiecznie czy kiedyś przeminie? A może znany nam Wszechświat to tylko mały fragment czegoś znacznie większego, co nazywamy czasem Wieloświatem?

Oto niewielka próbka modeli kosmologicznych, dawnych i współczesnych. ©



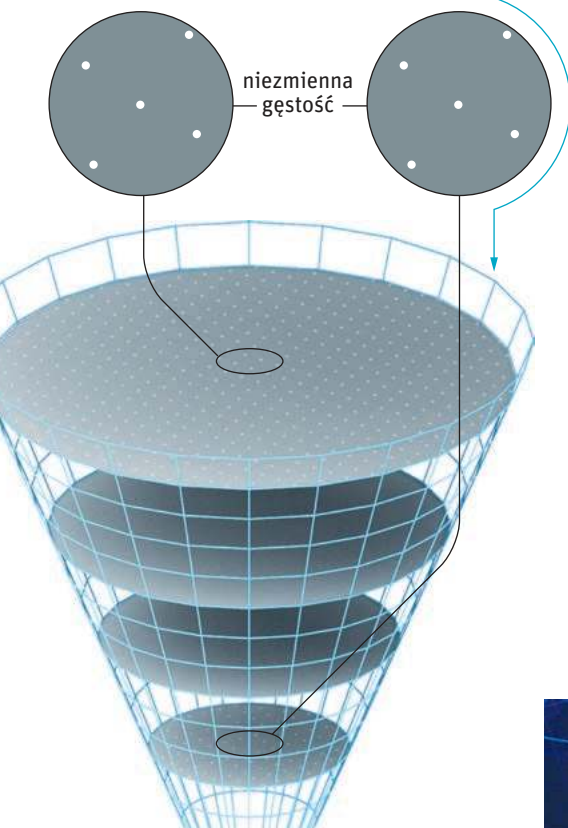


WSZECHŚWIAT CYKLICZNY

To najprostszy model Wieloświata. Gdyby nasz Wszechświat rozpoczął się od Wielkiego Wybuchu i zakończył Wielkim Kłapsem, można by względnie łatwo połączyć ze sobą szereg takich wszechświatów. Bądź co bądź, Wybuch i Kłaps są do siebie bardzo podobne. Każdy z kolejnych wszechświatów (pisanych już teraz małą literą) mógłby być przy tym identyczny (ciekawie!) lub różny (jeszcze ciekawsze!).

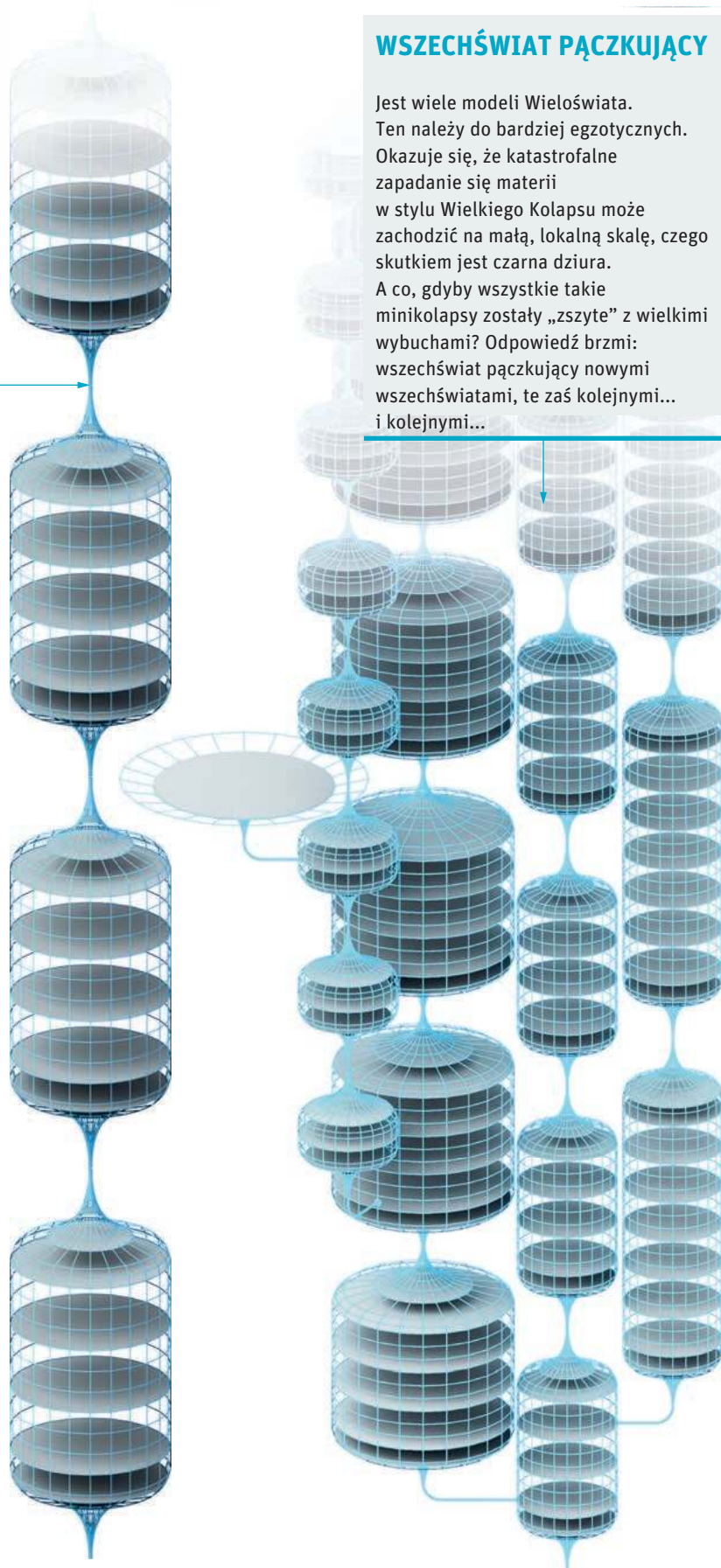
STAN STACJONARNY

A co, gdybyśmy chcieli zachować jednocześnie rozszerzanie się Wszechświata i niezmienną gęstość materii tak, aby w przeszłości nie zdążyła do nieskończoności, a w przyszłości do zera? To model stanu stacjonarnego – bez Wielkiego Wybuchu! – w którym w wiecznie rozszerzającym się Wszechświecie „brakująca” materia jest stale uzupełniana, atom za atomem. Dziś mało kto w ten model wierzy.



WSZECHŚWIAT PĄCZKUJĄCY

Jest wiele modeli Wieloświata. Ten należy do bardziej egzotycznych. Okazuje się, że katastrofalne zapadanie się materii w stylu Wielkiego Kłapsu może zachodzić na małą, lokalną skalę, czego skutkiem jest czarna dziura. A co, gdyby wszystkie takie minikłapsy zostały „zsyte” z wielkimi wybuchami? Odpowiedź brzmi: wszechświat pączkujący nowymi wszechświatami, te zaś kolejnymi... i kolejnymi...



W poszukiwaniu fundamentów

MICHAŁ ECKSTEIN

Zastępy naukowców pracują nad stworzeniem teorii, która ujmowałaby wszystkie znane nam dzisiaj oddziaływania fizyczne w jeden matematyczny wzór. Ale nawet jeśli ją stworzymy, nie będziemy wiedzieć o świecie wszystkiego.

Już u zarania dziejów ludzie zdawali sobie sprawę, że światem rządzą pewne prawa. Przejawiały się one w regularnościach zachodzących w przyrodzie, takich jak następowanie po sobie pór roku czy też cykliczne wylewy Nilu. Z czasem okazało się, że owe regularności można precyzyjnie opisać w języku matematyki. Co więcej, niektóre matematyczne modele okazały się na tyle żywotne, że pozwoliły przewidzieć i odkryć nowe zjawiska, które ukazały nam nieznane oblicza przyrody.

Dzisiaj metoda matematyczno-empiryczna święci triumfy zarówno w sferze czysto poznawczej, jak i technicznej. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że – nawet na gruncie samej tylko fizyki – teorie nam się „rozjechały”. Każda z nich bardzo dobrze modeluje jakiś wycinek rzeczywistości, ale nie wydaje się, aby tworzyły spójną całość.

Spora część fizyków, w tym tak znamienitych jak Stephen Hawking, Gerardus 't Hooft czy Steven Weinberg, uważa, że możemy skonstruować „teorię wszystkiego”, która będzie w sobie zawierać wszystkie dotychczasowe modele jako szczególne przypadki. Przekonanie to wynika z sukcesów fizyki teoretycznej, która rozwijała się na drodze unifikacji. Rzeczywiście, w historii nauki wielokrotnie okazywało się, że pozornie niezwiązane ze sobą zjawiska podlegają w istocie tym samym zasadom. Czy jednak program ten można rozwijać dowolnie daleko?

Początki praw

Jeszcze na początku XVII w. powszechnie uważano, że fizyką ziemską rządzą inne prawa niż sferą gwiazd i planet. Model kopernikański stanowił rewolucję w zrozumieniu tej drugiej, ale nie mówił nic o przedmiotach materialnych w zasięgu naszych rąk. Z kolei np. prawa balistyki sformułowane przez Niccolò Fontanę Tartaglię w 1537 r. dobrze opisywały trajektorie kuli armatniej, ale nikomu nawet nie przyszło do głowy, że mogą one mieć cokolwiek wspólnego z ruchami sfer niebieskich.

Pierwszym, który zaczął podejrzewać, że na Ziemi obowiązują takie same prawa co w kosmosie, był Johannes Kepler. W 1609 r. w traktacie „Astronomia Nova” wysnuł podejrzenie, że ciała niebieskie składają się zasadniczo z takiej samej materii jak inne obiekty w naszym otoczeniu. W konsekwencji poszukiwał „fizycznej przyczyny” ruchów planet i poprawnie zidentyfikował ją jako siłę przyciągania.

Choć intuicja Keplera była właściwa, nie udało mu się odpowiednio sformalizować swoich praw grawitacji. Dokonał tego dopiero Isaac Newton w 1686 r. Geniusz jego teorii polegał na jej uniwersalności. Istotnie, mówimy o powszechnym prawie ciążenia, co oznacza, że wszystkie masywne obiekty muszą przyciągać się z siłą odwrotnie proporcjonalną do kwadratu odległości między nimi.

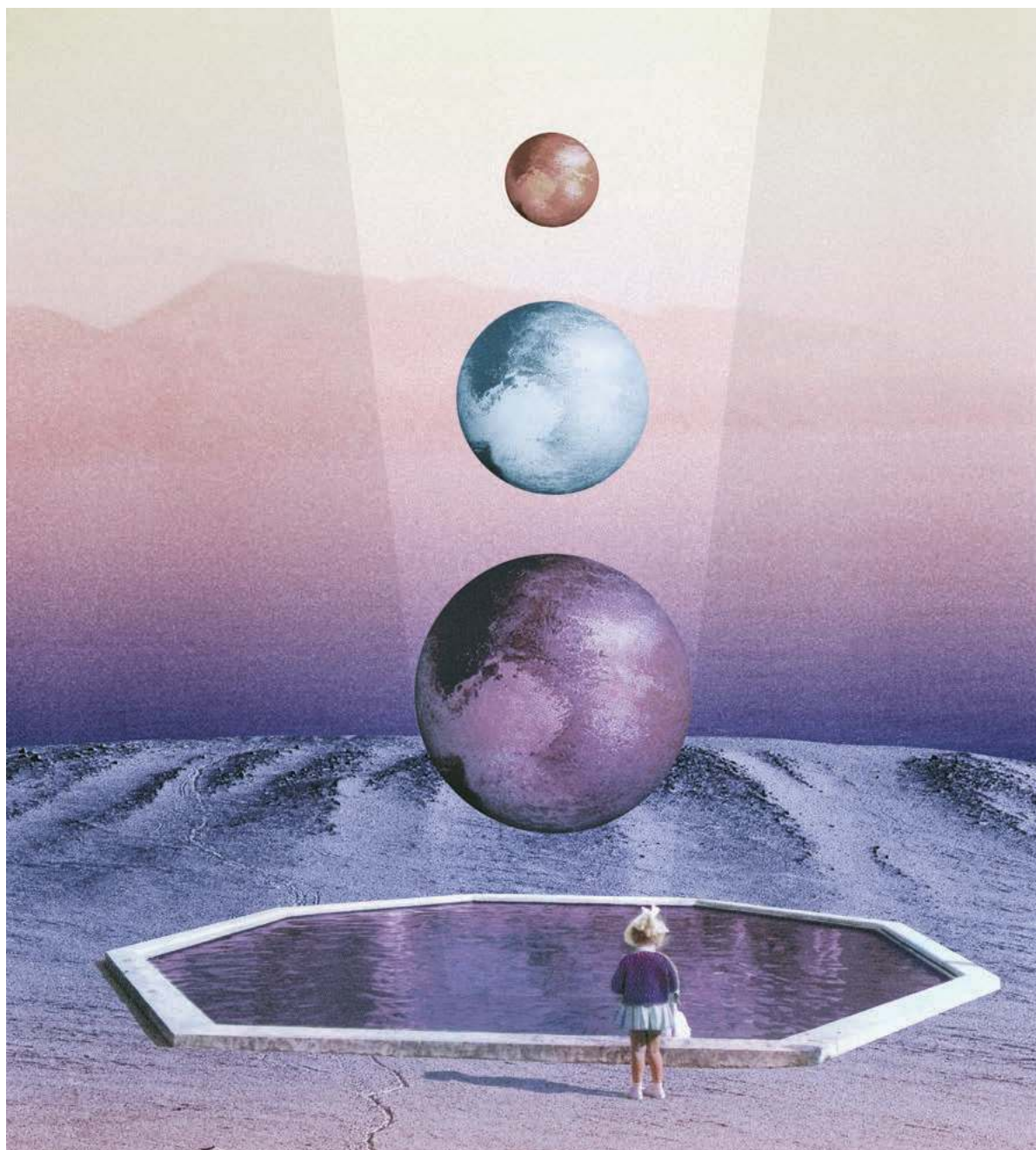
Prawo powszechnego ciążenia, a także prawa mechaniki klasycznej okazały się dalece bardziej uniwersalne, niż Newton mógł się spodziewać. Do dzisiaj stosujemy je z powodzeniem do modelowania ruchu obiektów fizycznych odległych od siebie od około milimetra po miliony kilometrów. Co więcej, okazało się, że sama matematyczna struktura teorii Newtona kryje w sobie niespodzianki.

Na jedną z nich natrafił w latach 80. XIX w. francuski fizyk matematyczny Henri Poincaré. Rozważał problem trzech ciał przyciągających się grawitacyjnie zgodnie z równaniami Newtona. Poincaré za zdumieniem zauważył, że niektóre trajektorie są wysoce nieregularne. To odkrycie teoretyczne (dokonane ponad 200 lat po publikacji „Principiów” Newtona) zapoczątkowało nową dziedzinę chaosu deterministycznego, która ma zastosowanie w niemal każdej dziedzinie wiedzy: od mechaniki do meteorologii i ekonomii.

Unifikacja fizyki

W połowie XIX w. nastąpiła druga kluczowa unifikacja praw fizyki. Dokonał jej James Clerk Maxwell, łącząc prawa Ampère’a, Faradaya i Gaussa, dotyczące różnych zjawisk elektrycznych i magnetycznych, w jeden spójny układ równań. W dodatku Maxwell szybko zdał sobie sprawę, że jego równania implikują istnienie fal elektromagnetycznych, które są niczym innym jak światłem. W ten sposób powstała teoria elektromagnetyzmu, obejmująca również zjawiska optyczne. Bez niej trudno byłoby sobie nawet wyobrazić dzisiejszy świat przeniknięty elektroniką.

W 1865 r. mieliśmy zatem dwie fizyczne „teorie wszystkiego”: jedna dotyczyła ruchu obiektów masywnych, a druga zjawisk elektromagnetycznych. Sam Maxwell uważał, że jego równania są jedynie efektywnym opisem, a fale elektromagnetyczne rozchodzą się w ośrodku materialnym zwanym eterem, niczym fale na powierzchni wody. Żeby poznać mechaniczne własności eteru, należało zatem zmierzyć prędkość światła względem niego. Jednak, ku powszechnemu zaskocze-



KOLAŻ: NATALIA POLASIK / @MOONWATERPL

niu, eksperyment Alberta A. Michelsona i Edwarda W. Morleya przeprowadzony w 1887 r. sugerował, że prędkość światła jest stała i niezależna od jakiegokolwiek kierunku. Stanowiło to poważny problem dla mechanicznej „teorii wszystkiego”.

Kryzys w fizyce nie trwał jednak zbyt długo. W 1905 r. Albert Einstein ogłosił szczególną teorię względności postulując, że prędkość światła w próżni jest stałą przyrody – niezależną od ruchu obserwatora oraz własności mikroskopowych obiektów materialnych. Udało się wyjaśnić naturę fal elektromagnetycznych jako obiektów nieposiadających masy, ale niosących energię. Rozchodzą się one w próżni z prędkością światła i żaden eter nie jest do tego potrzebny.

Postulat Einsteina stanowił przewrót, bo podważył obowiązującą od wieków mechanistyczną wizję świata. Jednak jeśli prędkości obiektów są małe (dużo mniejsze od prędkości świa-

tła), to równania dynamiki wynikające z teorii względności efektywnie sprowadzają się do równań mechaniki klasycznej. Einstein stworzył zatem w 1905 r. nową „teorię (prawie) wszystkiego”, w której mechanika klasyczna była zawarta jako przypadek graniczny. Prawie, ponieważ na uboczu pozostawało wciąż Newtonowskie prawo powszechnego ciążenia. Pełnej unifikacji Einstein dokonał 10 lat później w ramach ogólnej teorii względności. Zmieniła ona dramatycznie nasze rozumienie nie tylko w kwestii obiektów niebieskich, ale i całego Wszechświata, a nawet czasu i przestrzeni (zob. tekst Sebastiana Szybki pt. „Utkany z czasu i przestrzeni”).

O ile jednak Einsteiniowska czasoprzestrzeń stanowi odpowiednią „scenę” dla zjawisk elektromagnetycznych, o tyle ogólna teoria względności o samym elektromagnetyzmie już nie mówi. Einstein poświęcił sporo energii na poszukiwanie

→ „teorii wszystkiego”, w której równania pola grawitacyjnego i równania Maxwella zostałyby zunifikowane w ramach jednego nadrzędnego prawa.

Ten program okazał się dużo trudniejszy do zrealizowania, niż można było przypuszczać. A to dlatego, że w XX w. wydarzyła się jeszcze druga rewolucja, która obnażyła granice stosowności mechaniki klasycznej w mikroświecie. Mowa oczywiście o teorii kwantów królującej w fizyce atomowej. Podobnie jak teoria Einsteina, tak i mechanika kwantowa wniosła nową stałą przyrody – h – wprowadzoną w 1900 r. przez Maxa Plancka. Charakteryzuje ona m.in. nieoznaczoność pędu i położenia cząstek kwantowych (głosząc, że im więcej wiemy o pędzie jakiejś cząstki, tym mniej wiemy o jej położeniu – i odwrotnie). Mechanikę klasyczną możemy rozpatrywać jako granicę mechaniki kwantowej dla $h = 0$.

Możemy więc powiedzieć, że mechanika kwantowa jest ogólniejsza niż mechanika klasyczna, gdyż obejmuje szerszy zasięg zjawisk. Skoro jednak ani teoria względności, ani mechanika kwantowa nie są teoriami „wszystkiego”, to konieczne wydaje się poszukiwanie ich unifikacji.

Pionierami konstruowania relatywistycznej mechaniki kwantowej byli m.in. Paul Dirac i Richard Feynman. W ten sposób narodziła się kwantowa teoria pola unifikująca mechanikę kwantową ze szczególną teorią względności. Jak mają się do tego jednak równania Maxwella? Otóż okazuje się, że na poziomie fundamentalnym fale elektromagnetyczne rzeczywiście podlegają prawom mechaniki, tyle że jest to mechanika kwantowa. Rolę „cząstek światła” przejęły fotony – kwanty pola elektromagnetycznego.

Sen o teorii ostatecznej

Dzisiaj mamy zatem dwie „teorie wszystkiego”: kwantową teorię pola oraz ogólną teorię względności. Wiemy, że są one niekompatybilne – zasady Einsteinowskie stoją w sprzeczności z zasadami kwantowymi. Dlatego też fizycy nie ustają w wysiłkach, aby zunifikować obie te teorie w ramach jednego uniwersalnego zestawu praw.

Nasuwa się jednak pytanie, po co nam właściwie jedna teoria wszystkiego? Zarówno kwantowa teoria pola, jak i ogólna teoria względności działają doskonale i nie znamy obecnie żadnych zjawisk, które nie dałyby się modelować w ramach jednej z nich.

Pierwszym powodem jest nadzieja, że teoria kwantowej grawitacji pozwoli nam przewidzieć nowe zjawiska, z których istnienia nie zdajemy sobie nawet sprawy. Rzeczywiście, sukces teorii względności i mechaniki kwantowej, a uprzednio także teorii Newtona, zasadza się na ich niebywalej wręcz mocy predykcyjnej. Na przykład teoria kwantowa niemal natychmiast ukazała nam zupełnie nowe oblicze atomów i ich skomplikowanej struktury wewnętrznej, a z ogólnej teorii względności wynika choćby istnienie fal grawitacyjnych – przewidzianych na gruncie matematyki sto lat przed ich faktycznym zaobserwowaniem w 2015 r.

Uzasadnione jest zatem oczekiwanie, że unifikacja mechaniki kwantowej z teorią Einsteina ukaze nam zupełnie nowe oblicze Przyrody. Co więcej, należy się spodziewać, że „teoria wszystkiego” da nam nie tylko satysfakcję poznawczą, ale pozwoli wykorzystać zjawiska do opracowania być może zaskakujących technologii. Niestety, żadnej z teorii pretendujących

do miana „ostatecznej unifikacji” (jak np. teoria strun, pętlowa kwantowa grawitacja, geometria nieprzemienialna, teoria twistorów... – zob. ramka „Grawitacja kwantowa w pięciu smakach”, str. 73) nie udało się uzyskać potwierdzenia doświadczalnego, o zastosowaniach technicznych nie wspominając.

Druga kwestia motywująca poszukiwanie „teorii wszystkiego” to fakt, że unifikacja fizyki nie jest jedynie zabiegiem formalnym. Oprócz oddziaływań elektromagnetycznych znane są również słabe oraz silne siły jądrowe, odpowiedzialne m.in. za rozpad promieniotwórczy pierwiastków. W latach 60. XX w. Sheldon Glashow, Abdus Salam i Steven Weinberg dokonali unifikacji oddziaływań elektromagnetycznych i słabych w ramach kwantowej teorii pól „elektrosłabych”. Zakłada ona, że przy odpowiednio dużych gęstościach energii nośniki oddziaływań – fotony i bozony słabe W i Z – tworzą jeden byt. Aby sprawdzić tę odważną hipotezę, zbudowano akcelerator cząstek elementarnych w CERN pod Genewą, gdzie udało się wytworzyć odpowiednie warunki fizyczne. Teoria Glashowa-Salama-Weinberga okazała się prawdziwa i przyniosła jej autorom Nagrodę Nobla w 1979 r.

Elektrosłaba unifikacja oddziaływań jest jednak czymś znacznie poważniejszym niż abstrakcyjnym modelem zjawisk w ekstremalnych warunkach fizycznych. Wysokim energiom odpowiadają małe skale odległości, a również, w zgodzie z obowiązującym modelem kosmologicznym, bardzo wczesne dzieje całego Wszechświata. Oznacza to, że 10^{-11} sekundy po Wielkim Wybuchu nie było jeszcze żadnych fotonów ani bozonów słabych, tylko jedno kwantowe pole elektrosłabe, a fizyka bliższa naszemu codziennemu doświadczeniu dopiero później się z niego wyłoniła. Dzisiaj ślady tej pierwotnej jedności możemy zaobserwować wewnątrz jąder atomowych, na skalach 10^{-15} metra, co wymaga ogromnej energii osiąganey tylko w akceleratorach, takich jak LHC w CERN.

To właśnie owo rewolucyjne odkrycie zainspirowało fizyków do poszukiwania jednej teorii wszystkich oddziaływań. Na pierwszy ogień wzięto oddziaływania jądrowe silne, co do których spodziewamy się, że tworzyły jedność z elektrosłabymi ok. 10^{-36} sekundy po Wielkim Wybuchu. Żeby się o tym przekonać, musielibyśmy jednak zbadać strukturę materii na skalach ok. 10^{-30} metra, co wymagałoby gigantycznych energii – o rzędy wielkości wyższych niż te dostępne nawet w najmocniejszych akceleratorach. Poszukuje się zatem intensywnie doświadczeń pośrednich, na razie bez sukcesów.

Pełna unifikacja, owa mityczna, prawdziwie kwantowa grawitacja, miałaby panować jeszcze wcześniej – 10^{-43} sekundy po Wielkim Wybuchu, a jej obecne królestwo to skale rzędu 10^{-35} metra. Tak ekstremalne skale wykluczają jakikolwiek bezpośredni wgląd doświadczalny w dającej się przewidzieć przyszłości. Niemniej jednak były i są przeprowadzane rozmaite eksperymenty i obserwacje kosmiczne testujące niektóre z modeli kwantowej grawitacji. Na razie przyroda nie daje nam jednak żadnej wskazówki na temat tego, która z wielu konkurujących teorii „ostatecznej unifikacji” jest prawdziwa (o ile którakolwiek z nich jest prawdziwa).

Przestroga Newtona

Przypuśćmy, że udało nam się odkryć kwantową teorię grawitacji – mamy spójny model i dowód empiryczny. Nazwanie jej „teorią wszystkiego” brzmi jednak cokolwiek nieskromnie.



Rzeczywiście, unifikacja wszystkich czterech znanych oddziaływań to tylko częściowy sukces, jeśli mamy ambicję wyjaśnienia całości zjawisk. „Teoria wszystkiego” musiałaby wytłumaczyć m.in. naturę ciemnej materii stanowiącej 27 proc. energii Wszechświata, tajemnicę stałej kosmologicznej odpowiedzialnej za jego przyspieszoną ekspansję czy też zagadkową hierarchię mas cząstek elementarnych, które rozciągają się od ułamków aż do set miliardów elektronowoltów.

Inna sprawa to: skąd właściwie mielibyśmy wiedzieć, że rzeczywiście dysponujemy ostateczną „teorią wszystkiego”? Samo wyjaśnienie wszystkich wyników dotychczasowych obserwacji i eksperymentów nie wystarczy. Od dobrej teorii fizycznej wymaga się również przewidywania przyszłości. Musiałaby zatem antycypować nowe zjawiska, które rzeczywiście zostałyby zaobserwowane w nowych doświadczeniach.

Choć ten scenariusz może wydawać się mało realistyczny, to warto pamiętać, że między zapisaniem równań teorii a zrozumieniem klasy ich rozwiązań jest przepaść. Dziś nikt nie wątpi, że równania Einsteina doskonale modelują Wszechświat na dużych skalach i że to się nie zmieni, jeśli okażą się one jedynie przybliżeniem jakiejś ogólniejszej struktury. Jest to niezależne od faktu, że ścisłych rozwiązań równań pola grawitacyjnego jest, po ponad stu latach, dosłownie garstka i nie mamy żadnych ogólnych metod ich konstruowania. I to też się nie zmieni, nawet jeśli teoria Einsteina zostanie wchłonięta przez jakiś ogólniejszy formalizm. Wprost przeciwnie, równania „teorii wszystkiego” najprawdopodobniej byłyby tak skomplikowane, że rozwiązywanie ich zapewniłoby zajęcie dla wielu pokoleń fizyków.

Odkrycie tak rozumianej „teorii wszystkiego” jest marzeniem wielu fizyków. Teoria ta miałaby stanowić ostateczną i niewzruszoną podstawę do budowy wszelkich modeli zjawisk fizycznych.

W świetle historii rozwoju fizyki to oczekiwanie wydaje się naiwne. Raptem 150 lat temu gotowi byliśmy uznać, że to teoria Newtona jest podstawą wszechrzeczy. Dzisiaj większość fizyków wskazywałaby raczej na kwantową teorię pola, choć niektórzy, jak np. sir Roger Penrose, twierdzą, że bardziej fundamentalna jest ogólna teoria względności.

Warto wspomnieć, że sam Newton, choć świadomy doniosłości swoich odkryć, był raczej ostrożny w ferowaniu ostatecznych wyroków. W „Matematycznych zasadach filozofii przyrody” zawarł Regułę 4., która głosi, że reguły teoretyczne opracowane na podstawie danych empirycznych powinny

być uważane za prawdziwe bądź „prawie prawdziwe” dopóty, dopóki nie zostaną odkryte doświadczalnie wyjątki od tych reguł.

Nauka na błędach

Dlaczego zatem znamienici fizycy poszukują jednej „teorii wszystkiego” z uporem godnym lepszej sprawy? Sądzę, że

pierwszym powodem są niewątpliwe sukcesy unifikacji fizyki zapoczątkowane przez Keplera i Newtona, a obecnie kontynuowane dzięki akceleratorom cząstek i potężnym teleskopom. Druga kwestia to dyskomfort związany z tym, że dysponujemy dwiema teoriami fundamentalnymi, których zasady są wzajemnie sprzeczne. Istotnie, budowa spójnego obrazu świata stanowi trzon metody naukowej, która tak niebywale dobrze funkcjonuje już od kilkuset lat.

W Regule 4. Newtona jest jednak ukryta jeszcze jedna przestroga metodologiczna. Jeśli eksperyment ma w sposób wiarygodny zaświadczać o prawdziwości danej teorii, to musi z konieczności wykraczać poza nią. To zabija w zarodku samą możliwość istnienia „teorii wszystkiego”. Innymi słowy, jeśli skonstruujemy formalizm przewidujący wyniki wszystkich przyszłych eksperymentów, to *de facto* utracimy możliwość jego empirycznej weryfikacji. Zamiast testować teorie, zajęlibyśmy się wówczas utwierdzaniem siebie samych

w przekonaniu, że jesteśmy na dobrej ścieżce. O tym, że jest to realne zagrożenie, niech świadczy fakt, że teoria epicykli (w gruncie rzeczy fałszywa) była stosowana i rozwijana przez blisko 2 tys. lat dlatego, że nikt nie próbował podważyć jej założeń o geocentryzmie i kółkości ruchów ciał niebieskich.

Sztuka uprawiania fizyki opiera się na umiejętności lawirowania pomiędzy budowaniem teorii na podstawie przyjętych zasad i kwestionowaniem tychże zasad. Z jednej strony musimy zakładać, że jakaś „Teoria Wszystkiego” – zbiór praw Przyrody – rzeczywiście istnieje i nasze teorie przez małe „t” mogą się do niej zbliżać. Z drugiej strony nie wolno nam nigdy uznać, że już ją osiągnęliśmy.

© MICHAŁ ECKSTEIN



KOLAZ: NATALIA POLASIK / @MOONWATERPL

Prawo ciążenia, a także prawa mechaniki klasycznej okazały się dalece bardziej uniwersalne, niż Newton mógł się spodziewać.

Oblicza symetrii

WOJCIECH GRYGIEL

**Czasem piękna jest jej doskonałość,
innym razem jej brak. Fizyków najbardziej interesują te sytuacje,
gdy symetria ulega złamaniu.**

Pojęcie symetrii posiada swoje korzenie w myśli starożytnej Grecji. O jego pierwotnym sensie przekonuje etymologia. Słowo „symetria” składa się bowiem z dwóch członów: (1) *sym*, tłumaczonego jako „razem”, „wspólnie” oraz (2) *metron*, oznaczającego miarę. Symetria, jeśli zawierzyć etymologii, tożsama jest więc ze współmiernością i takie też jej rozumienie pojawia się w „Elementach” Euklidesa – jednym z najstarszych znanych systematycznych podręczników matematyki. Myśl grecka nadała symetrii dużo głębsze znaczenie, oparte na relacji proporcji, wyrażonej w liczbach naturalnych. Relacja ta spełniała fundamentalną rolę harmonizowania różnych od siebie elementów w jednolitą całość, tłumacząc np. współbrzmienie dźwięków. W ten sposób symetria stała się kluczowa dla wyrażenia idei harmonii, piękna i jedności. Grek podziwiał złożoność świata i harmonijne uzupełnianie się przeciwnych sobie tendencji wierzył, że owe na pozór sprzeczne ze sobą elementy świata muszą być na głębszych poziomach rzeczywistości spojęne w jedno.

Koncepcja symetrii jako proporcji zaczęła jednak w okresie renesansu ustępować innemu jej rozumieniu. Choć było ono mniej intuicyjne, to dzięki swojemu bardziej abstrakcyjnemu charakterowi pozwoliło symetrii stać się potężnym narzędziem zmatematyzowanych teorii fizycznych. Z pozoru zmiana nie wydaje się wcale zbyt istotna: zamiast akcentować podobieństwo związanych poprzez symetrię obiektów, uwagę skupiamy na ściśle określonych aspektach ich równoważności. Przykładowo, jeśli obrócimy sześcian o 90° względem osi przechodzącej przez środki jego przeciwległych ścian, otrzymamy obiekt wyglądający dokładnie tak samo jak przed obrotem – struktura ta pozostaje w wyniku zastosowanej operacji zachowana albo, jak się to częściej

mówi, stanowi jej niezmiennik. Myślenie o symetrii w kategoriach niezmienników przekształceń jest aktualne do dziś i leży u podstaw nowoczesnego rozumienia świata na fundamentalnym poziomie.

W takim rozumieniu symetrii bierze się pod uwagę trzy jej podstawowe elementy: przekształcenie, strukturę oraz zachowanie. Symetrią jest bowiem takie przekształcenie, które, działając na dany obiekt, pozostawia zachowaną jego strukturę, czyli sieć relacji występujących pomiędzy elementami tego obiektu. O symetrii można więc myśleć jako o „odporności na zmianę” – jakaś cecha danego obiektu pozostaje niezmienną w toku dokonanego przekształcenia. Z uwagi na fakt, że tak operacje symetrii, jak i niezmienniczość odnoszą się zawsze do tej samej struktury, można słusznie podejrzewać, że między tymi pojęciami istnieją istotne związki. Zanim jednak je omówimy, musimy zapoznać się z matematycznym pojęciem grupy, kluczowym dla formalizacji koncepcji symetrii.

Inwazja grup

Odkrycie teorii grup dokonało się nie na gruncie geometrii, lecz algebry, będącej jednym z najstarszych działów matematyki. Pierwotnie dotyczyła metod rozwiązywania równań, w jaki jednak sposób przejść od $x=2y+5$ do pojęcia symetrii? Historia tego odkrycia stanowi piękną demonstrację charakterystycznego w matematyce uogólniania i abstrahowania.

Pojęcie grupy zostało wprowadzone przez francuskiego matematyka, Évariste’a Galois (1811–1832), natomiast jego formalną definicję podał brytyjski matematyk Arthur Cayley (1821–1895). Grupa to dla współczesnego matematyka każdy zbiór obiektów tworzących w pewnym szczególnym sensie spójną całość – tak że w wyniku określonej operacji możemy „przeskakiwać” od jednego elementu tej grupy do innego. Grupę tworzą np. liczby

całkowite, ponieważ operacja dodawania dostarcza nam „powiązania” pomiędzy liczbami 2 i 3 oraz liczbą 5.

Dla zastosowań teorii grup w matematyce i fizyce ogromne znaczenie posiadały dwa teoretyczne rezultaty: program erlangencki, sformułowany w 1872 r. przez niemieckiego matematyka i geometrę Felixa Kleina (1849–1925), oraz tzw. twierdzenia Noether, udowodnione w 1918 r. przez niemiecką matematyczkę Emmy Noether (1882–1935). W ramach programu erlangenckiego wypracowany został metajęzyk – czyli ogólniejszy, bardziej abstrakcyjny język – pozwalający na zunifikowanie istniejących geometrii, takich jak geometria euklidesowa, afiniczna, hiperboliczna czy geometria rzutowa. Ów nowatorski program zmienił całkowicie rozumienie pojęcia „geometria”. Zamiast klasycznego poglądu, że nauka ta mówi o stosunkach przestrzennych – a więc jest po prostu znaną nam ze szkoły nauką o punktach, prostych, kątach i figurach geometrycznych – definiował jako geometrię dowolny zbiór obiektów wraz z pewną grupą przekształceń. Geometria bada więc te własności obiektów, które nie zmieniają się przy dowolnym przekształceniu z obranej grupy. Własności te określa się mianem niezmienników danej grupy przekształceń.

Twierdzenia Noether wiążą natomiast symetrię ze światem fizyki, wprowadzając nową, bardzo już teraz abstrakcyjną naukę geometrii do opisu świata przyrody. Pierwsze twierdzenie Noether, mówiąc nieformalnie, głosi, że każdej ciągłej i globalnej symetrii odpowiada prawo zachowania pewnej fizycznej wielkości. Przykładami są symetrie czasoprzestrzenne, zawierające przesunięcia i rotacje w przestrzeni, a także przesunięcia w czasie. Symetriom tym odpowiadają prawa zachowania pędu i momentu pędu oraz prawo zachowania energii. Przykła-



Henryk Waniek, „Harmonia Mundi”

dowo, zgodnie z twierdzeniem Noether występuje głębokie powiązanie pomiędzy faktem, że we Wszechświecie istnieje zasada zachowania energii – energia nie pojawia się ani nie znika, lecz tylko zmienia postać – a faktem, że istnieje w nim symetria względem przesunięcia w czasie: prawa przyrody są te same teraz i za pięć minut. Udowodnienie tego twierdzenia stanowiło olbrzymią korzyść dla fizyki. Różne formy porządku w przyrodzie okazały się wiązać ze sobą, tworząc swego rodzaju nadporządek, jeszcze głębszy od fizycznego, bo zakodowany w podstawach matematyki.

Choć symetrię można łatwo zidentyfikować w równaniach mechaniki newto-

nowskiej i teorii względności, to jednak w sposób szczególnie siłą symetrii ujawniła się w formalizmie mechaniki kwantowej. Na gruncie fizyki kwantowej ową przestrzenią nie jest jednak zwykła, otaczająca nas trójwymiarowa rozciągłość, w której zanurzone są obiekty fizyczne, tylko abstrakcyjny obiekt matematyczny zwany przestrzenią Hilberta. Reguły matematyki obowiązują jednak bez względu na to, jak postanowimy zinterpretować dany obiekt matematyczny, a kwantowe grupy symetrii utożsamia się już dziś z podstawowymi własnościami obiektów mikroświata. Niezwykła skuteczność symetrii w konstruowaniu teoretycznego opisu rzeczywistości fizycznej poskutko-

wała ukuciem przez jednego z twórców mechaniki kwantowej, niemieckiego fizyka, Wolfganga Paulego (1900–1958), terminu *Gruppenpest*, co na polski tłumaczy się jako „plaga (teorii) grup”.

Twórcza niedoskonałość

Dalsza manifestacja siły symetrii w postaci tzw. lokalnych symetrii cechowania miała miejsce w ramach standardowego modelu cząstek elementarnych, czyli, zgodnie ze swoją nazwą, standardowego dziś opisu fundamentalnych obiektów świata fizyki, jak fotony, elektrony czy kwarki. W teorii tej różne typy symetrii można bezpośrednio wiązać z poszczególnymi oddziaływaniami, $\mapsto$

→ pozwalającymi cząstkom wymieniać się energią i wpływać na siebie. Nie będę tutaj wyjaśniać szczegółowo, na czym polegają owe symetrie i co oznaczają ich intrygujące nazwy – istotne są bowiem same zależności pomiędzy nimi.

Istnieją cztery fundamentalne oddziaływania pomiędzy cząstkami subatomowymi – elektromagnetyczne, jądrowe słabe i jądrowe silne oraz na pozór podobne, ale wciąż umykające ujednoliconemu opisowi, oddziaływanie grawitacyjne. Model standardowy cząstek elementarnych mówi o trzech pierwszych. Za oddziaływania elektromagnetyczne pomiędzy naładowanymi cząstkami odpowiedzialne są fotony, które podlegają symetrii $U(1)$. Z kolei oddziaływania jądrowe słabe możliwe są dzięki bozonom Z , W^+ oraz W^- , opisywanym symetrią $SU(2)$. Co niezwykle, gdy Steven Weinberg i Abdus Salam zaproponowali w latach 60. XX w. połączenie sił elektromagnetycznych i słabych w postaci zunifikowanej teorii oddziaływań elektroslabych, teorii tej właściwa była łączna symetria $SU(2) \times U(1)$. W ramach teorii zwanej chromodynamiką kwantową opisuje się z kolei oddziaływania jądrowe silne, realizujące symetrię $SU(3)$, które przenoszone są przez gluony. Ostatecznie całkowitą symetrię właściwą standardowemu modelowi cząstek elementarnych zapisuje się jako $SU(3) \times SU(2) \times U(1)$: jest to więc jak gdyby „nadsymetria” będąca sumą trzech symetrii związanych z poszczególnymi oddziaływaniami fundamentalnymi. Piękny, elegancki wynik pokazujący po raz kolejny, że warto było wprowadzić teorię grup do fizyki.

Standardowy model cząstek elementarnych nie pozwalał jednak wyjaśnić, skąd pochodzi masa cząstek. Do tego celu potrzebna była zupełnie odmienna własność symetrii, jaką stanowi możliwość jej spontanicznego łamania. Efekt łamania symetrii występuje wówczas, gdy w badanym układzie dochodzi do obniżenia jego symetrii. Klasycznym przykładem jest ustawiony na ostrzu ołówek. Ponieważ nie jest on początkowo przechylony w żadną stronę, układ jest symetryczny względem obrotów: można na niego patrzeć z dowolnej strony i zawsze będzie wyglądał tak samo. Jest to jednak równowaga nie-

trwała i najlżejszy podmuch powietrza sprawi, że owa symetria ulegnie „złamaniu” – ołówek przechyli się w określoną stronę i w końcu upadnie na stół, skierowany tylko w jednym, konkretnym kierunku. Efekt łamania symetrii został po raz pierwszy poddany systematycznej analizie przez Piotra Curie. Rezultaty jego dociekań znane są dziś jako zasady Curie, które orzekają, że występowanie zjawiska fizycznego na skutek działania przyczyn wiąże się z obniżeniem symetrii ośrodka, w którym dane zjawisko zachodzi. Ujmując rzecz skrótowo: „dyssymetria jest tym, co wywołuje zjawiska”.

Wróćmy do fizyki fundamentalnej. Za masę cząstek odpowiada, jak się okazuje, kolejna cząstka fundamentalna: bozon Higgsa, którego istnienie przewidziano ponad pół wieku temu, natomiast potwierdzenie eksperymentalne uzyskano dopiero w lipcu 2012 r. Od strony teoretycznej bozon Higgsa utożsamia się ze związanym z nim polem, wywołującym spontaniczne łamanie symetrii, dzięki któremu bezmasowe cząstki uzyskują masę.

Nie ulega wątpliwości, że pojęcie symetrii odniosło w fizyce niebywały sukces. Z tego powodu wielu fizyków wyraża przekonanie, że może ona określać ontologię fundamentalnego poziomu fizycznej rzeczywistości. Czy jest to jednak słuszne? Biorąc pod uwagę to, co ustaliliśmy wcześniej, aby w ogóle można było rozważać operacje symetrii, czyli przekształcenia, musi istnieć jakiś układ odniesienia, względem którego przekształcenie to będzie identyfikowane. Aby jednak taki układ odniesienia mógł spełnić swoją rolę, sam musi wykazywać asymetrię w stosunku do przekształceń symetrii, które mają służyć jako standard. Gdyby był względem tych przekształceń symetryczny, wówczas detekcja jakichkolwiek zachodzących w ich wyniku zmian byłaby niemożliwa. Stąd też płynie bardzo ważny wniosek, że każda symetria implikuje asymetrię. Mówiąc krótko, dla każdej symetrii jest gdzieś we Wszechświecie ukryta asymetria. Obserwacja ta rzuca wyraźną wątpliwość, czy symetria konstituuje fundamentalny poziom rzeczywistości – być może ważniejszy, bardziej fundamentalny jest jednak nieporządek?

© WOJCIECH GRYGIEL

Utkany z czasu i przestrzeni

SEBASTIAN J. SZYBKĄ

W kosmosie istnieją nie tylko obiekty złożone z mniej czy bardziej egzotycznej materii. Budulcem Wszechświata – być może najważniejszym ze wszystkich – jest sama geometria.

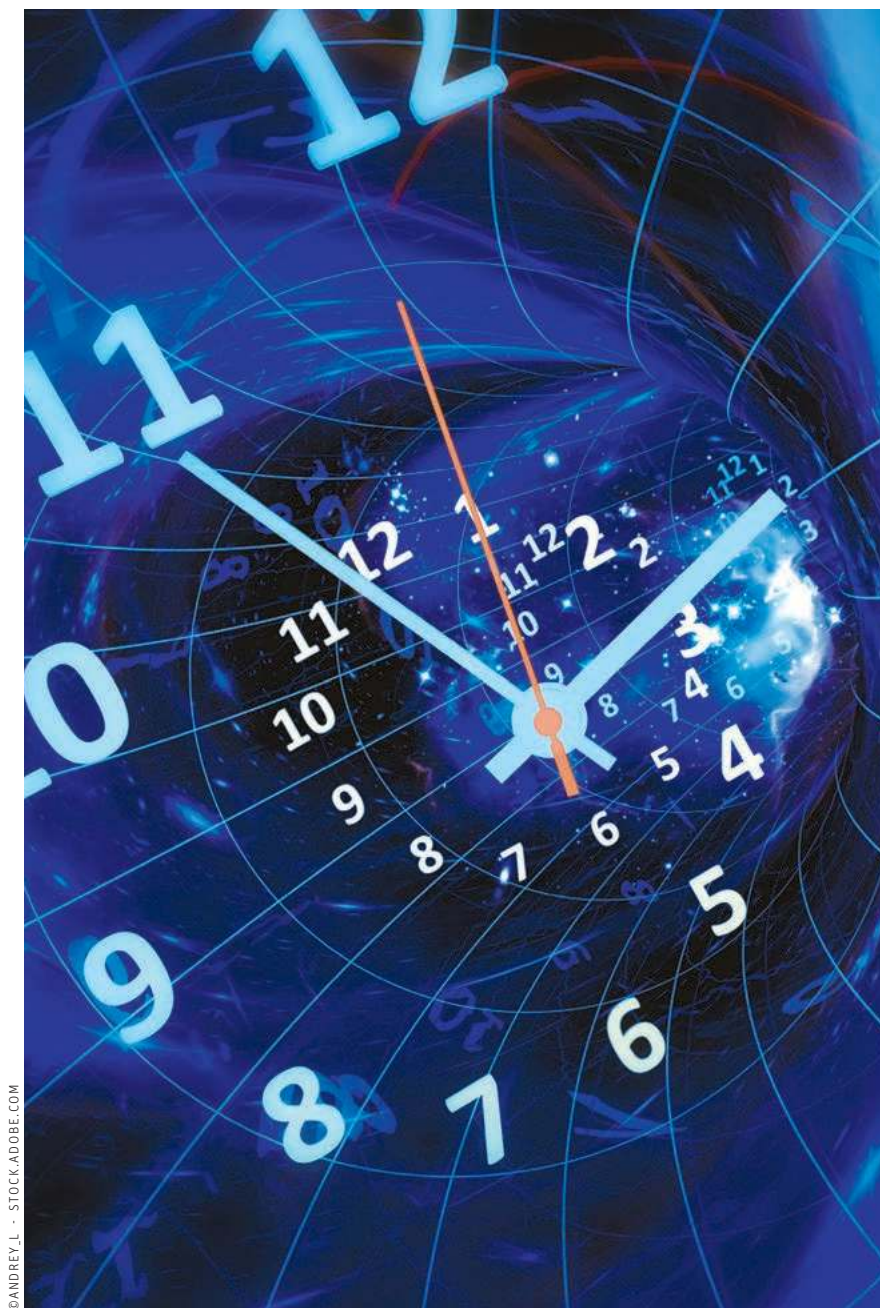
M

ichał Heller w książce „Ostateczne wyjaśnienia wszechświata” zauważa, że w ludziach drzemie tajemniczy instynkt rozumienia. Niedające zaspokoić się pragnienie, „żeby nie było nic, co by nie pozostawało bez racji, i to racji usuwającej wszelki niepokój wątplenia”. Dręcząca konieczność, by zlikwidować jakikolwiek cień podejrzenia, iż świat mógłby być skonstruowany inaczej, niż sądzimy. Sukcesy współczesnej fizyki utwierdzają nas w przekonaniu, że w spełnieniu wielowiekowego snu o teorii ostatecznej kluczową rolę powinna odgrywać matematyka. A zwłaszcza – geometria.

Rzeczy wieczne

Pogląd, że geometria to wiedza o tym, co istnieje wiecznie, przypisuje się Pitagorasowi, ale myślę, że podpisałoby się pod nim wielu współczesnych fizyków. Być może to zwykła skłonność ludzkiego umysłu, ale studiując trójkąt narysowany na piasku, szczególnie łatwo dostrzec związek pomiędzy światem rzeczywistym a wiecznym światem matematycznych bytów. Prawdopodobnie to właśnie dlatego próby objaśnienia świata za pomocą geometrii od wieków wydawały się szczególnie atrakcyjne.

Nad wejściem do Akademii Platńskiej miał się znajdować napis: „Niech tutaj nie wchodzi nikt, kto nie zna geometrii”. Platon żądał, aby pięcioletnie studia filozo-



© ANDREX.L - STOCK.ADOBE.COM

ficzne poprzedzić aż dziesięcioletnimi studiami geometrii. Według Galileusza literami, za pomocą których napisano „księgę Wszechświata”, są trójkąty, koła i inne figury geometryczne. Kepler, próbując odgadnąć wzorec, według którego Bóg stworzył Wszechświat, zaproponował (pomysłowy, choć fałszywy) model Układu Słonecznego zbudowany na podstawie pięciu brył platońskich. Przykłady takie można by mnożyć.

Geometria kojarzy się nam ze szkolnymi lekcjami matematyki, na których rysowaliśmy figury, porównywaliśmy kąty, wyznaczaliśmy żądane proste. To jednak wiedza sprzed dwóch tysięcy lat.

Na przestrzeni ostatnich dwustu lat pojęcie geometrii uległo znacznemu uogólnieniu. Obecnie przenika ono prawie wszystkie działy matematyki.

Życie na sferze

Powierzchnia stołu jest dwuwymiarowa i płaska. Oznacza to, że suma kątów w trójkątach narysowanych na takiej powierzchni wynosi 180 stopni, stosunek obwodu okręgu do jego promienia to 2π , a dwie proste równoległe nigdy się nie przecinają. Te oczywiście dla nas fakty przestają być prawdziwe, jeśli zamiast powierzchni stołu rozważymy np. powierzchnię kuli.

Powierzchnia kuli jest zakrzywiona. Doświadczenie naszych zmysłów podpowiada nam, że nie ma nic niezwykłego w zakrzywionych dwuwymiarowych powierzchniach. Być może nieco mniej oczywiste jest już to, że jeśli narysujemy na powierzchni piłki dwie równoległe do siebie kreski, to jeśli zechcemy je przedłużyć, w niedługim czasie się spotkają (podobnie jak południki na globusie, które przecinają się na biegunach).

Fizyczna przestrzeń, w której żyjemy, jest trójwymiarowa. Również trójwymiarowe przestrzenie mogą być płaskie lub zakrzywione. Chociaż analogia do przykładu ze stołem i kulą jest oczywista, ludzkość potrzebowała ponad dwóch tysięcy lat, aby zdać sobie z niej sprawę. Choć trójwymiarowa przestrzeń, w której żyjemy, jest zakrzywiona, to jej krzywizna w pobliżu Ziemi jest niewielka i nie ma praktycznego znaczenia dla żyjących na niej stworzeń. Nie zostaniemy zjedzeni przez drapieżnika, jeśli będziemy uciekać tak, jakbyśmy żyli w płaskiej przestrzeni. Zdrowy rozsądek, wielki wróg fizyki i wyobraźni, opierając się na świadectwie naszych zmysłów, nie chce dopuścić do naszego umysłu faktu, że przestrzeń, w której żyjemy, może się zakrzywiać.

Pytanie o krzywiznę trójwymiarowej fizycznej przestrzeni jako pierwszy najprawdopodobniej postawił publicznie rosyjski matematyk Nikołaj Łobaczewski. Aparat matematyczny umożliwiający w pełni badanie zakrzywionych przestrzeni stworzył w połowie XIX w. Bernhard Riemann. Jednak żeby uczynić z geometrii narzędzie dające nadzieję na zrozumienie ostatecznych praw przyrody, potrzeba czegoś więcej. Krzywizna przestrzeni powinna stać się integralną częścią teorii fizycznej, a nie tylko możliwością matematyczną.

Grawitacja jako zakrzywienie

W 1905 r. Einstein sformułował szczególną teorię względności. Wynika z niej, że czas nie jest absolutny, lecz dla dwóch różnych obserwatorów może upływać w odmiennym tempie. Trzy lata później Herman Minkowski wygłosił w Kolonii słynny odczyt, w którym przedstawił geometryczną interpretację teorii Einsteina. W referacie pojawiło się prorocze zdanie: „Odtąd pojęcie samodzielnej przestrzeni i samodzielnego czasu odchodzą całkowicie w cień, a tylko swego rodzaju ich połączenie zachowa niezależny sens”. Wbrew ↪

→ świadectwu naszych zmysłów pojęcia czasu nie sposób rozważać osobno od pojęcia przestrzeni. Sens fizyczny ma obiekt złożony z obu tych pojęć, tzw. czasoprzestrzeń.

Einstein początkowo był sceptyczny co do interpretacji jego teorii przedstawionej przez Minkowskiego. Szybko jednak przekonał się, że Minkowski ma rację, i zaczął nadrabiać matematyczne braki. Na efekty jego pracy nie trzeba było długo czekać. Rok 1915 przyniósł światu nową teorię grawitacji: ogólną teorię względności. Prawie sto lat wcześniej Łobaczewski zaproponował, że trójwymiarowa przestrzeń fizyczna może się zakrzywiać. Einstein odkrył, iż aby uczynić z tej hipotezy teoretycznej możliwości integralną część fizyki, należy rozważyć zakrzywienie nie trójwymiarowej przestrzeni, lecz czterowymiarowej czasoprzestrzeni. Co najważniejsze, podał przy tym równania, które określają, w jaki sposób czasoprzestrzeń wygina się pod wpływem znajdującej się w niej masy i energii. Grawitacja w ujęciu Einsteina nie jest tajemniczą siłą działającą pomiędzy dwoma ciałami. Masa Słońca zakrzywia czasoprzestrzeń i to zakrzywienie determinuje ruch Ziemi oraz pozostałych planet.

Jajko mądrzejsze od kury

Równania ogólnej teorii względności (zwane dalej równaniami Einsteina) są bardzo skomplikowane. Ich struktura i rozwiązania są przedmiotem badań prowadzonych do dzisiaj. Wiedza astronomiczna w 1915 r. była całkowicie nieadekwatna do wizji świata wynikającej z tych równań. Nikt nie był przygotowany na istnienie czarnych dziur, fal grawitacyjnych, ekspandującego Wszechświata. Również Einstein nie mógł przez wiele lat uwierzyć, że rzeczywistość wygląda tak, jak wynika to z jego równań.

Jednym z niepokojących Einsteina faktów była obserwacja, iż czas i przestrzeń (czasoprzestrzeń) uzyskały w jego teorii sens niezależny od wypełniającej świat materii. Oczekiwano, iż pusta czasoprzestrzeń będzie płaska, tzn. że jest czasoprzestrzenią odkrytą przez Minkowskiego. Okazało się, że energia może zostać uwięziona w zakrzywieniu czasoprzestrzeni. Mogą istnieć obiekty, które dosłownie składają się z „niczego”. To odkrycie przeddefiniowało nasze rozumienie tego, co to znaczy istnieć. Czas i przestrzeń mogą tworzyć nietrywialne konfi-



Obiektami będącymi

po prostu
**zakrzywieniem
czasoprzestrzeni**

są czarne dziury.

Ich istnienie jest
potwierdzone przez
liczne obserwacje
astronomiczne.

guracje, które dla odległego obserwatora wyglądają jak obiekty zbudowane z materii. Nawet obecnie dla osób, które widziały niejeden film *science fiction*, brzmi to niesamowicie. Sto lat temu, w czasach gdy nie wiadano, że istnieją inne galaktyki, a wizję kosmosu kształtował film „Lot na Księżyc” Georges’a Mélièsa, taka możliwość była trudna do zaakceptowania. Współcześnie wiemy, iż obiektami tego typu – będącymi „po prostu” zakrzywieniem czasoprzestrzeni – są czarne dziury. Ich istnienie jest potwierdzone przez liczne obserwacje astronomiczne. Od 2015 r. dokonujemy detekcji fal grawitacyjnych (zmarszczek czasoprzestrzeni) powstających w zderzeniach czarnych dziur. W kwietniu ubiegłego roku po raz pierwszy zaprezentowano radiowy obraz gigantycznej czarnej dziury ze stosunkowo bliskiej galaktyki M87.

Obraz świata

Każda epoka tworzy swój własny obraz rzeczywistości – wyobrażenie na temat tego, czym jest świat. Obraz ten, zarysowany w umysłach większości z nas, przeważnie nie uwzględnia aktualnego stanu wiedzy. Przypuszczam, że obecnie w zbiorowej wyobraźni ciągle dominuje mechanicyzm (natura to mechanizm, zbiór materialnych elementów w ruchu), który

w nauce królował w początkach XIX w. Wyobrażenie to uzupełniamy, ugruntowaną później, koncepcją atomów oraz strzępkami XX-wiecznej fizyki.

Obecnie nauka proponuje jednak inną, tzw. teoriopolową wizję rzeczywistości. Nie jesteśmy zbudowani z małych materialnych elementów, niczym figurka z klocków Lego. Dla współczesnego fizyka świat to geometryczna scena zakrzywionej i dynamicznej czasoprzestrzeni, którą wypełniają rozmaite „pola kwantowe” o określonych symetriach. Koncepcja „pola kwantowego” jest trudna do zdefiniowania bez odwoływania się do matematyki. Wystarczy dodać, że cząstki, które tworzą atomy naszych ciał, choć często przyjmują stabilne konfiguracje, to bardziej przypominają morskie fale niż małe niepodzielne elementy. Indywidualna tożsamość tych ciągle podmieniających się fal nie ma znaczenia. Liczy się ich wzajemne położenie, ich taniec.

Obecnie wiemy również, że nasza wizja świata nie jest kompletna: istnieją miejsca w czasie i przestrzeni, w których nasz obraz rzeczywistości się załamuje. Tłumaczymy świat za pomocą dwóch jakościowo odmiennych koncepcji: grawitacja ma wyjaśnienie geometryczne, a pozostałe oddziaływania, np. siła elektromagnetyczna (ta sama, która odchyła igłę kompasu i pozwala nam wygodnie rozsiąść się w fotelu), to fizyczne pola. Wierzymy, iż teoria ostateczna powinna wyjaśniać świat jako przejaw jednej matematycznej prawdy, a nie konglomerat wielu niezwiązanych matematycznych struktur.

Sytuację tą najlepiej zobrazować za pomocą równań Einsteina. Lewa strona tych równań opisuje geometrię, czyli grawitację. Prawa strona to promieniowanie i materia. To głównie one dyktują geometrii, w jaki sposób powinna się zakrzywiać. Lewa strona równań Einsteina wydaje się bardziej podstawowa. Czy nie można wytłumaczyć prawej strony na sposób geometryczny? Przykład czarnych dziur, jako obiektów posiadających masę, lecz utworzonych jedynie z czasu i przestrzeni, sugeruje, że taka próba ma sens.

W czasach, gdy powstawała teoria grawitacji Einsteina, w środowisku naukowym dominował elektromagnetyczny obraz świata. Ten zapomniany już dzisiaj punkt widzenia przyjmował, że to oddziaływania elektromagnetyczne są bardziej fundamentalne od grawitacji.

W uproszczonej wersji z końca XIX w. zakładano, że Wszechświat jest wypełniony tajemniczym eterem, wszechobecnym, a jednak niewidocznym, jak powietrze dla mieszkańców powierzchni Ziemi. Zjawiska elektromagnetyczne, takie jak światło czy fale radiowe, to zaburzenia eteru. Z kolei cząstki to węzły czy też wiry w eterze, a oddziaływanie pomiędzy nimi (skutek uboczny elektromagnetyzmu) to grawitacja. Ponieważ znano wówczas tylko jedną cząstkę – elektron – to takie podejście wydawało się obiecującą próbą unifikacji całej ówczesnej fizyki. Odkrycia Einsteina zmieniły sytuację: to grawitacja stała się bardziej fundamentalna.

Wszystko z geometrii?

W 1914 r., czyli jeszcze przed ukończeniem przez Einsteina ogólnej teorii względności, fiński fizyk Gunnar Nordström wpadł na pomysł, aby zunifikować elektromagnetyzm z grawitacją, dodając do czasoprzestrzeni dodatkowy wymiar przestrzenny. Kilka lat później matematyk Theodor Kaluza, nieświadomy prób Nordströma, przedstawił Einsteinowi własną, bardzo podobną wersję unifikacji.

Okazało się, że czterowymiarowy wszechświat (trzy wymiary przestrzenne i czas) wypełniony polem elektromagnetycznym jest w pewien sposób tożsamy z pięciowymiarowym pustym wszechświatem (cztery wymiary przestrzenne i czas). Oznaczało to, że za pomocą czystej geometrii można było opisać prawie całą ówczesną fizykę. Pomysł Kaluzy został dopracowany przez Oskara Kleina. Einstein początkowo entuzjastycznie podszedł do nowej teorii. Dlaczego więc nie odniosła ona sukcesu? Otóż piąty wymiar w teorii Kaluzy-Kleina jest w sposób sztuczny dokładnie tak „zwinięty”, aby prawie całkowicie ukryć się przed nami. To powoduje, że cała konstrukcja jest dosyć nienaturalna. Dodatkowo, w pierwszej połowie XX w. odkryto nowe cząstki i prędko zdano sobie sprawę, że grawitacja i elektromagnetyzm nie stanowią kompletnego opisu rzeczywistości. Pole elektromagnetyczne nie jest jedynym polem, które należy zgeometryzować. Teoria Kaluzy-Kleina w rozmaitych rozszerzonych wersjach (nawet dziesięć wymiarów przestrzennych) pojawiała się jeszcze w historii fizyki, ale nigdy nie zasłużyła na powszechną akceptację.

Główną przeszkodą w geometryzacji całej fizyki okazało się inne przełomowe

Przestrzenie i zakrzywienia

ŻYJEMY NA ZAKRZYWIONEJ powierzchni dwuwymiarowej – powierzchni Ziemi. Planeta Ziemia znajduje się w trójwymiarowej przestrzeni kosmicznej, która sama, zgodnie z ogólną teorią względności, także może się zakrzywiać.

Trudno to sobie wyobrazić, ponieważ nie potrafimy „wzbic się ponad kosmos”, aby dostrzec jego krzywiznę. Możemy jednak wykryć to zakrzywienie, badając odstępstwa od znanej ze szkoły geometrii euklidesowej. Co więcej, zgodnie z ogólną teorią względności, czterowymiarowa czasoprzestrzeń także może ulegać zakrzywieniom (zarówno lokalnym, jak i globalnym), co objawia się wspomnianym „odeuklidesowaniem” przestrzeni oraz zaburzeniami upływu czasu (przykładowo, czas na powierzchni Ziemi płynie nieznacznie wolniej niż na orbicie). Zakrzywienie wpływa także na ruch obiektów fizycznych – wpływ ten, zgodnie z teorią Einsteina, to nic innego jak grawitacja.

Globalne zakrzywienia czasoprzestrzeni wiążą się z ewolucją całego kosmosu – wynikają między innymi z rozkładu masy we Wszechświecie i decydują o jego przyszłości (zob. infografika, str. 74).

© TM, ŁK

odkrycie z początków XX w. – mechanika kwantowa. Świat cząstek elementarnych nie jest klasyczny, lecz kwantowy. Oznacza to, że wielkości fizyczne takie jak energia mogą przyjmować tylko określone wartości. Mechanika kwantowa umyka wszystkim naszym zdroworozsądkowym przyzwyczajeniom.

Fizycy wypracowali sposób na znajdowanie teorii kwantowych. Na przykład odpowiednią procedurą (zwaną kwantyzacją) pozwala stworzyć na podstawie klasycznej elektrodynamiki (teoria oddziaływania naładowanych cząstek i fotonów) elektrodynamikę kwantową. Być może pola fizyczne wyglądają na mniej fundamentalne od geometrii, lecz przynajmniej wiemy, jak je kwantować. Chociaż od samego początku istnienia ogólnej teorii względności Einstein rozważał konieczność opracowania kwantowej

wersji swojej teorii, to do dziś, pomimo wielu prób i trwających wiele dziesięcioleci badań, takiej teorii nie znaleziono. Trudno zgeometryzować całą fizykę, jeśli ta okazała się w swej naturze kwantowa, a my nie wiemy, jak kwantować geometrię.

Samopoznające się atomy

Pomimo tych oczywistych trudności idea geometryzacji fizyki pojawiła się w historii fizyki w całej pełni jeszcze nie raz, m.in. za sprawą znanego eksperta od ogólnej teorii względności Johna Wheelera.

Wheeler w połowie lat 50. XX w. rozpoczął matematyczne badania obiektów zwanych geonami – fal grawitacyjnych lub elektromagnetycznych utrzymywanych w zwartej konfiguracji przez własną energię. Teoria grawitacji Einsteina dopuszcza istnienie obiektów tego typu, ale nie wiadomo, czy naprawdę istnieją one we Wszechświecie. Geon z daleka powinien wyglądać jak obiekt posiadający masę. Teoria Einsteina nie załamuje się wewnątrz geonu tak, jak dzieje się to we wnętrzu czarnych dziur. Wheeler rozpoczął swoje teoretyczne badania od obiektów klasycznych licząc na to, że jego studia doprowadzą go do geonów kwantowych, a te z kolei będzie można utożsamiać z cząstkami elementarnymi. W ten sposób geometria pozwoliłaby zunifikować całą fizykę.

Niestety, rozważane geony okazały się niestabilne. Obliczenia należało powtórzyć w ramach kwantowej grawitacji, a tej teorii nie udało się odkryć. Program badawczy Wheelera zaczął chylić się ku upadkowi w latach 70. Mimo to trudno nie docenić atrakcyjności idei, która motywowала tę pracę. Czy można wyobrazić sobie coś piękniejszego niż Wszechświat, gwiazdy i ludzi utkanych wyłącznie z czasu i przestrzeni?

Upadek programu tej tzw. geometrodynamiki nie oznacza, że pomysł Wheelera nie był właściwy. Być może nasza wiedza nie dojrzała jeszcze po prostu do tego, by zmierzyć się z tą ideą. Uczeń Wheelera, noblista, Richard Feynman zdefiniował kiedyś fizykę jako „sposób”, w który atomy dowiadują się o atomach. Parafrazując jego słowa moglibyśmy powiedzieć, iż jeśli Wheeler ma rację, to fizyk jest „sposobem”, w jaki czas i przestrzeń poznają, że istnieją.

© SEBASTIAN J. SZYBKĄ

BAJKOPISARKA Z INSTAGRAMA

Blanka Lipińska wyciska ze swoich 365 dni sławy tyle, ile się da. Weszła z impetem na zaniedbane terytorium powieściowej erotyki dla polskich kobiet.

Komu to przeszkadza?

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

GDZIEKOLWIEK BY DZIŚ WYŚCIUBIĆ nos w stronę wielkiego świata, fle-szy i cekinów, tam niechybnie porazi nas blask Blanki Lipińskiej. Stylizuje się i ocenia stylizacje innych, odslania się dosłownie i metaforycznie, pomstując na wylewany na nią hektolitrami hejt oraz publicznie cierpi za miliony w butach milionerki. „Wystarczy być” nie jest jej dewizą, jest nią „trzeba nieustająco nadawać, aby być”. W jej przypadku mówienie o osobowości medialnej wydaje się przestarzałe, gdyż nie chodzi o postać, która wykrawa jakiś fragment swojego jestestwa, by w przyprowadzonej formie skonsumować go na ekranie, a resztę zostawić za kulisami.

Jest istotą medialną – kimś, kto myśli i oddycha medialnie, i nigdy nie dostaje zadyszki. Rzecz jest o tyle ciekawa, że ta gwiazda świecąca mocą jarzeniówki to nie pospolita celebrytka rozpoznawana wyłącznie dzięki wyczynom na bankietowej ścianie, lecz osoba znana z tego, że pisze książki. I to jest najbardziej optymistyczny wątek tej opowieści. O reszcie należałoby milczeć, gdyby nie nauka, która płynie z historii o sławie pozbawionej chwały.

Baśń dla influencerów

Z bestsellerową trylogią E.L. James o Christianie Greyu łączy powieści Lipińskiej nie tylko tematyka, ale także sposób pro-

moji książek wpływowymi kanałami nieformalnymi. Kiedy w 2013 r. Lipińska założyła profil na Instagramie, groziła jej mizerna satysfakcja z pozycji jednej z tysięcy instadziwek, które wyginają śmiało ciało w pięknych okolicznościach przyrody. Nawet soczyste od szczerości wyznania, jak „mam fajne cyce i dobrze mi z tym”, ani towarzystwo innych osób wyposażonych w ten cenny na Instagramie zasób, nie pomagały. Obserwujących nie przybywało.

Lawina ruszyła dopiero wraz z debiutanką książką Lipińskiej, którą chwaliła się od dnia podpisania umowy wydawniczej. W promocji pierwszej książki pomogły jej naczelne celebrytki kraju: Doda i Natalia Siwiec. Wreszcie w połowie 2018 r. dołączyła do elity influencerów, które dyktują agendę plotkarskich mediów. Jeden z jej ostatnich wpisów przed tym, gdy „365 dni” trafiło do księgarń, brzmiał proroczo: „ostatnie chwile spokoju”. Decydując się na rolę nie tylko autorki skandalizującej fabuły, ale przede wszystkim błagającej o egotyczną uwagę atencjuszek, stała się jednym z najbardziej gorących i znienawidzonych nazwisk na polskim targowisku próżności.

W listopadzie tygodnik „Wprost” opublikował ranking najlepiej zarabiających pisarzy w Polsce. Lipińską wyprzedził z dwukrotnie wyższymi dochodami tylko Remigiusz Mróz, lecz trudno się ści-

gać z Usainem Boltem powieści gatunkowej. Tuż za królową erotyków uplasowała się Olga Tokarczuk i autorki popularnych serii dla najmłodszych – o Puciu i Kici Koci. W ogóle pisarki i literatura dla kobiet małych i dużych przeważają w tym zestawieniu, co może wróżyć to, że gatunek, który wybrała Lipińska, ma przyszłość i rosną nowe czytelniczki.

Zanim urodzona w połowie lat 80. autorka złapała pisarską żyłkę, zbierała cenne doświadczenia na innych, ale wcale nie tak bardzo odległych polach. Pracowała jako terapeutka-hipnotyzerka, menedżerka nocnych klubów i promotorka KSW Ring Girls, czyli osoba wybierająca dwudziestolatki, które z uśmiechem i w neglizmu upiększają brutalne gale mieszanych sztuk walki. A czym właściwie różni się pisanie erotyków od szukania praktycznych rozwiązań, jak zaspokoić ukryte i jawne pragnienia?

Bez wątpliwości Lipińska jest osobą, która myśli strategicznie i długofalowo. Wokół swojej powieści od razu wytworzyła miejską legendę, powtarzając w licznych wywiadach, że napisała ją jako formę terapii, której samodzielnie poddawała swoją miłosną relację pozbawioną seksu. Związek się rozpadł, ale potencjał terapii słowem został w pełni wykorzystany. Historia Laury Biel (anagram inicjałów autorki pewnie nie jest przypadkowy) niemal od początku była zaplano-

Blanka Lipińska podczas uroczystej premiery filmu „365 dni”, Warszawa, luty 2020 r.



wana jako trylogia. Tomy „365 dni”, „Ten dzień” oraz „Kolejne 365 dni”, które sprzedały się w blisko milionie egzemplarzy, ukazywały się w odstępie ledwie kilku miesięcy. Choć ostatni trafił do księgarń już trzy kwartały temu, to saga jeszcze długo nie zejdzie z afisza.

7 lutego premierę miała ekranizacja pierwszej części, a jej frekwencyjny sukces gwarantuje, że Walentynki 2021 i 2022 też zostaną skonsumowane w kinach przez perypetie polsko-włoskiego romansu Laury i Massima, skrojonego tak, że opowieść Brytyjki o Greyu wydaje się przy nich niewinną igraszką.

Baśń dla złośliwych krytyków

Poniższego subiektywnego bryku z trzech części erotycznej noweli Lipińskiej nie powinni czytać ci, którzy zbierają siły na tę lekturę lub jej filmową adaptację. Zdradzam bowiem wiele – łącznie z zakończeniem. Pozostali być może wykorzystają to skromne streszczenie jako asumpt do towarzyskich rozmów o modnych książkach, których czytać nie zamierzają, ale chętnie się o nich wypowiedzą.

Don Massimo Torricelli, szcicha sycylijskiej mafii, bawi się w Pigmaliona. Po groźnym wypadku ma wizję idealnej wybranki, na którą czeka, zmuszając do seksu podwładne. Jego Galateą okazuje się wielbicielka ośmiorniczek i „Vogue’a”, Polka piękna ze aż strach, lecz zaniedbywana przez ślamazarnego partnera. Massimo porywa ją i daje 365 dni na zakończenie się w nim. W międzyczasie zabija kilku rywali i niemal pozbawia życia Laurę, której sierpowy też przy nim nie próżnuje. Kobieta jednak szybko urządza się w pałacu mafiosa i po dwóch miesiącach już go kocha, w czym wydatnie pomagają regularne dostawy ubrań i butów do jej garderoby. Do pełnego stosunku seksualnego dochodzi między tą parą na stronie 161 (w „Pięćdziesięciu twarzach Greya” była to strona 144), ale już wcześniej nie trzymali rąk przy sobie. Niewątpliwie u Lipińskiej jest więcej Greya w Greyu, repertuar pozycji i technik jest dość duży, choć bez eksplorowania sado-masochistycznych enklaw seksu. Na drugim planie mamy galerię kliszowych postaci, jak niegrzeczna przyjaciółka, ➔

→ wredna była flama, zły brat bliźniak i powiernik-gej, który ostatecznie okazuje się heterykiem, gdyż w tej konserwatywnej powieści (patrz niżej) dla homoseksualistów miejsca nie ma.

Mimo cielesnego nienasycenia bohaterowie nie są zwolennikami wolnej miłości, a do antykoncepcji podchodzą z non-szalancją żółtodziobów. Wszystko zmierza ku katolickiemu ślubowi z ciężarną panną młodą.

W drugim tomie do głosu dochodzi stylizacja na „Ojca chrzestnego”, a Laura nie raz musi obejść się smakiem, bo Massimo zajmują mafijne porachunki. Rozrywki dostarcza jej nowe porwanie, sprawstwa ponętnego Hiszpana, który jest dziany, ma liczne dziary i trzęsie połową Wysp Kanaryjskich. Ciekawie robi się dopiero w tomie trzecim, kiedy postrzelona bohaterka traci ciążę i dochodzi do wniosku, że Massimo jest co nieco za brutalny i że ich seks czasem jest po prostu gwałtem. Rozwód po sycylijsku przebiega jednak z pewnymi komplikacjami i nasza bohaterka miota się przez 400 stron między łóżkami włoskiego i kanaryjskiego kochanka... bo dżumę planuje zwalczyć cholera. Marcelo Nacho Matos, gangster, który płacze, kiedy zabija, to opakowany w romantyczną wstążeczkę klon Massima. Niezrażona Laura zakłada z nim jednak rodzinę, znowu przez nieuwagę z antykoncepcją, i po kilku latach wszyscy smażą się ze szczęścia w kanaryjskim żarze.

„Orgiastyczna kariera”, „Sławomir polskiej literatury”, „pornopisarka” – Lipińska w deprecjonujących etykietkach od krytyków może przebierać tak, jak jej bohaterka w markowych butach. Na portalach czytelnicy przeważają jednak pozytywne oceny. Powieści Lipińskiej wciągają, akcja jest wartka, a momentów jest więcej niż w przegadanej trylogii E.L. James. Czego chcieć więcej?

Krytycy kręcą nosem, bo pisarka nie zostawia im żadnego wyboru. „Patent na pisanie o seksie jest dla mnie tak samo prosty jak przepis na zupę pomidorową” – chwali się i zamiast „pisarka” mówi o sobie „wesola grafomanka”. Otwarcie przyznaje, że na wyrafinowanej literaturze by nie zarobiła. Takich wyznań nie można puścić płazem. Krytycy, choć czynią z Lipińskiej łatwy obiekt wyzłośliwiania się, mają też swoje racje. Seks i targające bohaterami emocje są w jej powieściach oddawane jeden do jednego, za pomocą języka gwałtu przebierające się

Dużo za dużo złej energii wkładane jest w kłanianie „wesolej grafomanki”.

Komu to przeszkadza, że Lipińska wywalczyła, jakkolwiek dość desperacko, swoje 365 dni sławy?

Przymusu czytania jej trylogii i oglądania filmu nie ma.

za mowę zmysłów. Autorka nie mruga do krytyków okiem, nie stylizuje się na żadną z ugruntowanych manier pisania o seksie, ani nie bierze w nawias kulturowych ram obranego przez siebie gatunku. Po prostu zszywa grubymi nićmi opowieść, w której spotykają się postacie wyjęte z innych, niekoniecznie romantycznych bajek, a *happy end* spada na topornych bohaterów niczym meteoryt na dinozaura.

Nie da się tego dzieła obronić w kategoriach literackich i nawet najżyczliwsi dla Lipińskiej spadkobiercy Susan Sonntag nie nazwaliby jej improwizowanego stylu kempem.

Baśń dla Matki Polki

Czy można obronić trylogię naszej gwiazdy w kategoriach kulturowych? Też nie bardzo. Świetnie, że autorka dowartościowuje kobiecie fantazje erotyczne i nie stara się ich oceniać. Doskonale, że udany seks w jej książce to tylko taki, który obejmuje spektakularną i wielokrotną przyjemność bohaterki, a ta nie rumieni się przy każdej pieszczocie, tak jak Anastasia Steele z cyklu E.L. James. Niestety (a piszę to ze szczerym zawodem), podczas lektury książek Lipińskiej w uchu nieznośnie brzęczy melodia pochwały patriarchalnego ładu, wybijana niekiedy wręcz na werblach.

Oczywiście, podniecająca powieść erotyczna nie może być całkiem poprawna politycznie, gdyż z zakazanego owocu zmieniłaby się w mdły koktajl wazywny. To fakt, że napisanie buchającej seksem powieści o intelektualistce niesomochistce jest trudniejsze niż udzielenie wywiadów w sandałkach na kilku-

nastocentymetrowym obcasie (Lipińska stała w nich przez dwie godziny podczas kinowej premiery „365 dni” i utraciła czucie w dwóch palcach u stóp). Joanna Bator i Grażyna Plebanek próbowały takiego literackiego cudu dokonać, ale udało im się tylko zmiksować echa powieści Elfriede Jelinek i Philipa Rotha, zamiast stworzyć przepis na ożywczy seks mądrych ludzi. Czy to jednak oznacza, że jedyną receptą ma być bohaterka, której mężczyźni muszą tłumaczyć świat i wyznaczać jej miejsce także poza łóżkiem?

Popularne powieści erotyczne były i będą potrzebne. Lipińska słusznie odpowiada feministkom, że potrafi dotrzeć do tych Polek, do których one nie docierają. Socjolożka Eva Illouz w „Hardkorowym romansie”, błyskotliwym esej sprzed kilku lat, doceniała kulturową wagę książek o Greyu, nazywając je fantazją na czasy kapitalistycznej niepewności uczuć. „Przyjemność z lektury powieści – pisała Illouz – wynika z faktu, że wyraża ona zarówno zbiór napięć nękających współczesne heteroseksualne związki, jak i współczesną utopię podszytej seksem miłości, która zostaje wskrzeszona z popiołów konwencji romantycznej namiętności, oksymoronicznie przedstawionej pod postacią sadomasochistycznego związku”.

Mówiąc prościej, saga E.L. James podejmowała problem uutowarowienia seksualności i pułapek równouprawnienia w sferze intymnej, a równocześnie podsuwała konkretne, poradnikowe rozwiązania czerpane z praktyk BDSM w wersji *soft*. Przekraczała podział na fikcję i prawdę o kobiecej seksualności w sposób naiwny, lecz niewulgarzący dla kobiet – choć jej czytelniczki wiele się nasłuchały od domorosłych ekspertów od seksu na temat swoich gustów i fantazji.

W przypadku Lipińskiej w tym cały jest ambaras, że w jej wizji ubezwłasnowolnienie kobiety to nie „mokra” fantazja, ale kamień węgielny świata przedstawionego, na którym budowana jest bajka o romantycznej miłości między prześladowcą a zadowoloną ze swojego położenia ofiarą. Czy u schyłku drugiej dekady XXI wieku Polki, szukając w „365 dniach” raczej relaksującej przyjemności niż thrillera psychologicznego, nie zasługują na bohaterkę, która nie będzie cierpieć na chroniczny syndrom stokholmski, a męskiej przemocy nie będzie brać za oznakę miłości aż po grób? Czy nie ku-



Kadr z filmu „365 dni”

piłyby protagonistki, która brak seksualnych zahamowań realizowałaby w odrobinę mniej dusznej i nieprzychylniej kobietom scenerii? Myślę, że taka powieść sprzedawałaby się jeszcze lepiej – ale na bezrybiu i rak ryba.

W nowej ekranizacji „Małych kobietek” Louisy May Alcott w reżyserii Gretty Gerwig jest scena, w której niezależnie myśląca Jo March chce zainteresować swoją debiutancką powieścią wydawcę. Interesuje go tylko to, czy bohaterka książki na końcu wychodzi za mąż. Bo jeśli nie, to powinna umrzeć. Innych opcji dla moralnych kobiet wówczas nie było. Okazuje się, że wcale nie tak dużo zmieniło się od lat 60. XIX wieku. Sama Lipińska deklaruje, że partnerów zmienia co dwa lata, dziecka nie planuje, a jedyny ślub, jaki wzięła, został zainscenizowany na planie „365 dni” w celach promocyjnych. Zdaje się jednak uważać, że jej czytelniczki pochodzą z innej epoki i marzą o cierpiętniczym losie Matki Polki. Czemuż każe Laurze Biel pędzić przed ołtarz na złamanie karku, gdzie czeka na nią oblubieniec całkowicie kontrolujący jej płodność? Czemuż, gdy bohaterka w czwartym miesiącu ciąży zostaje postrzelona, jej mąż waha się, kogo lekarze mają ratować: kobietę czy płód? Laure ocaliło chyba tylko to, że w planach był jeszcze trzeci tom erotycznej powieści, który trudno byłoby wyobrazić sobie bez głównej heroiny.

Baśń dla macho znad Wisły

Teraz czas na obronę Blanki Lipińskiej. „Rzesza ludzi w Polsce wyobraża sobie, jak uprawiam seks” – skarży się na kanale

Pudelek i tłumaczy to pruderyjnością polskiej kultury. „Ludzie personifikują tę książkę” – zauważa trafnie, że publiczność często traktuje jej powieść jako autobiograficzne wyznanie. Z wiatrakami nie walczy, ale je podpala. Dlatego na okładce drugiego tomu znajduje się nie kto inny jak sama autorka w roli... no właśnie, jeśli nie protagonistki fabuły, to przynajmniej *spiritus movens* całego erotycznego przedsięwzięcia. Nie dowiedzą się Państwo z tego tekstu szczegółów życia seksualnego samej pisarki. Ale nietrudno je znaleźć. W prasie plotkarskiej i mediach społecznościowych został przeanalizowany każdy jej związek i każdy partner – z wydatną pomocą dzielącej się szczegółami Lipińskiej, która jest zarazem produktem i „promotorką” społeczeństwa ludzi ocenianych i oceniających.

Czy ten wykalkulowany ekshibicjonizm powinien usprawiedliwiać seksistowski hejt, który się wylał na autorkę „365 dni”? Absolutnie nie. Kiedy jeden z fotoreporterów głośno nazwał ją „dupą”, zwróciła mu uwagę, upubliczniła nagranie z tej sytuacji i nawet za to zebrała cięgi. Jeśli nazwać pisanie Lipińskiej miałym i nienowoczesnym, to jakimi słowami opisać wynurzenia rodem z męskiej szatni, którymi dzieli się z nią rodzimi eksperci od zadowalania kobiet i obrońcy tych pierwszych? Może jako trzy razy zet: zaścianek, zawiść i zero refleksji?

Dużo za dużo złej energii wkładane jest w kłóśnię „wesolej grafomanki”. Komu to przeszkadza, że Lipińska wywalczyła, jakkolwiek dość desperacko, swoje 365 dni sławy? Przymusu czytania jej trylogii i oglądania filmu nie ma, śledzenia

Instagrama i portali plotkarskich też nie. Publiczna moralność również nie jest zagrożona. Ministerstwo Edukacji Narodowej nie jest zasypywane wnioskami, by wpisać jej książki na listę lektur, choć niektóre fragmenty mogłyby urozmaicić licealne lekcje wychowania seksualnego – jako pretekst do dyskusji nad zdrowymi granicami kobiecej uległości.

Sama autorka jest ostrożna w poleceniu swoich dzieł nieletnim. „Wiem, że dzieci sięgają po moją książkę, ale mam nadzieję, że nie będą uczyły się z moich książek, czym jest seks, tak samo jak nie chciałabym, by uczyły się seksu z pornografią. Ta książka pokazuje bardzo selektywne upodobania, dla ludzi dorosłych, którzy już z niejednego pieca chleb jedli” – mówi w rozmowie dla Radia Zet.

Nie uchyla się jednak od misji seksedukatorki. Na Instagramie prowadziła poradnictwo w sprawach intymnych, a na okładce ostatniej książki zachęca Polki do wykonywania cytologii, żeby „dalej żyć i cieszyć się seksem”. Na tym polu wciąż jest dużo do zrobienia i pewnie warto Lipińskiej kibicować. Na razie jednak celebrytka potrzebuje grubej skóry. Może dlatego na prezentację wiosennej ramówki Polsatu założyła kuszą skórzaną sukienkę. Od 6 marca prowadzi w tej stacji *reality show* „Tylko jeden”. Odizolowani od świata zewnętrznego mężczyźni rywalizują przez osiem tygodni o profesjonalny kontrakt zawodnika MMA, a Blanka Lipińska komentuje ich wyczyny. To jest chyba jedyna realna zamiana ról, którą ma do zaoferowania nasza popkultura.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

National Słowacki Company

DARIUSZ KOSIŃSKI

Wystawianie tekstów należących do dziedzictwa kultury narodowej to jeden z sensów istnienia stałego, repertuarowego, publicznego teatru dramatycznego. Jego misja. A z misjami mamy w Polsce same kłopoty.

JEDNYM Z PODSTAWOWYCH OBOWIĄZKÓW Rzeczypospolitej jest strzeżenie dziedzictwa narodowego (art. 5 Konstytucji RP) oraz tworzenie warunków „upowszechniania i równego dostępu do dóbr kultury będącej źródłem tożsamości Narodu Polskiego, jego trwania i rozwoju” (art. 6). To – jakkolwiek użyte tu sformułowania mogą wydać się z wielu powodów problematyczne – właśnie klasyka teatralna spełnia w stu procentach tę narodową definicję kultury. To ona więc powinna być przedmiotem szczególnej ochrony i upowszechniania. Tymczasem po pięciu latach rządów ugrupowania, które naród i jego dziedzictwo ma na sztandarach, spokojnie można stwierdzić, że ten obowiązek konstytucyjny nie jest realizowany w stopniu jakkolwiek wykraczającym poza podstawowe zapewnienie warunków istnienia teatrów, co czyniła również tak krytykowana ekipa poprzednia.

Pani Barska

Choć do repertuaru klasycznego zalicza się starożytne tragedie, to samo istnienie teatralnej klasyki jest zjawiskiem stosunkowo młodym. Dopiero stały teatr repertuarowy tworzony w Europie w drugiej

połowy XVIII wieku uznał możliwość i potrzebę wystawiania scenariuszy pisanych dla innych czasów i na inne konwencje sceniczne.

Wpadł na to zresztą nie tak od razu, bo początkowo robił to, co ludzie sceny zwykli czynić co najmniej od powstania pierwszych rzymskich przeróbek greckich tragedii i komedii – przystosowywał, zmieniał w zasadniczych punktach, dopisywał i wykreślał, kompletnie nie przejmując się wiernością autorowi czy służbą dziedzictwu. Cały koncept „wierności” i „służby” wytwarzał się stopniowo w XIX wieku, począwszy od romantycznych batalii o Szekspira, przez prestiżowe inscenizacje otoczone uczonymi komentarzami i sporami o „styl”, po wprowadzenie żelaznego repertuaru – kanonu sztuk, które ze względu na swoje kulturowe znaczenie muszą być grane regularnie.

Krokiem następnym było stworzenie specjalnych zespołów i instytucji działających na rzecz inscenizowania dramatów największych klasyków. We wszystkim tym celowali oczywiście Anglicy, co nie dziwi, skoro największy pisarz języka angielskiego jest zarazem prawodawcą i twórcą modelowych „sztuk” nowożytnego teatru dramatycznego, mylnie uznanego za tożsamy z teatrem „w ogóle”.

W Polsce proces ten miał oczywiście (jak wszystko w Polsce) aspekt polityczny i narodowy. Wspólnota odarta z tak oczywistego dowodu na istnienie, jakim w XIX wieku stało się państwo narodowe, istniała przez nieustanne przedstawianie siebie na różnych polach: od powstań po przedsiębiorczość, z kulturą w centrum jako najważniejszą, ale też



WACŁAW KŁAG / REPORTER

i najściślej kontrolowaną sceną polskości. Dowieść swojej duchowej mocy dającą prawo do samodzielnego istnienia – to podstawowy cel i misja polskiej kultury w czasach zniewolenia.

Teatr nie mógł jej realizować w pełni, bo nie mógł (z przyczyn politycznych) wystawiać największych polskich dramtopisarzy, na czele z godnym stanąć obok Szekspira – Juliuszem Słowackim. Ale tworzył teatralną polskość dzięki geniuszowi innego klasyka narodowego – Aleksandra Fredry, uważanego w XIX wieku za poetę, a nie komediopisarza, i umieszczanego w szeregu pisarzy narodowych obok Adama Mickiewicza.

Później, gdy można już było grać dramaty romantyczne, szybko stały się one „klasyką”. Napisane przez już nieżyjących wieszczów, nakładały na wszystkich wykonawców szczególne zobowiązania – wobec zmarłych i wobec wspólnoty, której miały nie tyle wskazać drogi, ile pomagać w podniesieniu na duchu, czyli w tym, co jest podstawowym obowiązkiem wszystkich zajmujących się

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój

– 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów

– 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM |

www.radiokrakow.pl



Alina Szczegielniak na próbie generalnej „Balladyny” w reżyserii Pawła Świątko.
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie, luty 2020 r.

zyciem zbiorowości. Wspomóc w dążeniu do tworzenia jej możliwie najlepszej wersji.

Klasykę obdarzano szczególną troską i uwagą nie tylko dlatego, że dowodziła, iż kulturalnie Polacy „dorównują, a nawet przewyższają”, ale dlatego, że dzięki niej mieli stać się godnymi siebie. Takimi, jak ich w tych dramatach przedstawiano: krytykowanymi i ośmieszanymi, ale w końcu przebudzonymi jak Fantazy i wołającymi: „Zgoda”, jak Cześnik z Rejentem. Bo nawet tam, gdzie wytykano Polakom różne wady, czy wręcz pokazywano ich jako ludzi małych, zakłamanych i podłych, czyniono to w mądrze idealizowanym stylu, właśnie „klasycznym”, który tych prowincjonalnych świętoszków, zaściankowych dyktatorów i podstarzałe awanturnice zbawiał.

Realizujący mistrzowsko ten program Fredro już za życia stał się arcywzorem polskiego klasyka teatralnego, ponieważ przyczynił się do wytworzenia pewnego całościowego stylu scenicznego. Nie zrobił tego sam. Przez lata ściśle współpra-

cował z Teatrem Lwowskim i wspólnie z jego aktorami zainicjował to, co jest sednem i sercem klasyki – tradycję. Nie tę uogólnioną, którą sobie można dowolnie wycierać gębę i czynić z niej pałkę na inaczej myślących, ale prawdziwą, opierającą się na przekazywaniu z rąk do rąk sposobów działania, np. technik używania głosu i ciała, a nawet konkretnych metod rozegrania poszczególnych scen.

Gdy 17 lutego 1834 r. Jan Nepomucen Nowakowski jako pierwszy Cześnik w określony sposób wyjął starą szablę i zawołał: „Pani Barska!”, sposób ten żył potem w ciałach i głosach kolejnych pokoleń aktorów grających „Zemstę” przez ponad sto lat. Da się stworzyć imienny poczet artystów kolejnych generacji, którzy w ten ciąg się włączali, także – zmieniając tradycję, polemizując z nią, odrzucając jej wyznaczniki. Bo tradycja oczywiście żyje nie tylko powtórzeniami, ale też odejściami, wariantami, sporami, buntem. Tylko żeby się sensownie i skutecznie buntować i odchodzić, trzeba mieć od czego.

Nózka spuchła

Tymczasem polska tradycja sceniczna od końca lat 50. XX w. powoli zamierała, co znakomicie widać właśnie na przykładzie stylu fredrowskiego. Trwająca pokolenia ciągłość została zerwana. Powodów było wiele i nie sposób w nie teraz wchodzić, więc pozostaniemy przy tym, że była to część o wiele szerszych zaburzeń pamięci zbiorowej. Dość, że w teatrze doprowadziły one do porzucenia oczywistego kiedyś tradycyjnego rzemiosła – znów nie tego mitycznego, o którym ciągle słyszę i nikt mi nie potrafi wyjaśnić, o co praktycznie chodzi, ale tego konkretnego – np. umiejętności mówienia w Fredrowskim „Dożywociu” Łatkowego „a bodaj ci nózka spuchła!” w taki sposób, by zachować jednorodność, ale nie nudzić powtarzalnością. Te konkrety przestawały być potrzebne, bo współczesny teatr polski, wystawiając regularnie literaturę dawną, a nawet wygrzebuując różne jej zapomniane zabytki, przestał pracować nad jej tradycją, a zaczął traktować jako jeszcze jedną część repertuaru współczesnego.

Kres myśleniu serio o tradycji teatralnej jako przedmiocie stałej pracy, łącznie z wypracowaniem współczesnej wersji żelaznego repertuaru, położyła pod koniec ubiegłego stulecia klęska dyrektora Jerzego Grzegorzewskiego w Teatrze Narodowym w Warszawie. Grzegorzewski – dziś pośmiertnie czczony – w tym najważniejszym okresie swojego artystycznego życia, gdy usiłował stworzyć „dom Wyspiańskiego”, nie miał wsparcia i zrozumienia ani w publiczności, ani w liczącej się części środowiska, ani we władzach.

Klęska Grzegorzewskiego, również osobista, była zarazem klęską klasyki jako pewnego sposobu uprawiania kultury. By w końcu syntetycznie ów sposób przedstawić, powiedziałbym, że zasadza się on na uznaniu potrzeby nie konfrontacji, ale głębokiego i ponawianego procesu czynnego poznawania i doświadczania indywidualnych i zbiorowych twórców przeszłości, przeniesionych przez czas dzięki pewnej tradycji.

Klasyka w sensie ścisłym nie jest bowiem tożsama z repertuarem dawnym. Wytwarza się jako wynik pracy zbiorowości poprzez praktyki ponawiania i podtrzymywania jej obecności. Procesu tego nie można do końca regulować, ale nie jest prawdą, że nie da się nań wpływać, zwłaszcza w teatrze.

Jaką taką daj szablinę

→ Tak krytykowana poprzednia ekipa Ministerstwa Kultury zainicjowała, wymyśliła i przeprowadziła pierwsze edycje Konkursu „Klasyka Żywa”, będącego jedyną od lat inicjatywą mającą praktycznie wspierać tak istotną część „dziedzictwa narodowego”, jaką jest klasyka teatralna. Resort ministra Glińskiego, poza obsadzeniem tego konkursu swoimi zaufanymi ludźmi nic nowego nie zrobił.

A właśnie tu MKiDN – zgodnie z wielokrotnie składanymi deklaracjami – powinno się wykazywać szczególną aktywnością. Nie sądzę wprowadzić, by klasyka miała się stać najważniejszą częścią życia teatralnego i sprzeciwiałbym się sytuacji dekretowania tego oraz wymuszania na teatrach realizacji takich repertuarowych postulatów metodami finansowo-administracyjnymi. Oczekiwałem jednak, że po pięciu latach programowa, a nie wyłącznie administracyjno-finansowa działalność resortu wicepremiera Glińskiego mogłaby się w zakresie teatru zacząć przejawiać w czymś innym niż niszczenie scen, których dyrektorzy nie podobają się jemu i kulturowo-politycznym sojusznikom rządzącej partii.

Ministerstwu podlegają bezpośrednio dwa dramatyczne teatry narodowe, które stanowią obecnie wręcz flagowy przykład jego polityki: jeden zniszczyło, do drugiego się nie wtrąca. Ani jedno, ani drugie działanie nie skutkuje realizacją konstytucyjnego obowiązku ochrony dziedzictwa narodowego w zakresie teatru. Klasyka teatralna nie jest w teatrach narodowych stale obecna, programowo chroniona, podtrzymywana w swoim konkretnym, rzemieślniczym istnieniu. Żaden teatr narodowy nie ma żelaznego repertuaru, nie prowadzi stałych badań nad tradycją sceniczną. Żaden też w praktyce nie traktuje klasyki jako swojego szczególnego zobowiązania. Wprawdzie oba wystawiają dramaty dawne i niekiedy są to wystawienia ważne, ale nie sposób uznać, iż jest to praca nad klasyką. Wystawia się Fredrę, Mickiewicza i Słowackiego jak każdy inny materiał dramatyczny, który teatr zgodnie z własną polityką wprowadza do repertuaru, szukając reżysera zdolnego zaproponować „oryginalną interpretację”.

Uciekła mi przepióreczka

Czas chyba najwyższy, by konserwatywny interwencjonizm państwowy,

Podstawą polityki partii
Jarosława Kaczyńskiego
nie jest – wbrew deklaracjom
– konserwatywna
wierność wartościom,
ale pedagogika permissywna
sprowadzająca się do hasła:

**„Fajni jesteście,
jacyście są”.**

który teoretycznie reprezentuje w zakresie polityki kulturalnej obecna formacja, wykazał się czymś innym niż nieustannym narzekaniem na legendarny „lewicowy wrzask”. Po pięciu latach mógłby się wszak pojawić jakiś program pozytywny, coś, co minister Gliński i wiceminister Wanda Zwinogrodzka stworzyliby, zamiast skupiać się na pozbawianiu możliwości pracy ludzi za mało uległych i przejmowaniu ich programów. Obawiam się, że podpowiedzi z mojej strony przyjąć nie zechcą, ale skoro na potrzeby tego tekstu odgrywam konserwatystę teatralnego, to może ktoś lepiej widziany przejmie tę rolę i pomysł?

Wyjściowo jest on dość prosty: stworzenie przy jednym z teatrów narodowych sceny klasycznej, albo nawet nie sceny, ale zespołu, np. – Laboratorium Klasyki lub Reduty Klasyki (żeby nawiązać do dobrych tradycji). Wyposażywszy go w zasobny budżet, zaprosić do współpracy artystów, którzy jeszcze tradycję rzemiosła praktycznie znają (a nawet w obecnym zespole warszawskiego Narodowego kilkoro takich jest), zaangażować młodych zainteresowanych taką pracą i pozwolić im wspólnie reanimować dawne konwencje sceniczne. Na początek to, co najbardziej oczywiste: Fredro. Powiedzmy – „Zemsta”, bo tu tradycja chyba jest najlepiej pamiętana. Zaprosić jako doradców historyków teatru i języka, znawców dawnego obyczaju i sprawdzić praktycznie, czy sedno dziedzictwa Fredry nie polega aby na sile scenicznego wypowiedzenia, a nie na jakichś literackich koncepcjach.

Gdy o tym mówię (a mówię od lat), moje koleżanki zazwyczaj oponują,

stwierdzając, że byłoby to muzeum. Nie wydaje mi się, żeby muzeum było czymś złym, a chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie twierdzi, że np. granie Chopina na instrumentach z epoki jest praktyką dziwaczną i niepotrzebną. Spróbujmy zagrać Fredrę na instrumencie z epoki, a jeśli się uda, to zobaczymy, czy Słowacki tak zagrany – na polszczyźnie z epoki, a więc z głoskami, których już dziś nie używamy (nawet w teatrze), a które on słyszał, gdy pisał „Księża Marka” – nie okaże się niewyobrażalnie potężnym poetą teatralnym, niepotrzebującym wcale reżyserkich pomysłów. I tak, krok po kroku, może zbliżymy się do stworzenia jakiejś National Słowacki Company, która stanie się ośrodkiem umacniania kulturowej siły ekonomicznie rozkwitającego przecież państwa.

Wszystkie elementy tego projektu wydają się zgadzać z tym, co obecne władze mówią. Obawiam się jednak, że nawet na poważne pomyślenie o jego realizacji nie ma szans, bo stoi on w sprzeczności z zasadniczą i praktyczną polityką kulturową Prawa i Sprawiedliwości. Odwołując się tak chętnie do chwalebnej przeszłości, PiS czyni wspólnotową sceną teraźniejszości Równię Krupową, zadeptywaną przez tysiące zgromadzone na sylwestrze w Zakopanem, by czcić narodowego bohatera i wieszczą – Zenka Martyniuka.

Podstawą polityki partii Jarosława Kaczyńskiego nie jest bowiem – wbrew deklaracjom – konserwatywna wierność wartościom, ale pedagogika permissywna sprowadzająca się do hasła: „Fajni jesteście, jacyście są”. To ten praktycznie realizowany populizm kulturowy niszczy jakość życia zbiorowego. Blokując ośrodki i narzędzia współczesnego krytycznego myślenia i krytycznej sztuki, rzekomi konserwatyści nie przeciwstawiają im kanonu wartości, ale doraźną propagandę i kulturalne pochlebstwo na skalę masową. Dlatego słynne dwa miliardy przekazano nie na plac Teatralny, ale na Wronicza, bo to tam jest rządowe centrum narodowej kultury w rozumieniu sprawującej władzę partii.

To dlatego nie ma i nie będzie „konserwatywnego” teatru z prawdziwego zdarzenia, a klasyka pozostanie nostalgicznym wspomnieniem starzejących się nieuchronnie widzów, „wielkim żalem nad sobą” „w małym brudnym hotelu / kiedy świtają tapety”.

Nienaiwni twórcy

PIOTR KOSIEWSKI

Wystawa w Muzeum Śląskim, niewielka w skali, ale niezwykle interesująca, skłania do postawienia pytań o status tzw. sztuki naiwnej: o jej definiowanie i miejsce w kanonie polskiej kultury XX i XXI wieku.

ĆWIERĆ WIEKU TEMU UKAZAŁA SIĘ książka Aleksandra Jackowskiego „Sztuka zwana naiwną”. Podsumowywała wieloletnią pracę tego badacza, współtwórcy Państwowego Instytutu Sztuki, redaktora naczelnego kwartalnika „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” oraz najwybitniejszego polskiego znawcy plastyki nieprofesjonalnej. Tom, którego bohaterami są m.in. Nikifor, Teofil Ociepka czy Stanisław Zagajewski, do dziś jest najważniejszą publikacją dotyczącą tzw. sztuki naiwnej.

Wystawa w Muzeum Śląskim przypomina postać Jackowskiego. Pokazuje jego wpływ na postrzeganie i kolekcjonowanie sztuki naiwnej, amatorskiej, *art brut* i *outsider art*. Twórczości, która od dekad wzbudza zainteresowanie. Niektóre postaci, jak Nikifor, weszły nawet do kultury popularnej – film jemu poświęcony z Krystyną Feldman w roli malarza wyreżyserował w 2004 r. Krzysztof Krauze. Ale nadal pozostaje trochę na marginesie myślenia o sztuce i jej wystawiania.

Paryskie przypomnienie

W ostatnich latach sytuacja zdaje się zmieniać. Niedawna wystawa „Du Douanier Rousseau à Séraphine. Les grands maîtres naïfs” w Musée Maillol →

Maria Wnęk „Chrystus w czerwonej sukni”, niedatowany, olej, szkło. W zbiorach Muzeum Śląskiego w Katowicach.



REPR. RAFAŁ WYRUCH



→ stała się jednym z najważniejszych wydarzeń artystycznych minionego roku. Przypominała twórczość nie tylko podziwianego przez Guillaume'a Apollinaire'a, Georges'a Braque'a i Pabla Picassa Henriego Rousseau, zwanego Celnikiem, czy Séraphine Louis, ale też takich artystów z dwudziestolecia międzywojennego jak André Bauchant, René Rimbert, Dominique Peyronnet czy Louis Vivin, którzy na swój własny sposób odnowili tradycję malarską i tradycyjne gatunki jak portret, pejzaż czy martwa natura.

Paryska wystawa miała jeszcze jednego bohatera: Wilhelma Uhdego, niemieckiego marszanda i kolekcjonera, krytyka sztuki, opiekuna i przyjaciela artystów, jednego z pierwszych propagatorów kubizmu, a także odkrywcę wielu francuskich malarzy naiwnych. Jego legendarne wystawy „Les Peintres du Coeur-Sacré” (1928) i „Les Primitifs modernes” (1932) wykreowały wręcz modę na to malarstwo. Dlaczego zatem po tylu dekadach od ich zorganizowania tak niewielu twórców weszło do głównego nurtu sztuki? Dlaczego tylko dzieła Rousseau można zobaczyć obok innych najważniejszych malarzy przełomu XIX i XX wieku? Dlaczego twórczość pozostałych – z wyjąt-

kiem Séraphine, która została przypominana na fali zainteresowania sztuką kobiet, a film Martina Provosta z 2008 r. nagrodzony Cezarami uczynił ją postacią znaną szerszemu odbiorcy – znalazła swoje miejsce przede wszystkim w muzeach etnograficznych czy też poświęconych rozmaicie definiowanej sztuce naiwnej?

Lokalni nieprofesjonałści

Wystawa w Muzeum Śląskim, niewielka w skali, ale niezwykle interesująca, skłania do postawienia podobnych pytań o status tzw. sztuki naiwnej, o jej definiowanie i o miejsce w kanonie polskiej kultury XX i XXI wieku. Odnosi się także do własnej tradycji tej instytucji, która od czasu ponownego powołania w 1984 r. (powstała w 1929 r. i działała do wybuchu II wojny światowej, a jej nowoczesny gmach został zburzony przez Niemców; po wojnie zachowana część zbiorów była przechowywana w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu) zaczęła gromadzić twórczość artystów nieprofesjonalnych. Dziś posiada jedną z najbardziej reprezentatywnych kolekcji w Polsce, a stała wystawa tych zbiorów – w Galerii Plastyki Nieprofesjonalnej – na której znalazły się prace artystów

związanych ze Śląskiem od obrazów Teofila Ociepki czy Władysława Lucińskiego, rzeźb w węglu Franciszka Kurzei po barwne rysunki kredkami reprezentującego młode pokolenie Pawła Garncozra, jest jedyną tak obszerną ekspozycją tej twórczości w kraju.

Nestorzy i młodzieńcy

„Sztuka zwana naiwną i co dalej...” nie ogranicza się do sztuki z regionu. Otwierają ją prace czterech autorów – Nikifora, Teofila Ociepki, Erwina Sówki i Stanisława Zagajewskiego, bardzo różnych, a dziś uznawanych za kanonicznych twórców sztuki naiwnej. Uproszczonym, niewielkim pracom na papierze, o pocztówkowym formacie, przedstawiającym miejskie pejzaże, ale też niewielkim portretem Eli i Andrzeja Banachów autorstwa skromnego malarza z Krynicy towarzyszy bajkowy świat fantazji Ociepki i ezoteryczne, pełne religijnych i mitycznych odniesień, ale też osadzone w śląskiej tożsamości malarstwo Sówki. Są wreszcie rzeźby Zagajewskiego, jego fantazyjne, wybujałe stwory, zwierzęta, ulubione przez niego ptaki i ludzie. Prace charakterystyczne, już na pierwszy rzut oka rozpoznawalne. „U mnie – tłumaczył Zagajewski – ludzie, zwierzęta i ptaki jed-



REPR. RAFAŁ WYRZYCH '22

Teofil Ociepka
„Lew z Saturna”,
1953, olej, płótno.
W zbiorach
Muzeum Śląskiego
w Katowicach.

Na sąsiedniej
stronie: Jan Lada
„Niobe”, 1963,
linoryt, papier.
W zbiorach
Muzeum Śląskiego
w Katowicach.

nakowy styl mają (...) te oczy, te ślepiej jednakowe”.

Jednak wystawa wykracza poza autorów, o których Aleksander Jackowski pisał w swej „Sztuce zwanej naiwną”. Obok nestorów, urodzonych u schyłku XIX stulecia, są pochodzący z roczników 30. i początku lat 40. ubiegłego wieku oraz reprezentanci znacznie młodszych pokoleń. Twórcy reprezentujący bardzo różne postawy. Są na wystawie zaangażowane politycznie, stylizowane na ikony przewrotne portrety Józefa Stalina i Lecha Wałęsy autorstwa Stanisława Żywilewskiego, w których postaci są otoczone scenami z historii ich życia: „Lechu skacze przez płot”, „Urban męczy Lecha”, „Koronowanie Lecha”. Są prace Damiana Stachowskiego, ostro komentujące sytuację polityczną i społeczną Polski XXI wieku, proces naszej transformacji, przyjęcia neoliberalnej doktryny gospodarczej i następstwa tego wyboru. Można zobaczyć jeden z wielkoformatowych gobelinów Mariana Henela z lat 70. o tematyce erotycznej i magicznej, na których nagie postaci sąsiadują z przedstawieniami owadów, ptaków i zwierząt o znaczeniu symbolicznym, oraz pełne religijnych wątków prace jednej z najciekawszych twórczyń, Marii Wnęk.

Krucze skrawki

W Muzeum Śląskim pokazano też wybór rysunków Edmunda Monsiela, jednego z najbardziej oryginalnych i jednocześnie tajemniczych polskich twórców, o którym niewiele w ogóle wiadomo – przez lata pracował w cukrowni w Woźuczynie na Lubelszczyźnie i pozostawił po sobie ponad 500, stworzonych od lat 40., rysunków. To prace wykonane delikatną kreską, ołówkiem lub niebieską kredką na skrawkach papieru czy tekturze, w których każdy fragment pokryty jest przedstawieniami, często o religijnym znaczeniu. Niezwykle kruche, trudne do zreprodukowania dzieła od lat fascynują, także artystów. Rysunki Monsiela były zestawiane z pracami zafascynowanego w ostatnich latach Dalekim Wschodem Jakuba Juliana Ziółkowskiego, Łukasz Jastrubczak zaś, uznawany za jednego z najciekawszych twórców ostatniej dekady, nakręcił film dokumentalny z podróży do rodzinnej miejscowości artysty.

Prace samotnika z Woźuczyna sąsiadują z powstałymi w ostatnich latach barwnymi rysunkami Justyny Matysiak. Cała ekspozycja zorganizowana jest na zasadzie zderzeń, zestawień czy kontrastów niecałych dwóch dziesiątek twórców. Zostały na niej wydobyte raczej odrębności

czy różnice niż podobieństwa, bowiem – jak podkreśla kuratorka wystawy Sonia Wilk – „trzeba zajmować się komplementarnie dziełem, procesem twórczym i samym twórcą, poświęcać każdemu z tych aspektów taką samą uwagę”. I dodaje za Aleksandrem Jackowskim, że brakuje kryteriów pozwalających opisać to zjawisko jako całość.

Łatka amatora

Jednak od etykiet nie sposób uciec, a one rzutują na sposób postrzegania artystów określanych mianem „naiwnych”. W dobie PRL-u artyści nieprofesjonalni byli „uludowiani”, wrzucani do jednego worka z twórcami ludowymi, co spotkało m.in. Stanisława Zagajewskiego. Podkreślano ich prostotę, naiwność, dziecięcy zachwyt nad pięknem świata. Sam Jackowski zwracał uwagę na ich odrębność. Na inność, która jest „zawsze sprawą jakiegoś ograniczenia, odrębności od świata otaczającego”. A Ignacy Witz – który obok Andrzeja Banacha, Jackowskiego oraz Ksawerego Piwockiego odkrywał i popularyzował tę twórczość od lat 50. – przekonywał: „Amatorzy to (...) artyści marginesu. Nie tworzą szkół, nie mogą mieć ani uczniów, ani naśladowców, ani kontynuatorów, którzy by rozwijali ich teorie. Bo nie mają teorii”.

Twórcy naiwni intrygowali, byli ciekawi, jednak jakby w pewien sposób ułomni, z racji braku profesjonalnego wykształcenia, statusu społecznego, niepełnosprawności czy stanu zdrowia. Budzili zachwyt „świeżością spojrzenia” i „nieposkromioną wyobraźnią”, jednak – co gorzko zauważyły Zofia Czaratorska i Katarzyna Karwańska, kuratorki zorganizowanej przed trzema laty w Muzeum Śląskim wystawy „Nie jestem już psem” – nigdy nie byli traktowani do końca serio jako „partner do rozmowy o współczesnym świecie”.

Na tamtej wystawie – w której twórców zebrano pod hasłem outsiderów – zestawiono prace Justyny Matysiak czy Erwina Sówki z obiektami stworzonymi przez Roberta Brylewskiego, muzyka, członka legendarnej Brygady Kryzys, a później m.in. Armii, z działaniami Stanisława Garbaczuka w zaskakującej formie komentującego aktualne wydarzenia polityczne, czy z powstającym od 1966 r. cyklem fotograficznych autoportretów Tomasza Machcińskiego, w których nieustannie wciela się on w autentyczne i fikcyjne →

→ postaci znane z mediów i kultury masowej. To pozwoliło inaczej spojrzeć na twórczość czasami dobrze już znaną.

Zbędne podziały

„Sztuka zwana naiwną i co dalej...” to kolejna okazja do postawienia pytania o przegrodki, w jakich jest umieszczana twórczość artystów nieprofesjonalnych. Czy dawne podziały są nadal aktualne i adekwatne do rzeczywistości? Na przykład Zbigniew Libera, który odpowiadał za scenografię wystawy „Nie jestem już psem”, wykształcenia artystycznego nie posiada. Działalność niektórych instytucji zajmujących się sztuką współczesną pokazuje, że te podziały mogą dziś być zbędne. Warszawskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej przed kilku laty kupiło zdjęcia Tomasza Machcińskiego, a ostatnio do swoich zbiorów włączyło prace Iwony Mysery – jej zeszyty wypełnione rysunkami oraz kolaże z użyciem zdjęć gwiazd filmowych, muzyków i kadrów filmowych.

Przypadek Mysery prowokuje do postawienia kolejnego pytania: jaka twórczość jest zaliczana do tej „naiwnej”, nieprofesjonalnej, outsiderskiej? Przez dekady interesowano się przede wszystkim twórcami sięgającymi po tradycyjne techniki – malarstwo, rysunek, grafikę, rzeźbę czy tkaninę. Tymczasem Iwona Mysery przed kilkoma laty uznana została na prestiżowych, międzynarodowych targach Outsider Art Fair za jedno z najciekawszych zjawisk w sztuce.

W Muzeum Śląskim Galeria Plastyki Nieprofesjonalnej bezpośrednio sąsiaduje z wystawą stałą poświęconą polskiej sztuce od 1945 r. Czy kiedyś będzie – przynajmniej na chwilę – możliwe zniesienie tego podziału? Zobaczenie sztuki po prostu, pozbawionej przymiotnikowych określeń? Mogłoby to być ciekawe doświadczenie, pozwalające inaczej, może na nowo, zobaczyć twórczość dziś od siebie odseparowaną.

© PIOTR KOSIEWSKI

SZTUKA ZWANA NAIWNĄ I CO DALEJ...

RECEPCJA MYŚLI ALEKSANDRA

JACKOWSKIEGO W KOLEKCJI MUZEUM

ŚLĄSKIEGO. Muzeum Śląskie, Katowice, wystawa czynna do 31 maja 2020 r. Kuratorka Sonia Wilk.



Krew i pieniądze

ANITA PIOTROWSKA

Co się musi wydarzyć, żeby w tak zwanym cywilizowanym społeczeństwie nastąpił regres do prymitywnych porządków? Niewiele. I obyśmy nie doczekali takich czasów.

PIOTR ADAMSKI W SWOIM KINOWYM debiucie rozwija scenariusz, w którym świat po cywilizacyjnej katastrofie pozornie wcale się nie zmienił – żyje się, konsumuje, planuje. Tymczasem na grodzonych osiedlach rządzi prastary kodeks honorowy, wspomagany przez powszechny dostęp do broni. W warunkach polskich taka wizja zdaje się odległa, a równocześnie niepokojąco prorocza.

Zazwyczaj opowieści o dystopijnym świecie, w którym odżywa archaiczne prawo rodowej zemsty, dotyczą nieuprzywilejowanych klas społecznych albo grup wyjętych spod prawa. Historia napisana przez Adamskiego i współscenarzystę Michała Grochowiaka rozgrywa się wśród wykwinnych przedstawicieli klasy średniej, w scenerii jakby żywcem wziętej z katalogu Ikea. Wspomniany zatarg krwi toczy się między dwiema rodzinami, Nowaków i Kowal-

skich, nie pozostawiając złudzeń co do tego, gdzie jesteśmy. Równocześnie tytuł „Eastern” sięga po tropy i rekwizyty rodem z Dzikiego Zachodu – czyżby Polska była więc Dzikim Wschodem? Film zachęca nas do wielu (może nawet zbyt wielu) interpretacji, lecz jedna z nich wydaje się oczywista: oglądamy plemienną wojnę, która zbiera krwawe żniwo i próżno wypatrywać jej końca. Kiedy dziewczyna od Kowalskich w odwecie zabija syna Nowaków i zgodnie z panującym obyczajem pojawia się na pogrzebie ofiary, za niedługi czas sama będzie musiała zginąć. Rytuału ma dopełnić siostra zamordowanego i to właśnie pochodzące ze zwaśnionych stron młode kobiety podejmują w filmie próbę, ażeby raz na zawsze przerwać ów łańcuch przemocy. Czy jednak uciekająca od swego przeznaczenia dziewczyna ze strzelbą ma szansę stać się czynnikiem zmiany?



Marcin Czarnik, Maja Pankiewicz
i Magdalena Kuta w filmie „Eastern”

emocje. „Eastern” ma wiele z konceptualnego eksperymentu: bywa wyjątkowo oszczędny w słowach i ruchach kamery, nie boi się statycznych kadrów i pustych przebiegów, lubi też operować kontrastem czy równie zaskakującą analogią. Bez pardonowo zderza ze sobą sterylny świat identycznych domków, centrów handlowych i kancelarii notarialnych z tym, co przemocowe i pierwotne. W telewizorze Krystyna Czubówna czyta swoim hipnotycznym głosem o okrutnym życiu sawanny, a już za chwilę oglądamy polowanie na człowieka, które w pewnym momencie przenosi na teren pograżonego w ciemnościach ogrodu zoologicznego. Żałobna pieśń w wykonaniu Marcina Czarnika sąsiaduje z hiphopowym kawałkiem zespołu PRO8L3M i trybalnymi rytмами Huberta Zemlera.

Wiele na to wskazuje. To kobietom przypisuje się zwykle tzw. miękkie kompetencje, dla jednych za sprawą kultury (wszak to dziewczynki wychowuje się, by „łagodziły obyczaje”), dla innych przez biologię (jakoby z racji tego, że mogąc dawać życie, są bardziej skłonne do chronienia go). Psychoanalitycy nazwaliby to zwycięstwem popędu życia nad popędem śmierci. W końcu, wedle logiki zemsty, córka Nowaków, zabijając młodą Kowalską, sama stanie się potencjalną ofiarą – buntując się przeciwko okrutnemu kodeksowi może zatem uratować również siebie. Ciekawa zresztą gra toczy się w „Easternie” między tym aspektem „zwierzęcym” a pielęgowaną rytualnością, która ma za zadanie konserwować sztywny patriarchalny układ. Najlepiej streszcza owe zależności pojęcie „wykupu krwi”, zbudowane z jednej strony na rodzinnych więzach, a z drugiej na kulcie pieniądza. Także honor, odmieniany tu przez wszystkie możliwe przypadki, to nic innego jak jeszcze jedna manifestacja ślepej siły.

Reżyser tej opowieści trafił do kina prosto z galerii sztuki współczesnej, po drodze zrobił jeszcze krótkometrażówkę „Otwarcie” osadzoną w tym środowisku, i podczas seansu każdym nerwem odczuwa się te powinowactwa. Jako artysta wizualny Adamski posiada charakterystyczny sposób myślenia o filmie – pewną nadwyżkę formy, intelektualny dystans, maksymalnie wystudzone

Twórcy „Easternu” pozostawiają swemu widzowi rozległą przestrzeń, ażeby wypełniał ją do woli filmowymi czy mitologicznymi skojarzeniami. Może to być dobrodziejstwem i zarazem przekleństwem tego filmu. Nie każdy przecież ma obowiązek taki wysiłek podejmować, a ilość niewiadomych w fabularnym rebusie tyleż inspiruje, co deprymuje. Oby jednak podobnych autorskich debiutów było w polskim kinie jak najwięcej. W ich produkcji wyspecjalizowało się Studio Munka, producent „Cichej nocy” Piotra Domalewskiego czy „Supernovej” Bartosza Kruhlika. W tym wypadku niewielki budżet daje o sobie znać, ale też przekłada się jakoś na stworzenie przed kamerą umownego świata, który odważnie balansuje między fałszywym realizmem i całkiem realną fantazją. A debiutujące na dużym ekranie Maja Pankiewicz jako córka Nowaków i młodziczka Paulina Krzyżńska w roli Kowalskiej stworzyły świetny siostrzany duet wrażliwych twardzielek. Tylko one potrafią zakwestionować zastany świat – niby uporządkowany, choć tak naprawdę tragicznie podzielony, zainfekowany nieuleczalnym wirusem zemsty i w konsekwencji zmierzający do samozagłady. ©

EASTERN – reż. Piotr Adamski. Prod. Polska 2019. Dystryb. Against Gravity. Premiera kinowa filmu została przesunięta.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [21 – 27 III]

1. Boom, krach, boom



Dokumentalny, reż. Terry Jones, Bill Jones, Ben Timlett, Holandia/ Wielka Brytania/ USA 2015, Sundance Channel, 21 III, 19.10,

22 III, 11.10

Zmarły niedawno członek grupy Monty Pythona z pomocą ekspertów zdążył nakręcić krótki kurs ekonomii dla opornych. A w nim wyjaśnił m.in., skąd się biorą cykle koniunktur i kryzysów. W myśl powiedzenia „uczyć bawiąc” wykorzystał do tego także inscenizowane filmiki i rozmaite formy animacji.

2. Samson



Opera, reż. Jean-Pierre Loisel, Francja 2018, Mezzo Live HD, 22 III, 13.00, 24 III, 21.00

Tegoroczne Misteria Paschalia zostały odwołane – na pocieszenie czeka nas retransmisja wydarzeń z poprzednich edycji krakowskiego festiwalu, a wśród nich opera Haendla. Przed dwoma laty wykonał ją Dunedin Consort, szkocki zespół grający muzykę baroku, pod batutą Johna Butta. W tytułowej roli wystąpił tenor James Way, a jako Dalila sopranistka Eleanor Dennis.

3. Portret kobiety w ogniu



Melodramat, reż. Céline Sciamma, Francja 2019, vod.pl To jeden z tych filmów, w którym mimo ciężkiego kostiumu napięcie

erotyczne sięga zenitu. Zwłaszcza że dotyczy relacji zakazanej – pomiędzy młodą dziedziczką a tworzącą jej portret XVIII-wieczną malarką. Surowy pejzaż Bretanii staje się scenografią dla opowieści o losie kobiet szukających osobistej wolności w sztuce, uczuciach i w życiu codziennym.

4. Fosse/Verdon



Miniserial, USA 2019, HBO GO Od „Kabaretu” po „Cały ten zgiełk” – przez osiem odcinków poznamy losy jednego

z najbardziej kreatywnych, a zarazem burzliwych związków z okolic Hollywoodu i Broadwayu. On był reżyserem i choreografem, ona aktorką i tancerką. Sam Rockwell i Michelle Williams stworzyli tu znakomity duet, a całość czerpie garściami z musicalowych tradycji.

JAN

Klata: Wirus znaczy jad



WIRUS ZNACZY JAD. W MARTWYM JĘZYKU, znaczy. Wirus: nie wiadomo, czy żywy czy nieżywy, wiadomo, niestety, że potencjalnie żywy, na kimś potencjalnie nieżywym.

Zdalne obrazy: papież Franciszek idzie pustymi ulicami Rzymu, do pustego kościoła, przed krucyfiks. Autokwarantanna Europy, ludzie pozamykani w swoich swojskich granicach, w obawach, w lękach, w strachu, że to dopiero początek. Bliźni stają się nosicielami. Strach najlepszym przyjacielem człowieka, jak dawno temu śpiewał John Cale.

Życie przenosi się do internetu, a tam wirus – wirus strachu – przenoszony łańcuszkiem nieświętego Antoniego od znajomego znajomego z ministerstwa, wojska, szpitala, banku.

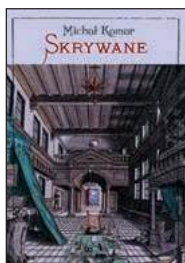
Samospełniające się przepowiednie o kolejnych brakach, satysfakcja niektórych „a nie mówiłem” – niech mają, skoro im z tym łatwiej przetrwać w dobrym samopoczuciu. Lekka kwarantanna od internetu, od kompulsywnego fejsbunia dobrze by zrobiła, że się tak kontrowersyjnie wyrażę (wiem, że „ludzie lubią wiedzieć”), no ale to się samo wyreguluje w zależności od przepustowości serwerów. Ważne, że pogoda dopisuje, słonecznie.

Jeśli kogoś jeszcze w ogóle interesuje teatr, donoszę, że próbujemy, owszem, zdalnie, dopóki się tak da, dopóty, dopóki, niezadługo dojdziemy z próbami do ściany, ale tymczasem robimy swoje, nie generując zagrożeń. Nadszedł czas próby, to próbujemy. Nie w takich warunkach w historii teatru polskiego artyści próbowali – byli nie tylko wirusy, ale i Gestapo, a jakoś spektakle powstawały, i to ponoć nieźle.

Wiadomo, że flauta potrwa, teoretycznie wiadomo, praktycznie się zobaczy, z odległości kilku metrów przynajmniej, dziwność istnienia będzie się namnażać. Stolica, niedziela, miasto niewymarłe, ale trochę tak jakby, nie wiadomo: żywe czy nieżywe, niczym wirus. Rzeczywistość zawirusowana jadem strachu, środek Europy Anno Domini 2020. Raport z samoobłązonego miasta.

Co dalej? Dalej jest lęk, że wszystko nieciekawie się rozwinię. ©

Lektor: Lektura na czas niepokoju



■ Michał Komar
SKRYWANE
Czuły Barbarzyńca Press,
Warszawa 2020,
ss. 284.

„RYNEK W KRAKOWIE BYŁ pusty, kramy, oberże i łaźnia zamknięte z powodu zarazy. Obiad zjedliśmy u rektora Sebastiana (...) Podał piwo zmieszane z aqua vitā i z zadowoleniem mówił o dobrych stronach dopustu Bożego. Strach przed morem sprawił, że na ulicy nie zobaczysz ani jednego studenta, pijanego czy trzeźwego, ani żebraka, ani kurwizzona. Trzeba też wiedzieć, że ze zmarłych z powodu plagi siedmuset

trzydziestu krakowian większość to heretycy”... Sebastian Janeczka z Kleparza istniał naprawdę i był rektorem uniwersytetu w latach 1563-64, choć nie wiem, czy – jak w powieści – zsuwał się pod koniec uczty pod ławę i tam zasypiał. Jesteśmy więc w połowie XVI stulecia, legat papieski i orędownik kontrreformacji Giovanni Francesco Commendone podróżuje po Polsce, która

„niemal co dzień wyrzuja na świat odrażające bękarty herezji” i w której wpływy Watykanu mocno osłabły. W podróży zaś towarzyszy mu pewien lekarz. To on właśnie, już z odległej perspektywy (rok 1582, papież Grzegorz XIII właśnie dokonał zmiany kalendarza, przez co zniknęło dziesięć październikowych dni), opowiada powikłaną i mroczną historię, w którą został wpłątany. Opowiada beznamiętnie, z czarnym, a nawet wisielczym humorem, choć spod scen komicznych wзира ponure serio, a emocje nie są mu obce. Nie spełni się jego marzenie, by pojechać do wyidealizowanego Gdańska i tam badać tajemnicę ryby-biskupa i ryby-mnicha, żyjących rzekomo w Bałtyku. Nadzwyczaj zdolny medyk jest trochę jak egipski Sinuhe, którego biografię wzięął na warsztat Mika Waltari: daje świadectwo światu, w którym przyszło

mu żyć, Europie rozdieranej konfliktami religijnymi, codzienności pełnej okrucieństwa, intryg i zdrady. Jest sarkastyczny i cokolwiek cyniczny: „Powiadają, że brak zaufania do bliźnich odbiera nam przyjemność obcowania ze światem. Mam inny pogląd w tej sprawie. Życie pośród kłamców uczy, że trzymanie kart przy sobie to wymóg zdrowego rozsądku, nikt zaś nie zaprzeczy, że w chwili rozpoznania cudzego szalbierstwa odczuwamy przyjemność płynącą z potwierdzenia naszej prawości”... „Skrywane”, kolejny tom prozy Komara, to jedna z najważniejszych jego książek. „Tak: spazm życia jest straszny. Ale czy nadaremny?” – pyta w posłowniu Zbigniew Mikołajko. I odpowiada: „Nie jest nadaremny, jeśli tylko zdołamy się na to właśnie pytanie. Pisarstwo Michała Komara konsekwentnie je stawia”. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Inna wiosna



W-NIEBO-GŁOSY. JAKIE PIĘKNE SŁOWO, przyjrzyjcie się mu uważnie, nie wnikając od razu w sens. Pasuje dziś do ptaków, które drą się na jeszcze łysych drzewach z takim naddatkiem mocy, że ich prze-

różny śpiew, trel i plumkanie docierają nie tylko do uszu skrzydlatych adresatów, ale umykają potem w przestwór – donikąd i po nic. Donikąd, po nic, bez interesu – takie są warunki zaistnienia przeżycia piękna. Stwórca tego wszystkiego zna, co prawda, na wylot wszystkie śrubki i zapadnie swojego stworzenia, a zatem wie, że owe głosy to w sensie funkcjonalnym tylko prosty komunikat godowy lub terytorialny, skierowany do wybrednych samic lub wrednych konkurentów gotowych zająć korzystny habitat. Ale lubię myśleć, że Jego pełnia, gdy słyszy wrzaskliwe ptactwo nad Plantami, robi się jeszcze pełniejsza i niech mi teolog wybaczą mętne herezje. Może niepotrzebnie wciągam Istotę Najwyższą w swoje estetyczne uniesienia. Wystarczy, że sam czuję się mniej niedoskonały podczas samotnych spacerów.

Wiosna wybucha nam pod nosem, chociaż nie mamy głowy, by ją dostrzec. Na podjeździe pod domem samochód pokryty patykami, wiórami i masą paprochów – ot, sąsiad miał pecha i zaparkował pod klonem, na którym sroki i kawki umacniają frenetycznie gniazda niczym pary kredytowych milionistów ciągnące wózek z panelami do salonu i zlewem do kasy w Castoramie. On dzwoni do majstra z awanturą o krzywo zawieszoną szafkę, ona tłumaczy mamie, że firanki to takie dwudziestowieczne. Muszą się wrócić, bo zapomnieli kupić osłonki na doniczki z ziołami.

To pierwszy raz, jak zima była tak łagodna, że na tarasie przetrwały mi bez szwanku rozmaryn i szalwia. Z wielorocznych padła tylko melisa, bazylii i lubczyku nawet nie próbuję zachować, wsadzam w ziemię nowe w marcu i rosną jak głupie. Ale z tą szalwią to mnie ucieszyło, ileż to razy musiałem zaczynać uprawę od nowa. Jej zapach, kiedy duszę świeże listki na maśle, zawsze mi się mocno kojarzył z powrotem do ciepła i życia. Takie masło jest w stanie przywrócić blask nawet mocno zeschniętej bulwie.

Miałem w ten weekend troskliwie poprzesadzać wszystkie swoje zziębnięte chucherka i dodać parę nowych roślinek, ciekawe, czy zastanę na targu zwyczajowego ziołowego dostawcę. Nie będę raczej obłożony i wykupiony do spodu, bo sadzonki mięty cytrynowej to raczej nie jest towar

pierwszej potrzeby. W ogólnej nudzie przednówka to jednak ważna rzecz, przynajmniej dla wrażliwców, źle znoszących monotonię stołu. Oznaka, że czas ruszył do przodu. Tylko co do tych ziół człowiek zrobi za miesiąc albo dwa? Zobaczymy, na razie niech rosną, obojętne na nasze sprawy.

Zwykle o tej porze ktoś tak przywiązany jak ja do jedzenia rzeczy lokalnych ma serdecznie dosyć bulw, kiszzonek i kasy. W tym roku się zaś cieszy, że ma tego dobra jeszcze sporo. A zresztą – gdzie się podziali ci koledzy, co rokrocznie budzili zazdrość, gdy jeździli na Sycylię na karczochy? Ale też nie ma co dorabiać pozytywnej ideologii do nagłych tarapatów. Po paru dniach już zatykam uszy, gdy ktoś próbuje mnie przekonać, że to świetny moment, żeby nadrobić dziesięć zaległych powieści albo dziesięć przegapionych seriali, po tuzin sezonów każdy. Pocucie winy, że tego nagłego czasu człowiek nie spędzi „z sensem”, przypomina mi standardowy szantaż marketingowy.

Ograniczenie to wielki bodziec, ileż razy sam zapewniałem w tej rubryczce, że starczy miska, widelec, patelnia i parę garści czego bądź. Ale nie ma co wpadać w patos i pudrować niedoli, zwłaszcza że ona na razie taka połowiczna. Będziemy tu wracać do pytania, jak ugotować brak w sosie niedoboru, i to jeszcze tak, żeby się przy tym ubawić. Tymczasem jednak, zjadłszy, co popadnie, spędźmy trochę czasu ze sobą, z własnymi krokami, w towarzystwie ptaków – pusty park jest wszak całkiem bezpieczny. Bez oczywistego sensu, w tym jest wielka ludzka godność. © P

Pierwszy kłopot, z jakim musiałem się praktycznie zmierzyć w codzienności nagle zakłóconej przez pustoszejące półki, to pytanie jednej z latorośli, która uzależniona jest od sosów pomidorowych. Wykupili. Nawet te droższe (i skądinąd lepsze). Są pewne potrawy, i nie mówię tu o zupie pomidorowej, które bez pomidorów sensu nie mają. Ale w wielu innych pomidor – obrobiony termicznie, rzecz jasna – jest nośnikiem pewnego typu umami, daje specyficzne uczucie sytości. Da się go zastąpić – pomidor jest wszak nowym wynalazkiem. Po pierwsze, w wielu sosach ta krągła „pełnia” daje się osiągnąć, gdy zwiększymy ilość parmezanu albo dodamy duszone grzyby. Albo spróbujcie upiec lub udusić na oliwie pokrojoną w kostkę dynię – można je jeszcze kupić – potem do tego sporo papryczki, ostrej lub łagodnej. Po zmiksowaniu z dodatkiem bulionu warzywnego może nieźle zastąpić pomidora. Albo słodka papryka, mocno upieczona w całości, potem zawinięta w folię, żeby łatwo było ją obrać. Jej pokrojony mięszsz dusimy potem ze sporą ilością czosnku, dokwaszamy kapką octu, dodajemy na koniec troszkę tłustej śmietany. I wreszcie uniwersalny wzmacniacz smaku – czyli włoskie soffritto, święta trójca włoskiej kuchni, bardzo drobno posiekane cebula, marchew i seler naciowy, duszone wolniutko i długo na oliwie. Jeśli dodamy tego więcej niż zwykle np. do zapiekanek warzywnych, to nie będziemy tęsknić za pomidorem z wykupionej puszk.



ADOBE STOCK



W CO SIĘ BAWIĆ

Najgorszy czas w 75-letniej historii „Tygodnika”? Nie, to nie było w okresie zamknięcia redakcji za odmowę druku pożegnania Stalina i nie wcześniej, w apogeum stalinizmu.

To było za Gierka, kiedy dookoła bawiono się w najlepsze.

MICHAŁ OKOŃSKI

MUSIAŁO TO BYĆ JAKIEŚ 15-20 LAT TEMU, POD KONIEC KTÓREGOŚ z imieninowych ognisk, organizowanych przez Krzysztofa Kozłowskiego w ogrodzie na Woli Justowskiej. Wieloletni zastępca redaktora naczelnego „TP” znalazł podczas domowych porządków pewien maszynopis i, sam porządnie zaskoczony tym, co w nim wyczytał, postanowił opowiedzieć jego historię zgromadzonym. Po latach szczególnie się zatarły, ale to wspomnienie jest wyraźne. „Tygodnikowy” nestor, dla grupy zgromadzonych mistrz i mentor, w swoim stylu niespiesznie, robiąc pauzy i budując napięcie przed co bardziej nieoczekiwaną puentą, czyta i z powściągliwą ironią komentuje pojawiające się w tekście, niewolne od patosu frazy. Patos u tego akurat autora? Unikającego wielkich słów realisty?

Kilkustronicowy dokument był tekstem wystąpienia, jakie wygłosił sam Kozłowski w maju 1974 r. do grona kilkudziesięciu redaktorów i współpracowników „Tygodnika”, szykującego się powoli do własnego 30-lecia (pierwszy numer ukazał się 24 marca 1945 r.), a w bliższej perspektywie do 30-lecia PRL. „Dosyć to było przyjemne, poziom wysoki, atmosfera czysta. Wygłoszono trzy referaty: Stomma o polityce, Turowicz o Kościele, Kozłowski o „Tygodniku Powszechnym”. Stommy i Kozła bardzo dobre” – wspominał to spotkanie w swoich „Dziennikach” Stefan Kisielewski, który odczytał wówczas niedrukowalny z punktu widzenia redakcji (a pewnie bardziej: cenzury) felieton, i który wśród uczestników narady wymieniał także innych gości z Warszawy: Władysława Bartoszewskiego, Pawła Hertza, Henryka Krzeczковского, Andrzeja Micewskiego i Andrzeja Wielowieyskiego.

Co ciekawe, sam Kozłowski wiele więcej szczegółów nie pamiętał, a może po prostu słuchacze jego opowieści, myślami będący już między wódką a zakąską, o te szczegóły nie dopytywali. Do samego referatu przywiązywał jednak na tyle dużą wagę, że kilka lat później przekonał Michała Komara – autora rozmowy rzeki „Historia z konsekwencjami” (ukazała się w 2009 r.) – do zamieszczenia jego tekstu w całości.

Gdy możliwości wszystkie wyczerpiemy

W opowiadanej po wielokroć historii „Tygodnika” wskazanie najtrudniejszego momentu zawsze wydawało się proste: apogeum stalinizmu. Powołane do życia zaledwie kilka lat wcześniej pismo nie miało jeszcze późniejszej tradycji czy marki. Funkcjonujący na nieco podobnych zasadach „Tygodnik Warszawski” został już zamknięty, a jego redaktorów aresztowano i skazano na wieloletnie więzienie. Przedstawiciele Episkopatu podpisali narzucone przez władzę porozumienie między państwem a Kościołem, gdzie w zamian za (mocno teoretyczną, jak się miało okazać) swobodę pracy duszpasterskiej potępiali podziemie niepodległościowe i akceptowali kolektywizację wsi. Funkcjonowanie krakowskiej kurii, która formalnie była wówczas wydawcą „TP”, zostało poważnie utrudnione aresztowaniem (pod fałszywymi zarzutami) grupy pracowników, skazanych następnie w pokazowym procesie na najsurowsze kary. Do więzienia trafił wyznaczony przez zmarłego w 1951 r. kard. Sapię na administratora diecezji abp Eugeniusz Baziak.

Także wokół „Tygodnika” pętla zaciskała się coraz mocniej: cenzura wstrzymywała całe numery lub zatrzymywała poszczególne artykuły, a redakcja – nie mogąc w żaden sposób zaznaczyć tych ingerencji – komunikowała się z czytelnikami, stawiając na ostentacyjną ponadczasowość zamieszczanych tekstów. W 1952 r. cały numer poświęcono tematyce Tatr i Podhala. Pytanie brzmiało jednak: jak daleko można się cofnąć?

Po zakończeniu procesu krakowskiej kurii przez Polskę przetoczyła się kampania nienawiści. Do wydawania oświadczeń „odcinających się” zmuszono wiele środowisk (pod listem krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich pojawiły się czołowe później nazwiska polskiej kultury), a także instytucje kościelne. Niepodpisane oświadczenie „Po procesie krakowskim” – po kilkutygodniowej przerwie w ukazywaniu się →

Krzysztof Kozłowski i Jerzy Turowicz w redakcji „TP”, lata 80.



→ pisma (redakcja negocjowała z władzami każdą liniijkę) – w 1953 r. zamieścił również „Tygodnik”. Stwierdzano w nim, że niektórzy duchowni z diecezji brali udział „w antypaństwowej działalności konspiracyjnej, a także współpracowali z wrogimi dla interesów polskich ośrodkami wywiadu amerykańskiego” i że te „działania przestępcze, szkodliwe dla interesów państwa, wyrządziły niezmiernie szkody Kościołowi”.

„Dzisiaj tekst brzmi horrendalnie, wtedy wydawał się kompromisowy, ale znośny” – wspominał jeden ze współautorów, Stanisław Stomma. Niemniej redakcja przez lata żałowała tamtej publikacji, zwłaszcza że kilka tygodni później umarł Stalin i kolejnego ustępstwa już nie było. Za odmowę druku artykułu żałobnego „Tygodnik” – po wielu tygodniach rozmów z władzami, kiedy cenzura zwracała kolejne numery przekreślone na całości – został zamknięty, a jego lokal na Wiślniej 12 – opieczętowny. Wkrótce wydawanie pisma wznowiono, pod zmienionym tytułem, ale ze zmienioną redakcją, zorganizowaną przez ściśle współpracujące z komunistami stowarzyszenie PAX. Czytelnicy nie dali się jednak nabrać.

Przez kolejne trzy lata ojcowie założyciele „TP”, zwłaszcza Jerzy Turowicz i Stanisław Stomma, nie mogli znaleźć pracy i, jak pisał w „Dzienniku 1954” współpracujący z pierwszym „Tygodnikiem” Leopold Tyrmand, „szlifowali bruki” (pomagali im niekiedy zaprzyjaźnieni duchowni, np. Ferdynand Machay czy publikujący w „TP” od 1948 r. Karol Wojtyła, a także – z Paryża – Jerzy Giedroyc). Władze internowały w Komańczy prymasa Wyszyńskiego. UB rozpoczęła operację „Pióro”, w celu rozpracowywania rozwiązanego zespołu „TP”. Szansa na powrót pisma do prawowitej redakcji pojawiła się dopiero w 1956 r., na fali gomułkowskiej odwilży: pierwszy „Tygodnik” ukazał się na Boże Narodzenie, z numeracją nawiązującą do ostatniego wydania sprzed śmierci Stalina.

Pot zimny zrasza zaraz czoło

W referacie Kozłowskiego z 1974 r. mowa także o tamtych czasach. O tym, że II wojna światowa skończyła się dla większości Polaków poczuciem przegranej. Że zarysowały się wówczas trzy modele zachowań: trwanie w konspiracji, oparte na nadziei na szybki konflikt mocarstw i interwencję Zachodu; przeczekanie i nieangażowanie się w sprawy publiczne, wręcz schodzenie na pozycję emigracji wewnętrznej, niechętniej wszystkiemu, co nie jest nową rzeczywistością; i wreszcie postawa trzecia, reprezentowana m.in. przez twórców „TP”, którzy „wbrew wszystkiemu, niezależnie od obcej, a często i wrogiej im sytuacji politycznej, postanawiają robić to, co się da zrobić”. Że to pismo stworzono „na zasadzie legalności, lojalności wobec nowych władz, stając równocześnie w ostrej opozycji wobec urzędowej ideologii”; że była to instytucja „obca politycznie komunizmowi, ale jednocześnie od początku zaangażowana w odbudowę kraju, we wszystko, co pozytywne w nowej rzeczywistości”.

W stalinizmie ta strategia musiała się wyczerpać: „Tygodnik” znalazł się w defensywie. „To już nie poszerzanie działalności, lecz przeciwnie, coraz bardziej rozpaczliwa obrona i zawężona z konieczności tematyka. Już nie polemiki, lecz obrona przed narzucanym kłamstwem – przypominał na spotkaniu współpracowników Kozłowski. – Wyjałowiony tematycznie »TP« cieszy się wszakże uznaniem społecznym jako pismo, które nie kłamie i nie sprzeniewierza się temu, co głosiło. Tylko tyle i aż tyle reprezentował »TP« w przededniu zamknięcia”.



Później przyszedł październik '56: nadzieje, ale i pułapki, związane z uwikłaniem w oficjalne formy działania – w tym przez reprezentację w fasadowym Sejmie PRL. Przez kilka lat łudzono się, że demokratyzacja będzie postępować; w tym czasie – jak wspominał pracujący już wtedy na Wiślniej Kozłowski – „bieżące sprawy polityczne zajmowały – może nie tyle na łamach pisma, co w naszym myśleniu – poczesne miejsce”. Co prowadziło mówcę do sformułowania memento, brzmiącego aktualnie w kontekście każdej kolejnej próby włączenia „Tygodnika” w doraźną politykę: „Próby naprawiania Rzeczypospolitej groziły jednak coraz bardziej pośrednim uwikłaniem »TP« w frakcyjną walkę wewnątrzpartyjną. Bowiem jak zawsze – szczególnie w Polsce – pewne zamierzenia programowe przekształcają się szybko w określone układy personalne”.

Później przyszedł Marzec '68 i Grudzień '70: na fali antysemickiej kampanii władze wygnały z kraju tysiące ludzi, a do zdławienia robotniczego protestu użyły czołgów. W konsekwencji doszło wprawdzie do partyjnego przesilenia: Władysław Gomułka stracił stanowisko, a I sekretarzem KC PZPR został Edward Gierek, ale nie przyniosło to – wbrew sloganom o „socjalizmie z ludzką twarzą” – nadziei na demokratyzację. U progu 30-lecia pisma Kozłowski diagnozował jego sytuację następująco: „Skończyły się możliwości manewru politycznego, rośnie liczba zakazów i barier politycznych. Przeszliśmy więc od paru lat do defensywy polegającej na chęci utrzymania stanu posiadania, co też się nie bardzo udaje”.

Owszem, „Tygodnik” tamtych czasów to wielka ofensywa soborowa; wierne towarzyszenie przemianom związanym



ARCHIWUM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

W redakcji „TP”, lata 60., od lewej: ks. Andrzej Bardecki, Tadeusz Żychiewicz, Bronisław Mamóń, Marek Skwarnicki, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski, Józefa Hannelowa i Krzysztof Kozłowski.

tycznego, bo drogą do tej realizacji jest nie bezpośrednia ingerencja w życie polityczne, lecz głoszenie Ewangelii, wychowywanie w ludziach poczucia odpowiedzialności, urabianie wrażliwości na indywidualny i zbiorowy los bliźniego, współpraca ze wszystkimi ludźmi dobrej woli, wreszcie przypomnianie fundamentalnych zasad moralnych i apelowanie do opinii publicznej świata”.

Na łamy „TP” po trzyletniej przerwie wracają felietony Ki-siela, którego po wzmiance o „dyktaturze ciemniaków” u progu Marca ’68 na warszawskiej ulicy biją tzw. nieznani sprawcy i któremu władze blokują możliwość pisania (redakcja płaci za felietony przez cały czas, próbując przemycić inne teksty Kisielewskiego, podpisywane żeńskim pseudonimem). Zbigniew Herbert przysłał do druku „Przesłanie Pana Cogito”, cenzura puszcza także (w tzw. numerze polonijnym) tekst Marka Skwarnickiego o poezji Czesława Miłosza. Redakcję na Wiślniej odwiedza zaprzyjaźniony już wówczas z Naczelnym Brat Roger z Taizé, ks. Józef Tischner polemizuje z Turowiczem na temat stosunku chrześcijaństwa do filozofii współczesnej, Zbigniew Podgórzec startuje z cyklem wywiadów z niezależnymi pisarzami rosyjskimi.

Redakcję wzmacniają też młode, świetne (i konserwatywne wówczas) pióra z Warszawy: Marcin Król i Wojciech Karpiński, autorzy drukowanych na łamach „TP” „Sylwetek politycznych XIX wieku”. Prawdziwym przełomem jest jednak pojawienie się Antoniego Słonimskiego. Jak wspominał Jerzy Turowicz w rozmowach z Jackiem Żakowskim, był to „największy i najbardziej spektakularny objaw przełamania niechęci, jaką liberalna inteligencja twórcza tradycyjnie żywiła do nas, jako środowiska związanego z Kościołem”. Swoje teksty nadsyłał już wówczas Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki (i trwa przyjaźń dwojga poetów z Jerzym Turowiczem), Jerzy Andrzejewski czy Wiktor Woroszyński; w roku 30-lecia pisma publikują także Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki, Jan Józef Lipski i Michał Głowiński.

To ważna zmiana w porównaniu z początkiem lat 60., kiedy redaktorzy „TP” inicjowali spotkania z rozczarowanymi zamrożeniem popaździernikowej odwilży tzw. rewizjonistami, proponując współpracę. Wówczas odpowiedzią było – jak streszczał po latach Kozłowski – „że »Tygodnik« powinien mówić ich głosem – nie oni w »Tygodniku«, ale »Tygodnik« jakby za nich”, z obawy przed zamknięciem w jakimś „katolickim getcie”. Teraz podobnych wątpliwości już nie było. Wedle wspomnień Turowicza: „»Tygodnik« stawał się uznaną częścią polskiego kulturalnego establishmentu i jednym z głównych wyrazicieli niezależnej myśli”.

Grom i zabawom końca nie ma

Z perspektywy zwykłego obywatela sprawy kraju też wydawały się iść w – relatywnie, rzecz jasna – dobrym kierunku. Na tle prząsnętego Gomułki nowy I sekretarz ze swoim „Pomożecie?” wyglądał na niemal Europejczyka. Władze PRL zaciągały

z otwarciem Kościoła na świat. Tu jednak również natrafiano na trudności, i to nie tylko związane z oporem tradycyjnie myślącej części Episkopatu (czy nawet niektórych współpracowników, np. wspomnianego już Stefana Kisielewskiego). Ofensywa utknęła także dlatego, że – jak mówił Kozłowski – „mimo wszystko dużo osiągnęliśmy”. Innym problemem było to, że „zostaliśmy zdystansowani przez szybkie i dalej idące reformy w Kościele zachodnim; co więcej – w pewnych wypadkach nawet my musimy się bronić przed ekstremizmem katolickiej awangardy zachodniej”.

Inteligencja już nie bawi się w Kopciuszka

No dobrze, nie było łatwo. Ale łatwo w „Tygodniku Powszechnym” nie było przecież nigdy. Skąd przekonanie, któremu Krzysztof Kozłowski dawał po latach tak dobitne świadectwo, że czas tamtego referatu był najgorszy w dziejach „Tygodnika”? Przeglądane prawie pół wieku później stare roczniki nie uprawniają do mówienia o kryzysie pisma.

To właśnie wtedy Jerzy Turowicz rozmawia z Dom Helderem Câmara, słynnym brazylijskim biskupem i obrońcą ubogich, i pisze – po długiej rozmowie w Rzymie – pierwszą w Polsce tak obszerną sylwetkę Matki Teresy. To wtedy w artykule „Boskie i cesarskie” formułuje zasady rozdziału Kościoła od państwa w oparciu o ścisłą neutralność światopoglądową, które brzmią aktualnie także w 2020 r. „Kościół dziś bardziej niż kiedykolwiek rozumie swoją misję w historii jako przekształcanie świata – pisze wtedy wieloletni naczelny „TP”. – Lecz realizacja tej misji bynajmniej nie musi naruszać autonomii życia poli-

→ zagraniczne kredyty, Warszawie odwiedzali przywódcy państw zachodnich, m.in. prezydent USA Gerald Ford i prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing. Z więzień wyszli nie tylko Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, ale też skazani w procesie „Ruchu”, którzy w 1970 r. próbowali zniszczyć muzeum Lenina w Poroninie.

Społeczeństwo zaczęło konsumować, również w czasie wprowadzanych stopniowo wolnych sobót. Przeprowadzono reformę administracyjną kraju: z 17 województw powstało 49, co na Wiślniej uznawano za sukces Gierka. „Z jednej strony pozbył się potężnych, autonomicznych rywali, owych możnych sekretarzy wojewódzkich, z drugiej dał masie działaczy powiatowych możliwości awansu, zaskarbił sobie ich względy i wdzięczność – komentował Kisielewski w „Dziennikach”. – Buduje na tępakach, ale buduje”.

W roku 30-lecia „TP” w fabryce w Tychach rozpoczęła się produkcja Fiata 126 p – słynnego „malucha”. W telewizji ruszyły seriale: „Czterdziestolatek” i adresowany do młodzieży „Karino”. Ryszard Szurkowski wygrał Wyścig Pokoju. Piłkarze – którzy rok wcześniej na mundialu w RFN zajęli trzecie miejsce – rozgromili w Chorzwie Holandię (wygrana 4:1 z wicemistrzami świata, z Krolem, Neeskensem i Cruyffem w składzie, pozostaje do dziś najlepszym meczem w dziejach polskiego futbolu). Krystian Zimmerman zwyciężył w Konkursie Chopinowskim. Na ekrany kin weszła „Ziemia obiecana” Wajdy, na deski teatru – „Umarła klasa” Kantora, w humanistyce rozpoczęła się dyskusja wokół „Gorączki romantycznej” Janion.

Jeśli mierzyć optymizm Polaków liczbą zawieranych małżeństw, w 1975 r. padł powojenny rekord, zresztą są i bardziej dobitne dowody wyśmienitych nastrojów. Z dokonanego przez TNS Polska zestawienia sondaży, w których Ośrodek Badania Opinii Publicznej (poprzednik TNS) prosił Polaków o odpowiedź na pytanie, jaki był mijający rok z perspektywy osobistych wydarzeń, kraju i świata, wynika, że w ciągu półwiecza 1963–2013 Polacy najlepiej ocenili właśnie rok 1975.

„Mieni się wkoło śmiech perlisty / Grom i zabawom końca nie ma” – piosenka Wojciecha Młynarskiego „W co się bawić” jest wprawdzie starsza o kilka lat, ale wydaje się trafnie opisywać tamten moment, łącznie z przeczcuciem, co się stanie, „gdy możliwości wszystkie wyczerpiemy ciurkiem”. Sam Kozłowski mówi na zebraniu autorów i współpracowników „TP”, że „sukcesy gospodarcze, a nawet socjalne idą w parze z nienaruszalnym monopolom władzy politycznej” – wzmocnionej także sytuacją na arenie międzynarodowej (choćby po traktacie ZSRR–RFN, wizycie kanclerza Brandta w Warsza-

KRZYSZTOF KOZŁOWSKI:

Jesteśmy dość osamotnieni
w pragmatycznej i agresywnie
społecznej Polsce. Ale nasza inność,
jeśli tylko jej nie zatracimy,
stanowi naszą autentyczną siłę.

Nie chodzi o to, by wszyscy czytelnicy
zgadzali się z nami światopoglądowo,
lecz by razem z nami dostrzegali
problemy wybiegające
poza płaski pragmatyzm
codziennego życia.

Trzeba w piśmie
stawiać pytania po swojemu,
we własnym, a nie zapożyczonym
języku, doszukiwać się nie doraźnych
recept, lecz sensu
dokonujących się procesów.

wie oraz akceptacji przez Niemcy Zachodnie granicy na Odrze i Nysie) i poczuciem pełnej kontroli nad niemal nieistniejącymi wówczas środowiskami opozycyjnymi (drugi obieg to wciąż pieśń przyszłości).

Ale nie na tym jeszcze polega sedno problemu.

Więc chociaż wszyscy są szczęśliwi

Wicenaczelnym „Tygodnika” zdawał sobie wówczas sprawę, że piśmu nic nie zagraża: chodzi „nie tyle o obronę siebie, co o obronę najbardziej elementarnych wartości społecznych przemielonych w totalitarnym młynie epoki stalinowskiej i wykoślawionych w latach późniejszych”. Jego diagnoza świata, w którym tyłu dokoła zdaje się zastanawiać „w co się bawić”, była dramatyczna: chodzi o obronę tego, co w ludziach zostało jeszcze niezapomniane, nie-zdemoralizowane i niewypaczone.

„Totalizm daje w efekcie miązgę społeczną – mówił Kozłowski, świadom powierzchowności gierkowskiej *prosperity*. – Żyjemy wśród ludzi, którzy są stale

i z wszystkiego niezadowoleni, którzy źle się czują w rodzinie, w szkole, w zakładzie pracy i poza pracą, w Kościele, w kraju. Wśród ludzi szukających ucieczki i namiastki życia w dorabianiu się, w alkoholizmie i w kombinowaniu, by jak najmniej wysiłkiem uzyskać możliwie dużą ilość pieniędzy”. Nowe pokolenie Polaków, kontynuuje wiceszef, przestało widzieć „relację pomiędzy własnym wkładem pracy a tym, co się należy od państwa, społeczeństwa, najbliższej grupy społecznej, przy równoczesnym manifestowanym wręcz nieidentyfikowaniu się z jakąkolwiek społecznością i przy wyraźnym zaniku społecznego sposobu myślenia i reagowania”.

Na marginesie warto zauważyć zgodność tego opisu z dziennikowymi zapiskami Kisielewskiego. „Wyrasta pokolenie, które nie widzi nic anormalnego w sytuacji, że ktoś za nich myśli, decyduje, ustala, a oni nic, tylko chodzą w zakreślonym im »magicznym kręgu« spraw” – pisze 14 kwietnia 1973 r. felietonista „TP”, jakby oglądał nasze facebookowe bańki. „Gierek stara się jak może, żeby Polskę zsovietyzować – dodaje 6 sierpnia 1974 r. – Z jednej strony daje »atrakcje«, samochody, urlopy, bary, niezdarne okropnie, ale zawsze atrakcje – z drugiej cenzura trwa jak mur”.

O funkcjonowaniu tej ostatniej wypadłoby właściwie napisać osobny tekst: co robiło z człowiekiem poczucie, że nie może się wypowiedzieć w pełni swobodnie. Drobnym przykładem z 1975 r. daje w swoim „Dzienniku” Jan Józef Szczepański, piszący dla „TP” relację z wrześniowego Festiwalu Polskich Fil-

mów w Gdyni. Redakcja wzywa go nagle w związku z zakwestionowanymi przez cenzora krytycznymi uwagami o funkcjonowaniu ministerstwa kultury, co zostaje uznane za „podważanie podstaw ustroju”. „Cenzor tłumaczył Kozłowskiemu, że krytykować można jedynie realizatorów i scenarzystów. To oni mają być winni brakowi współczesnego tematu w kinie” – pisze Szczepański, dodając, że tekst przedredagował i że „Staszek Lem snuje marzenia, jak to kiedyś będzie wieszal cenzorów”, on sam zaś chciałby tylko „mieć okazję powiedzieć takiemu fagasowi, czym jest jego działalność”.

W obliczu „miazgi społecznej” nie chodzi już o strategię polityczną, rozumianą przez wybór, czy powinno się być bardziej na prawo (jak chciał Kisiel), czy na lewo (na co wskazywała obecność na łamach Słonimskiego). Pojawia się problem tożsamości narodowej i niechęci do angażowania się w sprawy własnego kraju. Dramatem jest nie tylko fala emigracji – pomarcowe wypędzenie Żydów, ale też umożliwione dzięki układowi z RFN wyjazdy z ziem zachodnich (Mazurzy jako grupa etniczna przestają właściwie istnieć), a do tego liczne ucieczki i emigracja motywowana ekonomicznie. Dramatem jest także druga skrajność, o której mówi Kozłowski: z kompleksów zrodzony nacjonalizm.

Gdy takie serio mierzi cię i odpycha

Nie sposób dziś, czytając tamten tekst, nie myśleć o podobieństwach diagnozy społecznej. Nie sposób nie myśleć o analogii między postawami pierwszego pokolenia urodzonego w PRL a np. młodymi. Co z tego miałyby jednak wynikać dla „Tygodnika”?

W głosie Kozłowskiego, odczytującego po latach tamto wystąpienie, naprawdę było słychać zdziwienie: „Do naczelnych zadań pisma należy zmuszanie do myślenia w kategoriach wspólnoty narodowej, ratowanie wszelkich więzi pomiędzy sfrustrowanymi jednostkami, uczenie szacunku dla wspólnej skomplikowanej przeszłości, likwidowanie bezsensownych, urazowych podziałów dnia wczorajszego, uczenie kultury współżycia bez względu na różnice, wskazywanie na możliwości nadal tkwiące w społeczeństwie. Problem nie polega na tym, że większość z mówiących po polsku nie uważa się za Polaków, lecz na tym, że w gruncie rzeczy ogromny procent obywateli polskich nie identyfikuje się w pełni z własną rodzimą społecznością, nie poczuwa się wewnętrznie do moralnej współodpowiedzialności za resztę współobywateli, nawet za tych, z którymi przychodzi razem żyć i pracować”.

„Jesteśmy dość osamotnieni w pragmatycznej i agresywnej społecznej Polsce – diagnozował Kozłowski, odwołując się wprost do rozumienia towarzyszącego „Tygodnikowi” od chwili powstania przymiotnika „katolicki”. – Ale ta właśnie nasza inność, jeśli tylko jej nie zatracimy, stanowi naszą autentyczną siłę”. „Nie chodzi przecież o to – kontynuował – by wszyscy nasi czytelnicy zgadzali się z nami światopoglądowo, lecz by razem z nami dostrzegali problemy wybiegające poza płaski pragmatyzm codziennego życia. Ale na to trzeba w pi-

śmie stawiać pytania po swojemu, we własnym, a nie zapożyczonym języku, doszukiwać się nie doraźnych recept, lecz sensu dokonujących się procesów. Jeżeli oczekuje się czegoś od nas, to chyba tego, czego zawsze oczekiwano od chrześcijaństwa: niekoniunkturalnych ocen i ukazywania sensu losu człowieka. I w tym właśnie nikt nas nie wyręczy”.

Daleka pora na pytanie to czy bliska

Kolejne tygodnie, miesiące i lata przyniosły kolejne wstrząsy. Nie chodzi tylko o podpisanie 1 sierpnia 1975 r. w Helsinkach tzw. aktu końcowego KBWE i coraz wyraźniejsze oparcie się powstających wówczas opozycyjnych ruchów w Europie Środkowej na języku praw człowieka. I nie tylko o podpisany w grudniu przez 59 intelektualistów protest przeciwko projektowanym zmianom w konstytucji PRL (jego sygnatariusze – w tym ludzie z kręgu „TP” – domagali się m.in. zagwarantowania w niej wolności sumienia i praktyk religijnych, wolności pracy i niezależnych związków zawodowych, prawa do strajku, respektowania wolności słowa, nauki i zniesienia cenzury, zamiast dopisywania do tekstu przewodniej roli PZPR i przyjaźni z ZSRR) albo o gest ostatniego reprezentanta środowiska „TP” w Sejmie, Stanisława Stommy, który jako jedyny nie poparł tychże zmian podczas głosowania.

Latem 1976 r. doszło do protestów w Ursusie i Radomiu, we wrześniu powstał Komitet Obrony Robotników, w 1978 r. patron „Tygodnika” został wybrany na papieża, a dwa lata później zaczął się karnawał Solidarności, o którym mówiło się z kolei, że w dziejach „Tygodnika” był okresem najlepszym. Dalej przyszedł stan wojenny, kolejne zawieszenie pisma i jego powrót w wielkim stylu, z kolejnym pokoleniem autorów reprezentujących różne nurty antykomunistycznej opozycji. W końcu był upadek komunizmu i kolejne zaangażowania w oficjalne formy działania (Jerzy Turowicz przemawiał przy Okrągłym Stole, Krzysztof Kozłowski został senatorem i pierwszym niekomunistycznym ministrem spraw wewnętrznych) oraz pytania, czy w nowej rzeczywistości misja „TP” nie została aby wypełniona. Prawdę powiedziawszy, pamiętam też inną kolację z udziałem autora tamtego wystąpienia – z jesieni 1991 r., gdy dopiero zaczynałem pracę w „Tygodniku” – podczas której zastanawiał się, czy pisma nie powinno się rozwiązać, bo nie ma nic śmiesznieszego niż bokser podskakujący nadal w ringu i wykonujący wyimaginowane ciosy, kiedy przeciwnik leży dawno znokautowany.

Tyle że – z dzisiejszej perspektywy widać to jakże wyraźnie – tamto wystąpienie Krzysztofa Kozłowskiego brzmi jak program nieograniczający się tylko do kolejnych tygodni, miesięcy i lat funkcjonowania pisma w peerelowskiej rzeczywistości. Dlatego nawet tę odrobinę patosu, od której tak się wówczas dystansował, możemy z okazji jubileuszu zmieścić na łamach.

© © MICHAŁ OKOŃSKI



STANISŁAW

Mancewicz:

Silni, zwarcu, gotowi



NARKOTYCZNA SIŁA TEGO HISTORYCZNEGO hasła jest znana. Miało mnóstwo uroku i mocy, było to i jest – kryć nie ma po co – hasło proste i świetne. Działało na wyobraźnię mas i pozwalało trzymać w ryzach marudzących sceptyków, więcej

– umożliwiało skuteczne zamknięcie im buzi w obozie. Wie to każdy, nawet umiarkowanie zaciekawiony przeszłością, że przeszło ono do historii jako największa suma głoszonych tu nieprawd i skutecznego zaszczepiania masom złudzeń. By rzecz wprost: była to gigantyczna ściema rządzących, bodaj największa w naszych nowoczesnych dziejach.

Przypomniało się nam owo zawołanie, dlatego że siedzimy właśnie po uszy w fazie propagandowo kręconej sprawczości. Rzecz jasna wolelibyśmy być skutecznie zachwyceni i nakarmieni arcywłoską odmianą wyobraźni, i nieco – rzecz trzeba – jesteśmy, ale jednak czujemy się bardzo gotowi na rozczarowanie. Czasy są takie, że nikomu nie wolno zabraniać być dzieckiem, nawet premierowi. Zaiste słuchaniu jego zachwyków nad samym sobą i wyrażania co chwilę niedojrzałej, więc nieskrywanej satysfakcji z błędów innych, towarzyszą pewne oznaki duszności i obawa, że ich celem jest głównie popis oraz zaszantażowanie wątpiących. Tak by można było im prędko i łatwo postawić zarzut, że z niskich pobudek życzą komuś źle, że owo życzenie wynika z politycznej kalkulacji. Jest też objawem – jak mniemamy – podświadomej u tej władzy skłonności do rekonstrukcji historycznej, tym razem z osobliwej okazji.

Po tych skromnych spostrzeżeniach wypada więc rzecz, być może brutalnie, że już niebawem obywatel będzie

mógł na własne oczy zobaczyć, jak naprawdę działa władza przezeń wybrana. Nieuchronnie taki egzamin, odarty z picu do gołej kości, nam się szykuje. Z wielkiej chmury soli trzeźwiących już kapie. To, co mamy dziś, to doprawdy niewinny i stosunkowo łatwy w obsłudze początek, zaiste – przykro to mówić – ważniejsze, czego zaznają i z czym się zderzą żywi i ozdrowiali za miesiąc, dwa, za rok. Skutków tej niesamowitej, kolejnej zresztą przygody naszego pokolenia nie sposób sobie wyobrazić. To już brzmi jak banał, ale doprawdy banalne to wszystko na pewno nie będzie. Samiśmy więc dziś ciekawi, jak owa władza sobie z niesamowitym poradzi, bowiem akurat nieprzesadzone są opinie – w tym, rzecz jasna, i nasza – że jej jedynymi dotychczasowymi kompetencjami była i wciąż jest propaganda, bądź to animowanie wspomnianych rekonstrukcji historycznych, a wszelkie kłopoty były bądź to przez tę władzę zmyślane, bądź przez nią prowokowane. Zadanie dla władzy i jej propagandystów jest – i to cieszy – wreszcie realne. Puste wołanie o siłę, zwarcu i gotowości na pewno nie wystarczy. Wyobraźnia podpowiada też, by spróbować sobie – ot, dla higieny, przez sekundkę zaledwie – pomyśleć, jakże by ci ludzie zachowywali się, gdyby dziś byli w opozycji. Doprawdy wystarczy mieć dwucyfrowe IQ, by to zobaczyć, i zaprawdę nikt nie jest w stanie nas przekonać, że byłyby to zachowania ładne, albo nawet ładne troszeczkę, nie mówiąc o pożytkach z nich płynących. To nie jest możliwe.

Na koniec wypada także rzecz coś na temat ogółu. Obywatel tutejszy ma do państwa stosunek, delikatnie rzecz ujmując, zdystansowany. Nie ma przerostu oczekiwań bez względu na wyznawane przy kolacji bądź w kawiarni opinie światopoglądowe. Państwo nasze nie jest ulubieńcem mas. To wróży jak najgorzej, gdy zrobi się troszkę nieprzyjemniej niż dziś. Przyszłość także zweryfikuje różne powołania, polityków, duchownych i lekarzy. Miłe jest jednak, że ludzie są dla siebie na razie mili. Ponieważ, jak widać, pytań poważnych jest mnóstwo i ich na pewno przybędzie, to owo padające tu i ówdzie, gdzie oto jest Gospodarz, gdy wszyscy się miotają wśród realnych problemów, wydaje się kompletnie bez znaczenia. I oby tak zostało.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



PREMIERA!

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński,
Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska,
Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła



Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”
„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą. Więcej na powszech.net/raport

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: WOJTEK KWIECIEŃ-JANKOWSKI



PARTNERZY
WYDANIA

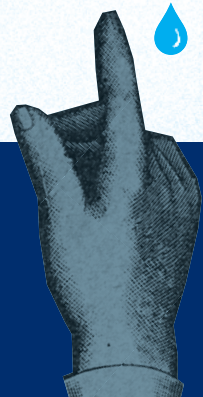


WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie



1 NA 9

**OSÓB ŻYJE
W ŚWIECIE
BEZ WODY**



**MOŻESZ POMÓC.
WPŁAĆ**
www.pah.org.pl/wplac

 **pah**
Polska Akcja Humanitarna